

PROF. ANDRZEJ ROMANOWSKI
ZAMKNIĘCI NA ŚWIAT WSCHODU

PROF. NINA WITOSZEK
PARADA SAMOLUBNYCH SAMCÓW

**O CZYM MARZĄ
POLACY**

RADKA DENEMARKOVÁ
DLACZEGO CZESI PROTESTUJĄ

KŁAMSTWA CYNIKÓW O POWSTANIU





SOS WIOSKI
DZIECIĘCE



PROBLEMY DOROSŁYCH TO CIĘŻAR DLA DZIECI.

Razem możemy to zmienić.

SOS Wioski Dziecięce to **opieka zastępcza** oraz **działania profilaktyczne** w ramach **Programu SOS Rodzinie**.

Dowiedz się więcej na: **www.wioskisos.org**

Partner kampanii:



Patronat medialny:



CYTATY

TADEUSZ TRUSKOLASKI,
prezydent Białegostoku

*Artur Kosicki (PiS),
marszałek województwa
podlaskiego, zorganizował
kontrmanifestację,
która miała zablokować
legalny marsz.
„Polityka”*

**PROF. ZBIGNIEW
MIKOŁAJKO,** filozof

*Zwykły człowiek nie chce,
żeby „tysole” decydowali
o tym, co jest słuszne,
polskie i katolickie,
a co nie jest.
„Polska The Times”*

EWA LIPSKA, poetka

*Najbardziej wyszło mi
w życiu samo życie.
„Tygodnik Powszechny”*

DONALD TRUMP,
prezydent USA

*Wybieram się do Polski.
Oni budują dla USA
instalację wojskową,
za którą zapłacą w 100%.
PR24_pl*

MÓJ PRZEGLĄD

Robert Walenciak



Wielki odlot Kuchcińskiego

Nie chcę się licytować z prawnikami, jak zakwalifikować prywatne loty marszałka Kuchcińskiego, to, że on i jego rodzina wozili się Gulfstreamem G550 na trasie Warszawa-Rzeszów i z powrotem. Niech prawnicy dociekają, czy okradał w ten sposób państwo i jaką za to złodziejstwo powinien ponieść karę.

Myślę, że to sprawa, owszem, ważna, ale drugorzędna. Ważniejszą kwestią jest jakość tej władzy i jej stosunek do państwa. A Kuchciński, formalnie druga osoba w państwie, jest tego przykładem. Bo co widzimy? Drugą osobę w państwie jako oszusta (bo wypisywano kwity, że chodzi o lot służbowy, co było nieprawdą), krętacza (proszę zwrócić uwagę, jak Kancelaria Sejmu ukrywa informacje na ten temat), złodzieja (to określa prawnicy) i człowieka, któremu najzwyczajniej w świecie nadmiar władzy zawrócił w głowie.

Nie, nie tej władzy związanej z kierowaniem pracami Sejmu, bo tu Kuchciński jest wiernym i biernym realizatorem poleceń płynących z ulicy Nowogrodzkiej. Chodzi raczej o jej atrybuty – lot samolotem salonką na narty, z synem na pokładzie, konwój samochodów (to specjalność Beaty Szydło), nagrody specjalne itd. Bo im wszystkim się należy.

Państwo nie jest więc dobrem wspólnym, o które trzeba dbać, które trzeba wzmacniać, dla którego trzeba pracować, ale źródłem przyjemności dostarczanych tym, którzy rządzą. Państwo służy więc nie obywatelom, lecz partii rządzącej i jej funkcjonariuszom. Tej wizji coraz dalej do demokracji, a coraz bliżej do satrapii.

Polacy to widzą. I co, chcą satrapii? Nie sądzę. Myślę raczej, że są mocno zaniepokojeni i zgorzeleni.

Tych powodów do zgorzelenia jest coraz więcej. Oto mamy sytuację, że urzędnik państwowy zakazuje wykonania wyroku sądu. Oto widzimy, że sprawiedliwość na ulicach polskich miast zaprowadzają kibole, łąc i bijąc. Oto prezydent państwa stawia polskich faszystów, otwarcie kolaborujących z wojskami Hitlera. Oto w polskich aptekach brakuje lekarstw... Podobne wydarzenia mają miejsce co parę dni.

Owszem, PiS pozostaje najpopularniejszą partią. I może sobie opowiadać, że jest kochane przez naród. To miłe poczucie, tylko że bez gwarancji trwałości. Bo kielich się napętnia. Pytanie tylko, co będzie tą kroplą, która go przeleje.

BĄKOWSKI



P **POKAŻ,**
przegląd **ŻE NAS LUBISZ!**

facebook.com/TygodnikPrzegląd/

DAJ PRZEGLĄDOWI LAJK
NA FACEBOOKU

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 8** Młot powstania, kłamstwa Dudy
Manipulacje prezydenta

HISTORIA

- 10** Zbrodniczy rozkaz
Bór-Komorowski chciał wywołać powstanie w Krakowie

KRAJ

- 14** W Polsce mamy paradę samolubnych samców
– rozmowa z prof. Niną Witoszek
- 18** Od wyniku lewicy zależy, czy uda się pokonać PiS
Kampania na starcie
- 21** O czym marzą Polacy
Pieniądze i dobra przyszłość dzieci
- 24** Obława, obława...
Ścigana wójt Lesznawoli
- 28** Rzeczpospolita ruska
– rozmowa z prof. Andrzejem Romanowskim
- 36** Polskę uratuje energia atomowa. Albo nie
– rozmowa z Jakubem Wiechem

ZAGRANICA

- 32** Modny turysta zabija planetę
Trendy wyjazdowe niszczą środowisko
- 58** Plemiona z doliny Omo

OPINIE

- 34** Rafał Skąpski
Długa lista kłamców

KULTURA

- 40** Odzyskać Kaukaz
Korespondencja z Erywanii
- 44** Faszyzm dnia codziennego
– rozmowa z Radką Denemarkovą
- 48** Kulturalia
- 66** Aneta Grzeszykowska. Mama

EKOLOGIA

- 50** Cały świat się grzeje
Największe ocieplenie

NAUKA

- 52** Cierpienie w imię nauki
Skala bólu Schmidta

PSYCHOLOGIA

- 54** Perfekcyjna manipulacja
Jak kochają psychopaci

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** Robert Walenciak
Wielki odlot Kuchcińskiego
- 31** Roman Kurkiewicz
Bitwa o Warszawę, Polskę
- 35** Tomasz Jastrun
Europejski konkret
- 43** Ludwik Stomma
Zdrowy rozsądek
- 47** Edward Mikołajczyk
Gorszy od stonki



21
KRAJ

O CZYM MARZĄ POLACY

Pieniądze i dobra przyszłość dzieci



32
ZAGRANICA

MODNY TURYSTA ZABIJA PLANETĘ

Trendy wyjazdowe niszczą środowisko



58
GALERIA

PLEMIONA
Z DOLINY OMO

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MARIUSZ GASZYŃSKI/EAST NEWS, MAREK LASYK/EAST NEWS, SZ PHOTO/FORUM



Dr Sylwia Makomaska

Muzyka pobudza do jedzenia i kupowania

Kakaowa zmowa

– czekolada i wysysk

Dr hab. Andrzej Dragan

Słońce jest za małe, by stać się czarną dziurą

Po pierwsze, lepsza praca

„Lewica po władzę”, pisze Roman Kurkiewicz (PRZEGŁĄD nr 31). Niestety, typowo lewicowy program zagarnęło prawicowe PiS. Trudno będzie teraz komukolwiek dorównać w rozdawnictwie, przy okazji nie doprowadzając do prognozowanej katastrofy ekonomicznej państwa. Ludzie zapomnieli, że podstawowym źródłem utrzymania powinna być praca. Ale nie taka, jaką oferowano nam od 1989 r. – śmieciowa praca na czarno albo na umowach cywilnoprawnych za jeszcze mniejsze wynagrodzenie. Lewica powinna się skupić nie na „plusach”, lecz na poprawie warunków pracy, może nawet budowie państwowych zakładów oraz zapewnieniu tanich mieszkań. Pomocna w tym powinna być Unia Europejska, lecz aby w końcu dogonić poziom życia w „starej Unii”, trzeba tę Unię pogłębić – sfederalizować.

Michał Czarnowski

Różnica między 100-leciem a 1000-leciem

Młodzi ludzie, którzy nie mają pojęcia o życiu w PRL, płyną na Polskę Ludową, która wyciągnęła ich tatusiów ze wsi i dała im bezpłatne wykształcenie. Gdyby nie to, pa-



śliby teraz krowy. Łyknęli trochę światowego powietrza, zarobili trochę pieniędzy i wydaje im się, że to wystarczy, żeby nazywać się inteligencją. Najlepszy przykład, na co stać tych inteligentów, to uhonorowanie 100-lecia niepodległości Polski ławkami, które nie są ani ładne, ani pożyteczne, ani wygodne. A Gomułka uczcił 1000-lecie państwa polskiego budową 1000 szkół. Nawet zbudowano wtedy 1423 szkoły i większość z nich funkcjonuje do dziś.

Elżbieta Więckiewicz-Kwiatkowska, Zabrze

Miejskie łąki zamiast klepiska

Jestem przeciwna koszeniu, zwłaszcza tak często, tak nisko i za pomocą sprzętu, który emituje tyle hałasu i spalin. Łąki kwietne są w porządku, ale często te naturalne są jeszcze ładniejsze. Byłam niedawno pod Londynem. Tam w eleganckiej restauracji w ogrodzie wszyscy podziwiali pokrzywy i inne chwasty rosnące naturalnie. Były naprawdę piękne. Ale u nas wszystko się kosi, piele, karczuje albo polewa jakimiś substancjami, byle tylko nie rośło. Kiedy doczekamy się prawdziwie ekologicznego podejścia do zieleni?

belaburyl



Na trasie VIII Marszu Powstania Warszawskiego na hotelu Victoria zawisła tęcza z kotwicą. Z tłumu rozległy się gwizdy i okrzyki: „J... pedałów!”. Kilka dni wcześniej Fundacja Pamięci o Bohaterach Powstania Warszawskiego i Związek Powstańców Warszawskich wydały oświadczenie, w którym czytamy: „Nie ma zgody na poniżanie mniejszości seksualnych w kraju, w którym homoseksualiści byli zabijani przez faszystów za swoją odmienność”.

PRZEBŁYSKI

Związek Powstańców Warszawskich i Fundacja Pamięci o Bohaterach Powstania Warszawskiego wystosowały apel o podjęcie działań prawnych wymierzonych **w sprawców aktów agresji w Białymstoku.**

Jerzy Owsiak po raz 25. zorganizował w Kostrzynie nad Odrą festiwal, który od 2018 r. nazywa się Pol'and'Rock (dawniej Przystanek Woodstock), dla kilkuset tysięcy uczestników, z kilkudziesięcioma zespołami i spotkaniami w ramach Akademii Sztuk Przepięknych.

Dworzec Centralny w Warszawie, otwarty w grudniu 1975 r., **został wpisany przez wojewódzkiego konserwatora zabytków do rejestru zabytków**. Zaprojektował go architekt Arseniusz Romanowicz z zespołem.

Agnieszka Hryniewicz-Bieniek, dotychczasowa szefowa polskiego oddziału Google, **została globalną dyrektorką Google for Startups**. Będzie współpracować z inicjatywami w 125 krajach.

Krzysztof Parchimowicz założył w styczniu 2017 r. stowarzyszenie **Lex Super Omnia**, jedyną organizację w środowisku prokuratorskim, która domaga się niezależności śledczych i protestuje przeciwko upolitycznieniu prokuratury za rządów PiS.

Rośnie liczba wyroków sądów pierwszej instancji korzystnych dla klientów banków z kredytami frankowymi. Kredyty te spłaca 812 tys. Polaków.



Jan Nowak, były radny PiS powołany na prezesa Urzędu Ochrony Danych Osobowych, **dostarczył władzy pretekstu, by nie wykonywała orzeczenia Naczelnego Sądu Administracyjnego** w sprawie ujawnienia nazwisk osób, które poparły kandydaturę do nowej Krajowej Rady Sądownictwa.

Agnieszka Kaczmarek, była radna PiS z Targówka, a obecnie **szefowa Kancelarii Sejmu**, mimo wyroku NSA **wytrwale odmawia ujawnienia nazwisk osób, które poparły kandydatów do nowej KRS.**

Huta Pokój z Rudy Śląskiej dogorywa. Ma ponad 300 mln zł długów. A rok temu premier Morawiecki w czasie wizyty w hucie zapewniał, że „to perła, która musi się rozwijać”. Jeszcze jedno kłamstwo.

Jarosław Wieczorek, wojewoda śląski z PiS, który gorliwie realizuje najgłupsze pomysły IPN, **każał zdjąć tablicę upamiętniającą otrzymanie przez Cieszyń Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski w 1980 r.** Ale Wieczorek to odznaczenie pewnie by przyjął?

Samochód elektryczny to dla ekipy Morawieckiego powrót do „Misia” Barei. **Miał być milion** elektryków, **a jest... 945** zarejestrowanych na półrocze 2019 r.

Świetlik z chałturą pod rękę

Wiewiórki gromadzą orzeszki na zimę. A Wiktor Świetlik zbiera banknoty NBP na czas, gdy przyjdzie mu żyć bez dobrodziejów z „dobrej zmiany”. Orze więc Świetlik jak może. Skromna wiedza. Nienamolny talent. Nadrabia jednak pracowitością. Jest rekordzistą wśród wszystkich chałturzących w tych mediach, które kochają PiS. W jednym z nich przynudza pod winietą „Uwaga! Zły Świetlik”. I jest to tam jedyne prawdziwe zdanie. W krótkich chwilach między chałturaleniem Świetlik jest też dyrektorem radiowej Trójki. Kultowa stacja pod jego rządami cały czas traci słuchaczy. Co by oznaczało, że nawet on ma jakiś talent. Potrafi zarzącać kure znośną złote jaja.



Wieczny kandydat Szczerski

Skromnie. Skromniutko. Wiceprezydent Szczerki zesłany na komisarza do Brukseli? Nie po to pięć lat męczył się przy szefie niewysokiej lotności, żeby mieć tytuł jak bolszewik. Kolega Dudy z Krakowa to przecież weteran walk. Ciężkich bojów o dobrą posadę. Dla siebie. Bo kawaler ci on. Gdzież ten Szczerki już nie wojował? Chciał być szefem MSZ. Dygnitarzem w ONZ. Zastępcą szefa NATO. Ale nie chcieli gościa, który chce wprowadzić „katolickie paszporty”. Nie dojrzeli też do „reewangelizacji Europy”, ulubionej idei Szczerkiego. Nie pojmują jęłopy, że wysyłanie coraz gorszych kandydatów to taktyka. Chytra taktyka PiS.



Emilewicz zamiast leków

Nawet nie domyślacie się, jak wielki potencjał komiczny drzemie w Jadwidze Emilewicz. Nie dość, że szefuje czemuś, co samo w sobie jest zabawne, bo czy ktoś widział jakieś dobro wyprodukowane przez Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii? Cztery lata starań o proinnowacyjność, przemysłowość i inne takie pro. A efekty? Przedsiębiorcy skazani na tę pomoc ledwo zipią. I co gorsza, na leki też nie mogą liczyć. Bo Emilewicz, która w tej dziedzinie też miesza, jest na etapie: „za kryzys leków odpowiada Azja” („DGP” z 1 sierpnia). Ministrom Morawieckiego wiatr ciągle w oczy wieje.

A portrait of Jadwiga Emilewicz, a woman with short brown hair, wearing a light-colored top. She is looking slightly to the right with a thoughtful expression, her hands are raised near her face with fingers spread.

PO jak Barcelona

Kto by pomyślał, że następca Messiego już jest. I na dodatek żyje w Polsce. Choć miejsce znalazł sobie nietypowe. Gra w Platformie Obywatelskiej. Sensację ujawnił światu Sławomir Neumann. Polityczny weteran ogłosił, że PO jest jak Barcelona. A Messi? Wychodzi na to, że to sam Grzegorz z Wrocławia.

Większość chłopców wyrasta z podwórkowych Barcelon, Reali, Ajaksów czy Bayernów. Ale Neumann to unikat. Podwórkowe gry zmienił na podwórkową politykę.



www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Czy Polska jest najbardziej konserwatywnym krajem w Europie?

OLGA LIPIŃSKA,

reżyserka, scenarzystka i satyryczka

Nie znam tak dobrze innych krajów, mogę jedynie powiedzieć, co sądzę o nas, Polakach. W Polsce być konserwatystą to powód do dumy, a przecież konserwatyści to przeciwnicy postępu, reform i w ogóle wszelkiej zmiany. Jeszcze gdzieś w nas siedzi sarmacki zaciekle pogląd: „Ja pan, ty cham, na wieki wieków”. Polska postrzegana przez nas jest z jednej strony prześladowaną przez obcych ofiarą, nieomal Chrystusem Narodów, z drugiej – jest nieznośnie megalomańska, wielka, „świecąca” bohaterstwem i walką o wolność, z którą, gdy już ją ma, nie wie, co zrobić. Gdy słyszę „dumny Polak”, to niestety częściej widzę rozjuszonego chama.

DR HAB. MONIKA PŁATEK,

Instytut Prawa Karnego UW

Nie. Polska ma niewiele wspólnego z konserwatyzmem w rozumieniu twórcy pojęcia, Edmunda Burke’a. Konserwatyzm oznacza poszanowanie konstytucji i związanie władzy prawem. Tymczasem obecnie nami rządzący pod osłoną haseł o tradycji, religii

i rodzinie konsekwentnie i świadomie demolują instytucje i treść demokratycznego państwa. Dla własnych korzyści zwracają nas w ustrój i porządku, z których w 1989 r. mieliśmy nadzieję wyrwać się ku wolności. Czas zrozumieć, że to nie jest konserwatyzm, ale wyuczony w poprzednim systemie, a teraz w praktyce narzucany przez rządzących, leninowski system dyktatury proletariatu. Z tą różnicą, że słowo proletariatu zastąpiono, dla zmyły, zapożyczonym z totalitarnej ideologii Carla Schmitta suwerenem.

DR TOMASZ ROWIŃSKI,

kwartalnik „Christianitas”

Trudno powiedzieć, jak bardzo konserwatywna jest Polska, ponieważ niełatwo powiedzieć, czym jest dzisiaj konserwatyzm. W różnych krajach różnie definiuje się to pojęcie, w związku z czym np. brytyjcy konserwatyści są kimś zupełnie innym niż ci z Europy Środkowo-Wschodniej. Powiedziałbym natomiast, że Polska jest krajem, który w największym stopniu zachowuje chrześcijańską obyczajowość w sferze prywatnej i publicznej. Jednocześnie kraje na wschód od nas bywają jeszcze

bardziej tradycyjne, np. w kwestii modelu rodziny. Warto wobec tego dodać, że tradycja chrześcijańska nie zawsze jest konserwatywna w praktyce postępowania. Dzięki nauce społecznej Kościoła wypracowano wiele uważanych za postępowe zasad ochrony pracownika, czego dobrym przykładem jest Francja.

ARKADIUSZ DOMEREDZKI,

czytelnik PRZEGLĄDU



Polska obecnie nie ma nic wspólnego z konserwatyzmem. Zachłystnęła się kapitalizmem i korporacyjnym wyścigiem szczurów, a to nie jest nasza tradycja, to nie ma nic wspólnego z mądrością, jaka wręcz krzyczy z naszej historii. Samowolka, chciwość i prywatność to patologie i nasi przodkowie marzyli, by nas przed nimi ustrzec, a nie podnosić je do rangi wartości narodowych. Najlepszym dowodem na to, że Polska nie jest konserwatywna, jest szalejąca dekomunikacja i niszczenie śladów chwalebnej przeszłości. Antypolskie propagandyści z IPN i ich hunwejbini z „gadzetami wyklętymi” są wrogami polskiej tradycji, odrzucającymi mądrość narodową zostawioną nam przez przodków.

Not. Michał Sobczyk

Bohdan Piętko

Mit powstania, kłamstwa Dudy

Słowa prezydenta o powstaniu warszawskim to manipulacja historią i mijanie się z prawdą

Powstanie warszawskie zostało po 1989 r. wkomponowane w prawniczą politykę historyczną, stając się jednym z jej mitów. Obok mitu powojennego „powstania antykomunistycznego” i „rewolucji Solidarności” mit powstania warszawskiego ma odgrywać ważną rolę w kształtowaniu nowej świadomości historycznej i narodowej Polaków. Niestety, związek polityki historycznej z prawdą historyczną często jest luźny albo nie ma go wcale. Widać to znakomicie chociażby w Muzeum Powstania Warszawskiego, gdzie powstanie zostało przedstawione jako czyn heroiczny i piękna młodzińska przygoda, a za jedynych winnych klęski uznano PKWN i Związek Radziecki. Zobaczmy tu, jak działały harcerska poczta powstańcza i teatrzyk powstańczy, ale o rzezi Woli dowiemy się niewiele.

Nie inaczej wyglądają uroczystości rocznicowe. Z towarzyszących obchodom przemówień polityków prawicy nie sposób się dowiedzieć, że powstanie warszawskie było jedną z największych klęsk w historii narodu polskiego. I to klęską wielowymiarową – polityczną, wojskową, humanitarną. Że było katastrofą narodową, która pogrzebała kilkusetletnie dziedzictwo kulturalne i historyczne stolicy. Wręcz przeciwnie – lansowana jest teza, że powstanie warszawskie było zwycięstwem. I nie tylko „moralnym”, ale jakoby również politycznym. Taka narracja przewijała się też przy okazji tegorocznych obchodów 75. rocznicy powstania. Jej przykładem było m.in. wystąpienie prezydenta Andrzeja Dudy pod pomnikiem Powstania Warszawskiego 31 lipca.

Powstańczy szantaż

Prezydent Duda powiedział m.in.: „Dziś tutaj, na tym placu, cztery pokolenia Polaków śpiewają »Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie«. To dzięki temu pierwszemu, temu właśnie, które wtedy na ulicach Warszawy się krwawiło, walczyło z bronią w ręku o wolną Polskę – pokoleniu, które czasem nazywamy pokoleniem Kolumbów (...) – to dzięki niemu, jego odwadze, bohaterstwu i determinacji Polska jest. To dzięki następnemu pokoleniu – bumu końca lat 40. i początku lat 50.,

ich dzieci – mimo że Polska nie była w pełni wolna, suwerenna, niepodległa, mit powstania warszawskiego trwał i przetrwał. To dzięki niemu moje pokolenie – lat 70., a potem 80., czyli znów: dzieci, a wnuki powstańców – mogły w tym mieć życie, kultywować go, czasem w podziemiu, czasem nielegalnie w harcerstwie, ale cały czas pamiętając o nim i jego istocie”.

Prezydentowi Dudzie należy się uznanie za to, że użył określenia mit i tym samym przyznał, że polityka historyczna, jakiej patronuje, kreuje mit historyczny. Jednakże mity i legendy nie służą zrozumieniu historii, lecz ją wypaczają. W słowach prezydenta słychać echa zeszlórocznego wystąpienia senatora, prof. Jana Żaryna – jednego z czołowych animatorów polityki historycznej PiS. Sens jego wypowiedzi był mniej więcej taki, że powstanie co prawda upadło, ale uniemożliwiło „skomunizowanie polskiej duszy”, dzięki czemu były możliwe przemiany polityczne w 1980 i 1989 r.

Dla Solidarności powstanie było lekcją, z której wyciągnięto wniosek, że trzeba odrzucić beznadziejny zryw zbrojny jako metodę walki.

To nic innego jak manipulacja pamięcią historyczną i mijanie się z prawdą. Powstanie warszawskie nie doprowadziło do zmian ustrojowych w 1989 r., chociaż w pewnym sensie wpłynęło na sytuację polityczną w Polsce po 1980 r. Dla Solidarności było bowiem lekcją, z której wyciągnięto wniosek, że trzeba odrzucić beznadziejny zryw zbrojny jako metodę walki. Zmiany polityczne w 1989 r. były rezultatem nie czynu zbrojnego, ale porozumienia politycznego. Porozumienia, które było możliwe dzięki odrzuceniu przez część ówczesnej opozycji tzw. ideologii powstańczej, która wyrosła z polskiego romantyzmu politycznego XIX w. Opowieść

o tym, że powstanie warszawskie było zwycięstwem, którego owoce zebraliśmy w 1989 r., jest stawianiem świata na głowie.

Szerzej na ten temat pisał Lech Mażewski w eseju „Powstańczy szantaż. Od konfederacji barskiej do stanu wojennego” (Warszawa 2004). Przeprowadzając analizę wszystkich polskich klęsk powstańczych, poczynawszy od konfederacji barskiej, wykazał, że w latach 1980-1981 nie udało się powtórka powstańczego szantażu. Dzięki temu była możliwa pokojowa zmiana ustroju w 1989 r. To najwidoczniej bardzo boli rządzącą prawicę, która z podważania i deprecjonowania porozumienia Okrągłego Stołu uczyniła jeden z fundamentów swojej tożsamości politycznej.

W obecnym micie powstania warszawskiego przejawia się także chęć delegalizacji PRL jako formy państwowości polskiej. Świadczy o tym kolejny fragment wystąpienia prezydenta Dudy: „Ten słynny spór

z komunistami, którzy byli skłonni – bo przecież nie mogli inaczej, tego się nie dało – zgodzić się na cześć wobec powstańców warszawskich, ale za nic nie chcieli się zgodzić na cześć i oddanie chwały powstaniu warszawskiemu. Dlaczego? Bo była w nim idea. To nie był po prostu zbrojny zryw – on miał swój cel, był po coś, po coś była ta determinacja”.

Jest to po prostu nieprawda. Pamiętam rok 1979 i państwowe – jak najbardziej – obchody 35. rocznicy powstania warszawskiego. Akademie w szkołach i piękny film dokumentalny pokazany 1 sierpnia o godz. 20 w Programie 1 komunistycznej – bo innej nie było – telewizji.



Prezydentowi Dudzie należy się uznanie za to, że użył określenia mit. Tak, polityka historyczna, jakiej patronuje, kreuje mit historyczny.

zji. Pamiętam rok 1984 i państwowe obchody 40. rocznicy powstania. Masę publikacji książkowych i prasowych – nieraz o wiele mądrzejszych niż obecne – jakie wtedy się ukazały, a także audycje telewizyjne i radiowe z udziałem weteranów powstania. Pamiętam wreszcie rok 1989 i państwowe obchody 45. rocznicy powstania, podczas których odsłonięto pomnik Powstania Warszawskiego na placu Krasińskich w Warszawie. Odsłaniali go wtedy prezydent PRL gen. Wojciech Jaruzelski i prymas Polski kard. Józef Glemp.

Emigracja oskarża

Pamięć o powstaniu była co najwyżej marginalizowana w latach 1948-1956. Po przełomie październikowym, już w 1957 r., odbyły się pierwsze państwowe obchody rocznicy powstania z udziałem jego weteranów. Do ZBoWiD masowo przyjmowano wtedy byłych akowców. Członkiem zarządu głównego i rady naczelnej tej organizacji został płk Jan Rzepecki (1899-1983) – członek Komendy Głównej AK, uczestnik powstania i więzień stalinizmu. Po 1956 r. ukaza-

ło się też oficjalnie wiele publikacji na temat powstania – różnego typu, różnych autorów i prezentujących różne punkty widzenia.

Podaję, że mówiąc o rządzących w PRL, którzy „za nic nie chcieli się zgodzić na cześć i oddanie chwały powstaniu warszawskiemu”, prezydent miał na myśli to, że nie podzielano wtedy też obecnej polityki historycznej. Tez stojących w sprzeczności ze źródłami i faktami przywołanymi przez takich chociażby historyków jak Jan M. Ciechanowski czy Andrzej L. Sowa. Czy to przypadek, że o wiele krytyczniej niż „propaganda komunistyczna” wyrażał się o sprawcach wybuchu powstania warszawskiego jego uczestnik i emigracyjny historyk Jan M. Ciechanowski (1930-2016)? Najostrzejsza ocena dowódców AK, którzy doprowadzili do wybuchu powstania, pochodziła nie od propagandy PRL, ale od gen. Władysława Andersa, który 31 sierpnia 1944 r. w liście do ppłk. Mariana Dorotycza-Malewicza „Hańczy” pisał: „Byłem całkowicie zaskoczony wybuchem powstania w Warszawie. (...) Powstanie w ogóle nie tylko nie miało żadnego sensu, ale było nawet zbrodnią”.

Jeśli natomiast chodzi o cześć dla powstańców warszawskich, trudno nie zauważyć, że dzieleni wedle kryteriów politycznych są oni obecnie. Do tych „gorszych” uczestników powstania należą żołnierze Wojska Polskiego na Wschodzie, którzy we wrześniu 1944 r. poszli na pomoc walczącej Warszawie, oraz żołnierze Armii Ludowej, która została uznana przez gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego za część Polskich Sił Zbrojnych walczących w stolicy, ale nie jest za taką uznawana przez animatorów obecnej polityki historycznej. Wbrew intencjom politycznym dowództwa AK powstanie warszawskie stało się powstaniem ogólnonarodowym, w którym wzięły udział także siły reprezentujące szeroko rozumianą stronę komunistyczną. Kreowanie mitu powstania jako mitu antykomunistycznego wypacza również tę prawdę historyczną.

Do jakich absurdów prowadzi stosowanie wobec powstania warszawskiego wyłącznie optyki antykomunistycznej i antyradzieckiej (antyrosyjskiej), pokazuje ten fragment wystąpienia prezydenta: „Można powiedzieć, że jeżeli Hitler był śmiertelnym wrogiem Stalina, to całkowicie brakło mu wtedy przezorności i wizjonerstwa politycznego. Bo gdyby chciał chociaż odrobinę popatrzeć na realia, czym prędzej wycofałby niemieckie wojska z Warszawy i nie walczyłby z powstańcami. Zatrzymałby się 10 km od miasta i spokojnie czekał na Rosjan. Ale tego nie zrobił i wykrwawił powstanie. Ale Stalin dzięki temu zobaczył jedno: Polacy są niezłomni, Polaków nie da się łatwo ujarzmić, Polacy nie dadzą się tak bezkarnie zdeptać, Polacy są dumni i groźni, Polakom nieobce są bohaterstwo i odwaga aż do śmierci”.

Czy to znaczy, że powstańcy walczyliby lepiej z Rosjanami niż wojska hitlerowskie? W obronie III Rzeszy?

Kamień... u szyi

Liczba elementów w tym fragmencie, z którymi należałoby podjąć polemikę, wymagałaby obszernego eseju, z przywołaniem podstawowych źródeł historycznych, które prezydent RP najwyraźniej ignoruje. Opowiadanie takich rzeczy służy usprawiedliwieniu wydania przez dowództwo AK rozkazu pójścia do walki bez liczenia się ▶

► z faktami. Ma przykryć to, że do wybuchu powstania 1 sierpnia 1944 r. doszło na skutek powstańczego szantażu. W dniach 25 lipca-5 sierpnia 1944 r. radziecka 2. Armia Pancerna została pobita pod Warszawą przez dywizję Waffen SS „Wiking” i „Totenkopf” oraz dywizję pancerno-spadochronową „Hermann Göring”. Ofensywa 1. Frontu Białoruskiego, która rozpoczęła się 22 czerwca 1944 r. pod Witebskiem i Mohylewem na wschodniej Białorusi (operacja Bagration), została zatrzymana przez Niemców na przełomie lipca i sierpnia 1944 r. na linii Wisły. Gen. Bór-Komorowski został poinformowany 31 lipca 1944 r. około godz. 18 przez płk. Kazimierza Iranka-Osmeckiego (szefa wywiadu AK) o odrzuceniu przez Niemców wojsk radzieckich spod Warszawy. Mimo to nie odwołał wydanego godzinę wcześniej – pod naciskiem gen. Leopolda Okulickiego i płk. Antoniego Chruściela – rozkazu wybuchu powstania 1 sierpnia o godz. 17.

Podczas wystąpienia 30 lipca w Parku Wolności przy Muzeum Powstania Warszawskiego prezydent Duda stwierdził z kolei, że powstanie warszawskie to był „jeden z tych wielkich kamieni rzuconych na szaniec budowania wolnej, niepodległej Rzeczypospolitej”. Jakże łatwo prezydent Duda przechodzi do porządku dziennego nad tym, że ów „kamień” kosztował życie 200 tys. ludzi przy stratach niemieckich wynoszących – według meldunku końcowego SS-Obergruppenführera Ericha von dem Bacha-Zelewskiego z 5 października 1944 r. – 1526 zabitych, w tym 44 „obcokrajowców”, czyli członków formacji kolaboracyjnych.

Krzewienie mitu powstania warszawskiego jako zaczynu polskiego zwycięstwa jest o tyle zdumiewające, że nawet niektórzy publicyści związani z obozem władzy (Rafał A. Ziemkiewicz, Piotr Zychowicz) dają wyraz przekonaniu, że była to wielowymiarowa i niepotrzebna katastrofa narodowa.

Józef Szujski (1835-1883) – jeden z twórców krakowskiej szkoły historycznej – mawiał, że fałszywa historia jest mistrzynią fałszywej polityki. Takie też można odnieść wrażenie, obserwując np. współczesną politykę zagraniczną krzewicieli mitu powstania warszawskiego.

Bohdan Piętko



Zbrodniczy rozkaz

Kiedy ginęły dziesiątki tysięcy warszawiaków, Bór-Komorowski 23 sierpnia (!) 1944 r. wysłał depezę nakazującą wywołanie powstania w Krakowie

Paweł Dybicz

Nie jeden krakus o warszawskiej Starówce nie mówi inaczej jak o atrapach historycznych budowli, lekceważąc tym samym ogromny wysiłek Polaków włożony w jej odbudowanie z wojennej ruiny. Nie wie, że zabytki Krakowa mógł spotkać taki sam los – a to za sprawą zbrodniczego rozkazu komendanta głównego Armii Krajowej gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego. Rozkazu rozpoczęcia powstania w Krakowie.

23 sierpnia 1944 r. Bór-Komorowski wysłał depezę zaadresowaną: „Muzeum – Garda”. „Muzeum” to konspiracyjna nazwa Okręgu Kraków AK. „Garda” to pseudonim jego dowódcy, płk. Edwarda Godlewskiego. Oto fragmenty depezy:

Dowództwo A.K.

L. 4/III

Dn. 23 VIII 44 r. g. 20.00

Muzeum – Garda

Walka o Warszawę mimo dużych strat w ludziach i w materiale daje nam potężny atut w rozgrywkach politycznych. Obecnie zależy mi bardzo, by obok Warszawy nastąpiło silne uderzenie na Niemców jeszcze w Okręgu Muzeum. Drobnie działania już nie mają znaczenia. W związku z tym: wykonajcie akcje na szerszą skalę przez opanowanie Krakowa lub w ostateczności Tarnowa. (...)

Liczyć się z gwałtownym przeciwdziałaniem Niemców. Oddziały Wasze muszą być silne, dobrze uzbrojone i odporne na walkę techniczną. Do akcji tej zgromadźcie jak największe zapasy amunicji i zorganizujcie dobrze sieć dowodzenia /łącność radiową/, z góry rozmieszczając w poszczególnych dzielnicach miasta [oddziały] zdolne – do samodzielnej i odosobnionej walki.



W rozkazie tym Bór-Komorowski już w pierwszym zdaniu wskazał, do czego dowódcom AK i obozowi londyńskiemu było potrzebne powstanie warszawskie – miał to być „potężny atut w rozgrywkach politycznych”. Tylko to się liczyło. Nie życie setek tysięcy warszawiaków! Rozkaz wydano 23 sierpnia, a więc po rzezi na Woli, gdzie wymordowano ok. 50 tys. mieszkańców Warszawy, po zniszczeniu miasta. Dowódca AK dosko-

Warszawa po powstaniu była jednym morzem ruin. Nż. w głębi szkielet Prudentialu, pierwszego wieżowca w stolicy.

nale zatem wiedział, jakie mogą być skutki wywołania powstania w tak dużym mieście jak Kraków, do tego z historycznymi budowlami. Mimo to „potężny atut w rozgrywkach politycznych” był ważniejszy.

Powstanie w Krakowie miało wybuchnąć 1 września 1944 r. Dlaczego więc rozkazu nie wykonano? Z wielu powodów. Jednym z nich był fakt, że dowództwo 30-tysięcznego niemieckiego garnizonu znało plany wywołania powstania. Decydujące jednak było to, że sam płk Edward Godlewski nie chciał takiej walki. Ten przedwojenny oficer kawalerii, który we wrześniu 1939 r. dowodził 14. Pułkiem Ułanów Jazłowieckich, potem był inspektorem głównym Związku Walki Zbrojnej, w latach 1942-1944 komendantem Obszaru Białystok AK, a później Okręgu Kraków AK (aresztowany w październiku 1944 r. zmarł z głodu i wycieńczenia w maju 1945 r. w obozie koncentracyjnym w Mauthausen), miał większą wyobraźnię niż jego przełożeni. I wiedział, na jakie straty narażby ludność cywilną i samo miasto.

„Garda” nie był jedynym, który przeciwstawiał się walce w Krakowie. Z przekazów historycznych wiadomo, że komendanta Okręgu Kraków w tym myśleniu mocno wspierali politycy od lewej do prawej strony, jak również metropolita krakowski

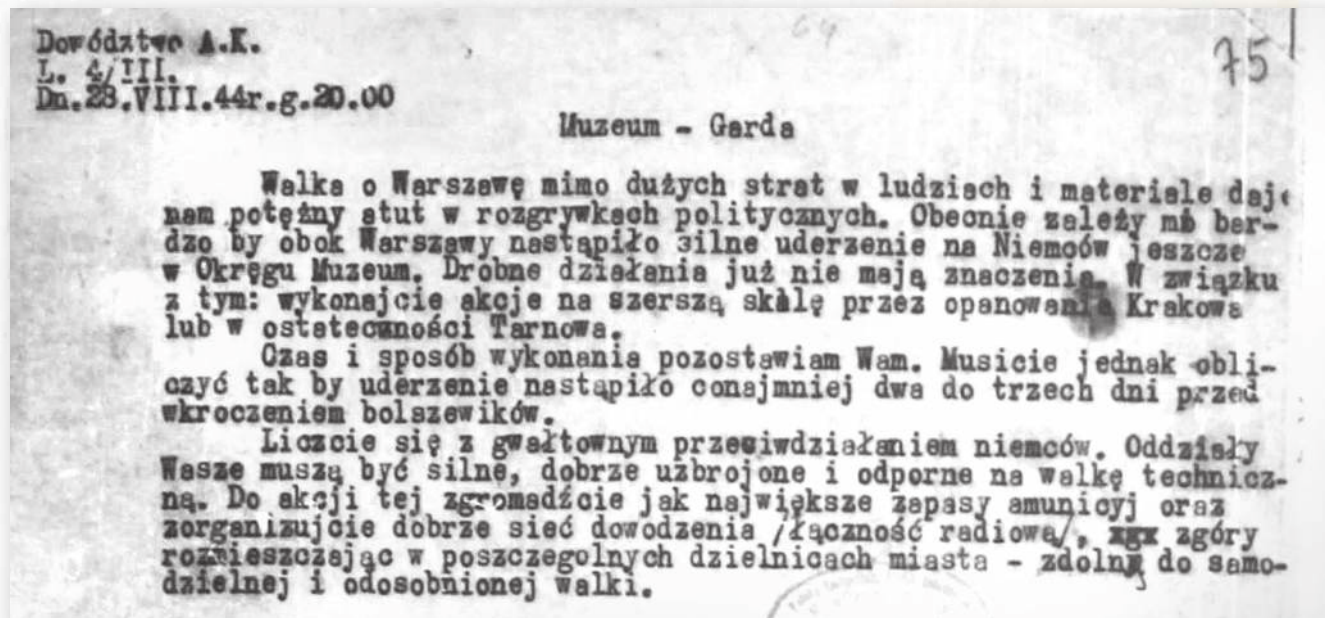
kard. Adam Sapieha, który wymusił na dowódcach Okręgu Kraków AK przyrzeczenie, że nie wywołają powstania w Krakowie.

Rozkaz Bora-Komorowskiego trzeba łączyć z dyrektywą rządu w Londynie. Zaszyfrowany tekst rozkazu dla płk. Godlewskiego nosi datę „23 VIII 44 r. g. 20.00”. Prawdopodobnie następnego dnia dotarł on (ciekawie, jaką drogą) do Londynu, do premiera Stanisława Mikołajczyka. Tym chyba trzeba tłumaczyć, że już 25 sierpnia 1944 r. Rada Ministrów pod jego przewodnictwem nakazała ograniczyć powstanie do Warszawy. A dokładniej ograniczyć powstańcze szaleństwo dowództwa AK. W Londynie już wiedzieli, że misja Mikołajczyka w Moskwie na przełomie lipca i sierpnia 1944 r. się nie powiodła i nie ma większych szans na porozumienie polsko-radzieckie, które zaowocowałoby pomocą dla walczącej stolicy. I że ani Stany Zjednoczone, ani Wielka Brytania nie zrobią nic, co poróżniłoby je z ich sojusznikiem Stalinem, a wobec tego rząd w Londynie stoi na przegranej pozycji.

W dyrektywie Rady Ministrów czytamy:

**Londyn, dnia 25 sierpnia 1944 r.
Do
NACZELNEGO WODZA
POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH
w miejscu**

Mam zaszczyt podać do wiadomości Pana Generała poniższą uchwałę Rady Ministrów z dnia 25 sierpnia 1944 r.



► Rząd R.P. upoważnia Naczelnego Wodza do ograniczenia „Burzy”. (...)

Ograniczenie „Burzy” winno również następować tam, gdzie nasilenie rezerw niemieckich przekreśla szanse powodzenia otwartej akcji zbrojnej i spowodować może masową masakrę ludności, zwłaszcza w większych skupieniach ludzkich. (...)

Powyższe zarządzenia nie tyczą się prowadzenia walki o Warszawę ani też ujawnienia się kierowniczych czynników polskich po tej walce. Decyzje z tym związane pozostawia się władzom krajowym.

Ponadto Rada Ministrów wypowiedziała się za sugestią pod adresem Dowódcy Armii Krajowej o rozpatrzenie możliwości rozbicia obozów koncentracyjnych i uwolnienia więźniów politycznych przed ich wymordowaniem lub wywiezieniem.

PREZES RADY MINISTRÓW

O ile to stanowisko trzeba uznać za racjonalne, o tyle ostatni akapit dotyczący „rozbicia obozów koncentracyjnych” pokazuje oderwanie obozu londyńskiego od realiów oraz brak umiejętności politycznego i militarnego działania.

Analizując takie decyzje rządu w Londynie, trudno się dziwić, że 30 września 1944 r., w dniach klęski powstania warszawskiego, Bór-Komorowski został mianowany przez prezydenta Władysława Raczkiewicza naczelnym wodzem – w miejsce gen. Kazimierza Sosnkowskiego odwołanego na żądanie Brytyjczyków za jawną krytykę ich postawy wobec Polaków i powstania.

Powstanie warszawskie należy do najtragiczniejszych wydarzeń w dziejach państwa polskiego. Do tej niewyobrażalnej katastrofy mogło nie dojść, gdyby Bór-Komorowski i Jan Stanisław Jankowski, delegat rządu na kraj, wyciągnęli odpowiednie wnioski z raportów i memoriałów przedstawianych im przez bliskich współpracowników, stojących na czele ważnych pionów Komendy Głównej AK: szefa wywiadu KG AK ppłk. Mariana Drobika czy szefa VI Oddziału – Biura Informacji i Propagandy KG AK płk. Jana Rzepeckiego.

Płk Drobik już w grudniu 1943 r. (!) przewidział, co będzie się działo po wkroczeniu Armii Czerwonej na ziemie II Rzeczypospolitej. W obszer- nym memoriale pisał:

Lipcową ofensywa niemiecka zafamuje się już po paru dniach trwania. Potężna kontrofensywa sowiecka [chodzi o bitwę na Łuku Kurskim] ujawnia olbrzymią potęgę tego państwa. Wszelkie rachuby na sowieckie załamanie się muszą być przekreślone. Staje się jasne, że Rosja nie tylko weźmie udział w finiszu, ale – ponad wszelką wątpliwość – dojdzie do mety w nie najgorszej formie. Można liczyć jedynie jeszcze na to, że sprzymierzeni wymuszają na Sowietach zatrzymanie się na takiej czy innej linii granicznej z nami. (...)

O ile do tego czasu rząd nasz nie potrafi zawrzeć z Rosją kompromisu tak, by został uznany przez rząd sowiecki jako prawowita władza naszego kraju, musimy się liczyć z tym, że obok okupacji wojskowej czeka nas okupacja polityczna w postaci „demokratycznego” rządu, opartego o bagnety sowieckie.

Metropolita krakowski kard. Adam Sapieha wymusił na dowódcach Okręgu Kraków AK przyrzeczenie, że nie wywołają powstania w Krakowie.

(...) Ideą Marszałka [Piłsudskiego] była bezwzględna walka z rosyjskim imperializmem. Ale czy rzuciłby do niej wykrwawiony i osłabły naród dziś, kiedy nie ma żadnych szans zwycięstwa? Czy nie szukałby inaczej kompromisu, który by nam umożliwił skrzepnięcie i nabranie siły?

(...) Elementarna (...) logika nakazywała polskiej polityce, poczynawszy od lipca [1943], parcie do wznowienia stosunków dyplomatycznych z Rosją za każdą możliwą do zapłacenia cenę.

Żądaną przez Rosję ceną była zgoda na rewizję granic i wyrzeczenie się białorusko-ukraińskich Piemontów. Nie ulega już dziś wątpliwości, że cenę tę tak czy owak zapłacimy. (...) Z fikcji „nienaruszalności” narodziła się najszkodliwsza, jaką można wymyślić, teza, że odłożenie załatwienia sprawy granic na okres powojenny jest dla nas korzystne.

Jakież będą praktyczne konsekwencje przyjęcia tej tezy, zwłaszcza wobec zbliżającej się do naszych granic okupacji sowieckiej?

My będziemy się starali odbudować administrację na całym swoim terytorium sprzed września 1939 r. Bolszewicy utworzą ją co najmniej po linię [graniczną z Rzeszą z] 1940 r., do której roszczą sobie pretensje. Wewnątrz kraju rozgorzeje walka wewnętrzna między stronnictwami Delegatury i PPR-u. Zaczną się wzajemne

wyrzynania, rozstrzeliwania, samosądy, których my nie potrafimy przeciąć mieczem. Potrafi zaś to zrobić w kraju PPR, a na kresach administracja sowiecka, mając pełne poparcie rosyjskich bagnetów. Poleje się darmo nowe morze polskiej krwi.

Rząd będzie nadal przebywał na emigracji, z której zapewne już nigdy nie powróci. Olbrzymia większość rozszani- ch po świecie Polaków zasili kadry szoferów, kelnerów itp., zajmując miejsca wymierającej już emigracji rosyjskiej. Nasze wojsko na obczyźnie stanie się wojskiem najemnym, zdobywając dla Anglosasów różne San Dominga.

Płk Drobik, przekonany, że polski Londyn nie jest zdolny do wznowienia stosunków dyplomatycznych i współdziałania z ZSRR, już w 1943 r. postulował, by władze

Państwa Podziemnego i dowódcy Armii Krajowej nawiązali bezpośredni kontakt z przywódcami Związku Radzieckiego, a także idącym ze Wschodu Wojskiem Polskim, określanym wtedy jako armia Berlinga. To samo postulowali do sierpnia 1944 r. m.in. płk Jan Rzepecki czy niektórzy politycy, chociażby Zygmunt Hempel.

Powstanie warszawskie, więcej, cała akcja „Burza” od samego początku skazane były na porażkę. Nie chcieli tego dostrzec ludzie pokroju Bora-Komorowskiego. I stąd takie rozkazy jak ten z 23 sierpnia 1944 r. Rozkazy, których nie można nazwać inaczej jak zbrodniczymi.

Przytaczane wyżej archiwalia to tylko fragmenty dokumentów oskarżających tych, którzy wywołali powstanie warszawskie i chcieli zniszczyć Kraków. Pełne wersje tych dokumentów, jak również wiele innych, mało znanych bądź przemilczanych, znalazły się w tomie IV wydanej przez Fundację Oratio Recta „Zakłamanej historii powstania” zatytułowanym „Raporty oficerów AK. To zakończy się katastrofą”.

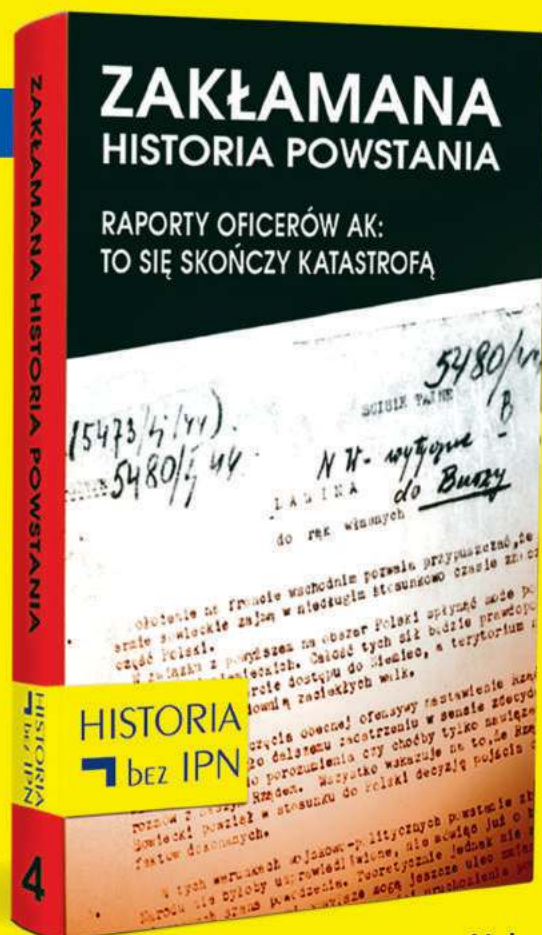
Paweł Dybicz

NOWOŚĆ

W sprzedaży od 8 sierpnia

Oryginalne dokumenty! Cynizm i głupota dowódców! Męstwo powstańców!

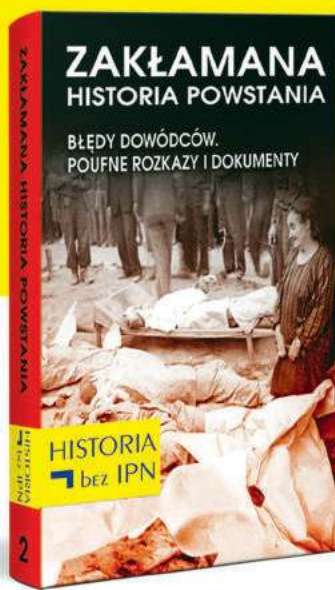
**4 TOMY W PAKIECIE
TANIEJ - 130 ZŁ**



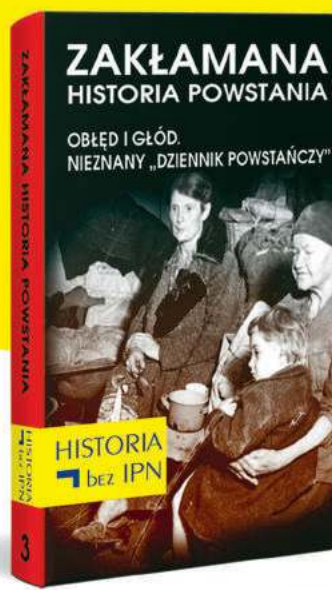
44 zł



41 zł



42 zł

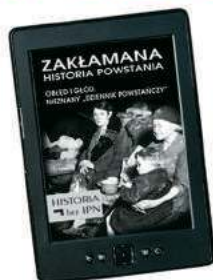


40 zł

NIE PRZEGAP OKAZJI!

e-booki

tylko 19,90 zł



Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7.
Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł
lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

KULTURA KOMPROMISU I UGODY JEST SILNIE ZAKORZENIONA W SKANDYNAWII

A w Polsce mamy paradę samolubnych samców

Rozmawia Robert Walenciak

Rewolucja godności. Wprowadza pani taki termin, podkreślając, że dla ludzi motywem działania jest walka o godność. Tak samo dziś, jak i w roku 1980, kiedy mieliśmy rewolucję Solidarności.

– Rewolucja godności była motorem buntu w roku 1980. Ludzie chcieli godnie żyć. A ponieważ mieli już kontakt z Zachodem, wiedzieli, że godne życie jest możliwe.

Mieli kompleks Zachodu. Czuli się gorsi.

– Uczucie poniżenia, mam wrażenie, było w Polsce w tamtych czasach bardzo silne. Ukończyłam studia w latach 70. i pamiętam, co przeżywałam, zanim dostałam paszport, bo urzędnik musiał pokazać swoją władzę. Pamiętam poniżenie z kolejki do sklepu z mięsem, gdzie stało się godzinami i potem z tym skrwawionym kawałkiem ciętłeciny, rzuconym na kawał papieru, leciało się do domu. To przecież było niegodne, upokarzające.

To nie mięso, to godność

I to wykorzystała ówczesna opozycja?

– Grupy takie jak Komitet Obrony Robotników wprowadziły dwie innowacje. Po pierwsze, postawiły na współpracę, prowadziły dialog – z Kościołem, ze studentami, z robotnikami. Po drugie, przekształciły robotniczą narrację. Przerobiły historię protestów przeciwko wyższemu cenom wędlin, bo od tego się zaczęło, na historię o utracie godności. Powiedziały robotnikom: „Słuchajcie, tu nie o to chodzi, że wam się należy, bo ciężko pracujecie...”

...to mięso...

– ...to mięso i wędliny. Tu chodzi o waszą godność”. I robotnicy to



NINA WITOSZEK

– profesor historii kultury na Uniwersytecie w Oslo. Wykładała w Instytucie Europejskim we Florencji i na Narodowym Uniwersytecie Irlandii w Galway, a gościnnie na Uniwersytecie Stanforda i w Cambridge. Autorka wielu prac i książek o Skandynawii oraz scenariuszy filmowych. Jedna z dziesięciu najwybitniejszych intelektualistek i intelektualistów mieszkających w Norwegii, według listy stworzonej w 2006 r. przez norweski dziennik „Dagbladet”.

zrozumieli. Że system, w którym żyją, to system, który ich upadła i poniża. Od tego właściwie się zaczęło – od tej nowej narracji, którą stworzyła polska inteligencja. Nie narzekajmy więc na polskie elity, że niczego nie zrobiły, bo zrobiły niesamowicie dużo. Porównałabym je z encyklopedystami francuskimi. Może nawet ich przewyższyły? Połączyły przecież siłę pióra z działaniem – z pomocą dla robotników. Inteligencji nie tylko pisali, jak poprawiać ludzki los, i robili to świetnie, bo mieli znakomite pióro, ale równocześnie uprawiali pragmatyczny altruizm.

To była rewolucja godności?

– Mam wrażenie, że ten proces trwał przez całą pierwszą Solidarność. Potem była druga Solidarność, która już była solidarnością *sensu stricto*, czyli była ruchem plemiennym. Poszukującym wroga, zdrajców. W takiej solidarnej wspólnocie każdy jej członek czuje się jak u siebie – bo jest ze swoimi, bo ma tu schronienie. Każdy przecież potrzebuje schronienia. Wtedy jest miło i łatwo. Bo z kolei współpraca, szczególnie współpraca z ludźmi o innych poglądach niż moje, jest męcząca i znacznie trudniejsza. Człowiek musi się wznieść ponad swoje ego, umieć się porozumieć i budować coś razem, nawet z przeciwnikiem.

Zaczął się więc od hasła: „Doga-dajmy się jak Polak z Polakiem”, Wałęsa, podpisując umowy sierpniowe, ścisnął się z Jagielskim.

A skończyło się hasłem: „Precz z komuną!”

– Były też hasła: „Precz z Żydami!”, „Precz z nie-Polakami!” itp.

Sygnałem, że przyszły nowe czasy, był film Bolesława Sulika „In Solidarity”, przedstawiający kampanię wyborczą 1990 r.

– To już była Solidarność plemienna. I już wtedy widziałam, że to



Obchody Międzynarodowego Święta pracy w Norwegii, 1 maja 2019 r.

może źle się skończyć. Ta druga Solidarność tworzyła silną polaryzację wewnątrz rewolucji, były tam motywy antysemickie, ksenofobiczne. Nie mówiąc już o współzawodnictwie – każdy chciał być bohaterem, wielkim

wkraczała w okres transformacji demokratycznej w czasach wściekłego turbokapitalizmu. To nie był zwykły kapitalizm, to był toksyczny paleokapitalizm, który wypierał współpracę z wszystkich dziedzin.

Było ogromnym nieszczęściem dla Polski, że wkraczała w okres transformacji demokratycznej w czasach wściekłego turbokapitalizmu.

wodzem. Każdy uważał, że to on zrobił rewolucję, a tu jest jakiś KOR... Tak się zaczęło szukanie wroga. Oraz proces rozcieńczania, rozbijania dialogu społecznego, który był na samym początku Solidarności – i był wielkim osiągnięciem, graniczącym z cudem.

Turbokapitalizm obalił rewolucję

A potem przyszli liberałowie i powiedzieli: „My mamy receptę na odbudowę gospodarki, na drogę ku Europie”. Patrząc z perspektywy – udało się im. Inni z kolei mówią, że nic im się nie udało. Liberał tych zarzutów nie rozumie.

– Nie rozumie dlatego, że żyje w swoim transkulturalnym świecie bez granic. Uważam, że było ogromnym nieszczęściem dla Polski, że

Współpracę między ludźmi, współpracę w miejscach pracy, współpracę w związkach zawodowych itd. Turbokapitalizm wprowadził zasadę, że trzeba szybko się wzbogacić, i robiło się to poprzez brutalną konkurencję. To niestety obaliło rewolucję godności. Druga rzecz – to wielkie zaniedbanie liberałów, w tym sensie,

ście godnościowe. Mam wrażenie, że człowiekiem, który nie był obojętny, który widział, co się dzieje, był w tamtym czasie Jacek Kuroń. Którego strasznie z tego powodu cierpiało.

I Karol Modzelewski...

– ...który o tym cały czas pisał i mówił. Modzelewski, Kuroń, parę innych osób, które chorowały na sumienie. Ale

co może zrobić kilka osób z nowym systemem! W sytuacji, w której społeczeństwo kompletnie nie ma zaufania do władzy, do rządu i do siebie. Wydaje mi się, że to było sprzężenie kapitalizmu i „postkolonialnej” spuścizny po sowietyzmie, które zadecydowało o brutalności życia w tym zbankrutowanym kraju.

Przeżyliśmy exodus najbardziej energicznych i twórczych ludzi, którzy wybyli za granicę. I budują Anglię albo Norwegię.

że zbyt mało mówili o ponad 3 mln bezrobotnych w Polsce. Przecież to była olbrzymia grupa ludzi, którzy nie stali się beneficjentami przemian. A wypchnięcie ich na margines było ogromnym ciosem w ich godność. Tu liberalizm zawiódł. Liberalizm z natury jest dość obojętny na kwe-

O żadnej Skandynawii nie było mowy. Nawet o niej nie myśłano.

– Ludzie zapominają, że Skandynawia, jej „trzecia droga,” była budowana – i jest oparta – na zaufaniu społecznemu i zaufaniu do rządu, do państwa. Latami to trwa. A u nas

► tego zaufania nie dało się, ot tak, wymusić, to było utopijne myślenie.

Budują Anglię, Norwegię

Ten brak zaufania to wina Polaków? Jak Polacy wyglądają za granicą, w innych krajach? Jak sobie radzą?

– Świetnie sobie radzą. W bardzo trudnych warunkach wyobcowania ze swojej kultury, czy to w Wielkiej Brytanii, czy w Skandynawii, osiągają sukces zawodowy. Są poszukiwanymi pracownikami i robią robotę, którą partaczą Anglicy i Skandynawowie. Robią ją znacznie lepiej, nie mówiąc o tym, że mają znacznie więcej inwencji. Mój mąż, który jest Norwegiem, mówi: „Nie chcę żadnego Norwega. On przyjdzie, pogłuszcze ciekłą rurę, powie, że robota zrobiona, i weźmie 1000 koron. A będzie, jak było. Polak przyjdzie i powie: Proszę pana, ta rura jest z takiego, a nie innego materiału, musi pan kupić inną rurę, a jak pan kupi inną rurę, to musi pan dodać to i to i trzeba to będzie jeszcze pomalować. I weźmie 200 koron. Na tym to polega!”. W Skandynawii najlepsi pracownicy budowlani czy rękodzielnicy to Polacy. Rękodzieła w Skandynawii już nie ma, wszystko się wyrzuca. A Polacy przerabiają meble, przerabiają domy, rzeczy, przedłużają im życie. Przedłużanie życia przedmiotom jest bardzo modne w Norwegii, Polacy to potrafią, to jest talent narodowy. Dlatego radzą sobie świetnie, choć niekoniecznie wchodzą kulturowo w nowe środowiska, trochę szkoda.

Polskie elity nie umieją rozmawiać z ludem. Nie wypracowały wspólnego języka, nie ma dialogu. Tego powinniśmy nauczyć się od Skandynawów.

Dlaczego nie wchodzą?

– Z wielu powodów. Przede wszystkim zapracowują się na śmierć, harują 24 godziny na dobę, a potem padają na barłóg i koniec, już nie są w stanie uczyć się norweskiego, nawet mówić im się nie chce. Wiem coś o tym, bo napisałam libretto do jazzowego kabaretu o tym, jak Polacy budowali gmach Opery w Oslo. Ale są też ci, którzy mają ciekawość, chcą poznać Norwegię, im bardzo dużo rzeczy się udaje, pracę dostają od ręki.

Proszę – pojechali do krajów innych kulturowo i świetnie sobie radzą.

– My, jako Polska, niestety wykrwawiliśmy się i fizycznie, i mentalnie. Nie tylko straciliśmy bardzo ciekawą inteligencję, która siedzi na zachodnich uniwersytetach i w zachodnich firmach, ale także przeżyliśmy *exodus* najbardziej energicznych i twórczych ludzi, którzy

Zanikły w Polsce empatia i altruizm. Najlepszym dowodem był strajk opiekunów osób niepełnosprawnych.

wybyli za granicę. I budują Anglię albo Norwegię. To jest strata dla Polski. Za mało mówimy o tym drenażu giętkich ciał i mózgów. Bo to były i są najbardziej oryginalne, najbardziej prężne osobowości. W każdej kulturze emigrują nie ci, którzy są strażnikami, przegranymi, tylko ci, którzy mają pomysły, którzy są odważni.

Tu sukces, tam klęska

W takim razie co się stało, że mamy teraz kłopoty w Polsce? Co się dzieje?

– Wielki paradoks! Kraj, który ma największe osiągnięcia w walce z autorytarną bestią, poszedł z tą bestią do łóżka. To się nie mieści w głowie! Jak mówił Adam Michnik, czasem piękna kobieta idzie z ropuchą do łóżka i nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje.

A pani jak uważa?

– Są różne badania i spekulacje na ten temat. Wracając do mojej rewolucji godności, jednym z powodów

jest to, że liberalna transformacja poniekąd zignorowała zdobycze pierwszej Solidarności. Dwie rzeczy: umiejętność współpracy, którą wtedy zaczęliśmy budować, oraz aspiracje i potrzeby dumy i godności. Chodziło o szybkie dołączenie do Europy, szybkie wzbogacenie się, stanie się krajem konkurencyjnym. I to się udało elitom politycznym i ekonomicznym, to zrobili bardzo dobrze! Ale nie dało się zrobić wszystkiego od razu. Wyszło tak, że wykonali świetną robotę w jednym dziale i sknociły

wszystko w drugim. Taka byłaby moja analiza.

Co sknociły?

– Strategicznie – budowę społeczeństwa, międzyklasowej współpracy (a nie plemiennej solidarności), a egzystencjalnie – potrzebę mitu jednoczącego naród. I symboli, które wyrażają godność, potrzebę dumy z siebie, potrzebę pracy itd.

Bo praca jest połączona z tożsamością i dumą. To Polska po roku 1989 zaniedbała. Ale czy mogła nie zaniedbać? To trudne pytanie. Jeszcze nie znam na nie odpowiedzi. Patrząc z mojej perspektywy, z perspektywy godności, widzę jeszcze jedną rzecz – otóż w tym wyścigu szczurów, który sankcjonował żarłoczny kapitalizm, powoli uległa erozji polska gościnność, otwarcie na drugiego. Zanikły empatia i altruizm. Najlepszym tego dowodem był strajk opiekunów osób niepełnosprawnych. Światowe media to pokazywały i było mi wstyd za Polaków. Kraj, który zbudował Solidarność, który specjalizował się we współpracy, w pomaganiu sobie wzajemnie, teraz okazał się taki obojętny na los słabszych. To było straszne. Nie mogłam z tym się pogodzić.

Nie potrafimy rozmawiać

Parę lat temu istniało coś takiego jak liberalny populizm. Wmawiano ludziom, że powinni pracować za

małe pieniądze, żeby gospodarka była konkurencyjna, że nie wolno im narzekać, że bogaci pociągają za

sobą biednych. Sukces PiS to także reakcja na liberalny populizm.

– Polska jest społeczeństwem klasowym, niemal takim samym jak Anglia, więc ludzi wkurzają oderwane od życia elity. A jeśli porównać polską inteligencję z elitami intelektualnymi ze Skandynawii, to jedno rzuca się w oczy – polskie elity nie umieją rozmawiać z ludem. Nie wypracowały wspólnego języka, nie ma dialogu. Tego powinniśmy się nauczyć od Skandynawów. Tam wszyscy potrafią ze

sobą rozmawiać, a jeśli nie umieją, to się uczą.

To są społeczeństwa chłopskie.

– No tak... Oni się nawzajem rozumieją. Ale mają też swoje zasady rozmowy – trzeba wysłuchać przeciwnika, nie przekrzykiwać się. To rozmawianie może trwać bardzo długo. Tak, by jedna i druga osoba zrezygnowała ze swoich interesów, by znaleźć płaszczyznę porozumienia.

W Skandynawii rozmawiają, żeby się dogadać. W Polsce rozmawia się po to, żeby postawić na swoim, a rozmówcy udowodnić, że jest głupi.

– Żeby udowodnić naszą wyższość. Kiedy słucham niektórych profesorów w polskiej telewizji, nie bardzo rozumiem, co oni mówią. A co dopiero lud! Na szczęście to jest do nadrobienia, tego można się nauczyć.

Gdy normalny człowiek słucha przedstawiciela elit, który mówi do niego niby po polsku, ale niezrozumiale, to zaczyna czuć się obco.

Jakby należał do innego narodu.

– To prawda. Ale gdy słuchałam np. nagrań z Kuroniem, z Michnikiem, z Modzelewskim, to oni umieli gadać z ludźmi, potrafili trafić do serc, do dusz. Umieli porwać. Na tym polega norweski populizm – że rozmawia się ze zwykłymi śmiertelnikami, ale tak, żeby każdy wiedział, o co chodzi, wziął częściową odpowiedzialność za krytyczny stan rzeczy, no i zgodził się na niedoskonałe rozwiązanie. Zrezygnował w jakiejś części ze swojego egoizmu. Kultura kompromisu i ugody jest silnie zakorzeniona w Skandynawii. A w Polsce mamy paradę samolubnych samców.

Nie szkalujmy bohaterów!

W III RP głównym wrogiem były związki zawodowe. Szef firmy nie chciał partnera, z którym by rozmawiał. On chciał mieć podwładnych, którym rozkazuje.

– Byłam w Polsce przez pół roku, widziałam tego dużo. Albo podejście do pracownika z góry, *ex cathedra*. To był rytuał poniżający.

Skąd to się wzięło?

– Mam wrażenie, że z postszlacheckiej spuścizny, która nałożyła się na zachowania nomenklatury. Postkomunistyczna inteligencja zaczęła na-

śladować wzory, które znała z przeszłości – beczelnej nomenklatury i beczelnej szlachty. Buńczucznej, pogardzającej ciżbą... To może jest jedną z przyczyn. Ale oddajmy inteligencji sprawiedliwość. W czasach komunizmu inteligencja była mocno stłumiona. Robotników, górników

Niestety, mamy zbyt dobry trening w narodowych samobójstwach!

wynosiło się na piedestał, a inteligencja to były pasożyty. I nagle intelektualiści odzyskali wolność słowa. Trzeba więc było natychmiast w tej wolności się znaleźć. Zacząć to swoje pieniacstwo. To było zachłyśnięcie się wolnością, że nagle wolne słowo jest możliwe, a lubię słuchać swojego głosu.

Dzisiejsza Polska nie jest mistrzem dobrej zmiany. Jest mistrzem narodowego harakiri.

Ludzi trzeba szanować.

– Jak najbardziej. To powinny robić media – promować rozmowę o godności. I mówić prawdę. To ogromnie ważne. Warto też spojrzeć w przeszłość, przypomnieć najlepsze treści, które były w Polsce, czasy pierwszej Solidarności. Ta pierwsza Solidarność nie była plemienna, była kooperatywna. Do niej powinno się wrócić, zobaczyć, jak się rozmawiało z ludźmi, jak prowadziło dialog, jakie są zalety tego wszystkiego. A my w tej chwili plujemy na tamtą

Solidarność, na Wałęsę, wołamy, że KOR to zdrajcy, a Okrągły Stół to już w ogóle klęska. Tymczasem było to ukoronowanie kultury dialogu i budowania mostów między ludźmi.

Umiejętności porozumienia się, współpracy...

– Szkalując bohaterów antyautorytarnej opozycji, zapominamy, że większość spędziła pół życia w więzieniu – a mimo to nie byli zapieklaki w niewoli, tylko wyciągnęli rękę do politycznej zgody. Działali dla dobra wspólnego, nie z zemsty na swoich oprawcach. Przecież oni nosili w plecakach, w teczkach szczoteczki do zębów, bo nigdy nie wiedzieli, czy będą nocować u siebie, czy gdzieś na posterunku, w śmierzdzącym areszcie. Podziwiam Okrągły Stół! Jako jedno z wybitnych

osiągnięć polskiej tradycji współpracy i porozumienia. Uważam, że obecna, dominująca interpretacja jednego z najwspanialszych momentów nie tylko polskiej, ale i europejskiej historii jest głęboko patologiczna. Autodestrukcyjna. Niestety, proszę pana, mamy zbyt dobry trening w narodowych samobójstwach! Efekt jest taki, że dzisiejsza Polska nie jest mistrzem dobrej zmiany. Jest mistrzem narodowego harakiri.

Robert Walenciak

MIESIĘCZNA	KWARTALNA	PÓŁROCZNA	ROCZNA
12,90 zł	39,90 zł	69,90 zł	119,90 zł

E-prenumeta PRZEGŁĄDU na każdą kieszeń

 www.sklep.tygodnikprzeglad.pl





Od wyniku lewicy zależy, czy uda się pokonać PiS

Kampania na starcie. Jeszcze nie zaczęli, a już Platforma atakuje lewicową koalicję

Robert Walenciak

Kampania wyborcza właśnie się zaczyna, ale ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że oto się kończy. Wyraźnie bowiem szef największej partii opozycyjnej Grzegorz Schetyna uznał, że przegra z PiS, więc już zaczął grę o to, co po wyborach, co po jesiennej porażce. Chce całkowicie przejąć Platformę Obywatelską i zniszczyć lewicę, tak by zostać jedynym reprezentantem opozycji. Kaczyński jest na drugim planie.

Bo o czym świadczą działania Schetyny? Pewne wątpliwości można jeszcze było mieć dwa tygodnie temu, gdy wyrzucał Sojusz Lewicy

Demokratycznej z koalicji. Wtedy można było spekulować, że uznał Koalicję Europejską za porażkę i szuka nowych wariantów dotarcia do antypisowskich wyborców. Czyli chciałby poszerzać wpływy opozycji trochę na zasadzie: maszerujemy oddzielnie, uderzamy razem. Tak to tłumaczyli związani z PO publicyści,wołając przy tym, że najważniejszą teraz rzeczą dla ugrupowań opozycyjnych jest zawarcie paktu o nieagresji, żeby nowe trzy bloki atakowały nie siebie nawzajem, tylko PiS.

A co się dzieje po dwóch tygodniach? Mamy ciągle ataki ze strony Platformy, jej polityków i publicystów, na lewicę. Tak było po Marszu Równości w Białymstoku, kiedy

Przed polską lewicą otworzyło się okienko historii. Ale czy jej liderzy to wykorzystają? Np. Adrian Zandberg, Robert Biedroń i Włodzimierz Czarzasty.

lewica postanowiła zorganizować wiece poparcia dla środowisk LGBT. Barbara Nowacka głośno ją krytykowała za te działania. I strofowała niedawnych kolegów, że powinni milczeć. „Jestem zdumiona, że to robią ludzie z Razem i Wiosny. Rozmawiam z mieszkańcami Białegostoku i oni zwyczajnie proszą o spokój”, pouczała w radiu TOK FM.

Chwilę potem Platforma ogłosiła listy wyborcze, jedyńki, dwójki i trójki. Z triumfem dodając, że ma na tych listach polityków SLD. Po co? Jak tłumaczyli politycy PO – żeby poszerzać lewe skrzydło, przyciągać wyborców lewicowych.

Co to oznacza w praktyce? Wedle najprostszej logiki gdyby Schetyna chciał poszerzać lewe skrzydło, nie wyrzucałby SLD z koalicji, a nawet próbowałby przyciągnąć inne ugrupowania z tej strony sceny politycznej.

Nie tyle więc o poszerzanie PO mu chodzi, ile o osłabienie lewicowej koalicji. O odebranie jej części wyborców. O jakim pakcie o nieagresji w tej sytuacji możemy mówić?

D'Hondt daje i odbiera

Ale poczynania Schetyny mają też inne konsekwencje – wzmacniają PiS. I to nie tylko dlatego, że skłócają ugrupowania opozycji. Działa po prostu słynny system D'Hondta! Ten sposób liczenia głosów faworyzuje duże partie, a osłabia mniejsze. W polskich warunkach ta granica leży gdzieś na poziomie 12-13% poparcia. Ugrupowaniom, które spadają poniżej tej granicy, system mandaty zabiera.

W praktyce wygląda to tak: w roku 2011 Ruch Palikota otrzymał 10% poparcia i zdobył 40 mandatów. A SLD – 8,24% i tylko 27 mandatów.

Dziś sondaże dają lewicy ok. 10-11% poparcia. A to można przeliczyć na ok. 40-45 mandatów. Jeżeli poparcie dla niej będzie niższe – dostanie znacznie mniej mandatów, a nadwyżka zostanie podzielona między dużych – PO i PiS. Sytuacja jest więc taka, że wszystkie ataki na ugrupowania lewicowe osłabiają obóz anti-PiS. Każde sześć mandatów

wyrwanych lewicy oznacza wzmocnienie PiS o trzy miejsca w Sejmie. A jeżeli udałoby się zepchnąć lewicowców pod próg wyborczy? Tak, żeby nic nie dostali? Wówczas ich pułk podzielił się największy, najbardziej zatem wzmocnił się PiS, tak jak to zresztą było w roku 2015.

Co zaskakujące, ten scenariusz odpowiada Grzegorzowi Schetynie!

Czystka w PO

Przed wyborami do Parlamentu Europejskiego i Schetyna, i publicyści PO mówili, że Koalicja Europejska to najlepsze rozwiązanie, właśnie ze względu na system D'Hondta. Potem twierdzili, że trzeba do wyborów iść oddzielnie, żeby zbierać różnych wyborców. A teraz, gdy opozycja jest podzielona na trzy bloki, Platforma zajmuje się zwalczaniem dwóch pozostałych. Osłabianiem ich szans. Choć z prostej matematyki wynika, że im silniejsze PSL i lewica, tym silniejsza antypisowska koalicja w przyszłym Sejmie.

A dlaczego nie przyjmuje tego Schetyna? Bo kieruje się inną logiką. Zakłada ona, że PiS wygra najbliższe wybory, ale potem, na skutek błędów w polityce gospodarczej, będzie musiało oddać władzę. A jedyną siłą na placu boju będzie wówczas PO. I to PO podporządkowana Schetynie.

Ten sposób myślenia można było zauważyć podczas prezentacji list wyborczych przez Platformę. Jedynki, dwójki i trójki PO przeanalizował portal Oko.press. Oto krótki cytat: „99 osób na 123 »jedynek, dwójek i trójek« na listach wyborczych KO było już w Sejmie, Senacie czy PE (80%). 28 osób to ściśła elita Platformy. Społeczników spoza partyjnego klucza doliczyliśmy się czworga. Zwyciężył partyjny punkt widzenia”.

Platforma na czele idącej do Sejmu armii postawiła partyjnych działaczy, i to tych wiernych Schetynie. Opozycja wewnątrzpartyjna, ci, którzy mogą zagrozić przewodniczącemu, została wycięta. Szumnie zapowiadane otwarcie na działaczy społecznych, na przedstawicieli KOD, Obywateli RP, środowisk, które najsilniej protestowały przeciwko PiS i jego polityce, na lekarzy, nauczycieli, prawników, samorządowców, tzw. ludzi dobrej woli, okazało się humbugiem. Schetyna znów wszystkich ograł.

Klasycznym przykładem jest historia jednej z organizatorek strajków na rzecz opiekunów osób niepełnosprawnych – Iwony Hartwich. Najpierw obiecano jej trzecie miejsce na toruńskiej liście PO. Ale wylądowała na siódmym. I z tej uprzejmości z hukiem zrezygnowała. W świat posłała też informacja, że dobre miejsce na swojej liście zaproponowała jej lewica. Dlatego Schetyna czym prędzej

Liderzy lewicy wezwali Platformę do zawarcia Paktu Senackiego.

ogłosił, że Iwona Hartwich ma na liście PO miejsce numer 3. Widać więc, że załatwia się z nim sprawy jak z Kaczyńskim – trzeba mieć siłę.

Senat – czy wybuchnie afera?

O tym, że Schetynie bardziej zależy na wyzerowaniu lewicy jako takiej niż na pokonaniu PiS, świadczy jeszcze inna sprawa. Otóż ogłaszając wspólny start, liderzy lewicowi wezwali Platformę do zawarcia tzw. Paktu Senackiego. Czyli do stworzenia wspólnej listy kandydatów do Senatu. To ważna sprawa – Senat w Polsce może blokować ustawy sejmowe, ma inicjatywę ustawodawczą, może współdziałać z prezydentem. Dlatego może być bardzo efektywnym miejscem walki z PiS. Ale trzeba mieć w nim większość. Tymczasem większość (62 mandaty) ma PiS.

Jak go odbić? Politycy lewicowi dokładnie to wyliczyli. Okręg po okręgu. Te wyliczenia przedstawił Schetynie. Wynika z nich jednoznacznie, że jeżeli opozycja pójdzie do walki o Senat osobno, to weźmie trzdzieści parę mandatów, a większość zdobędzie PiS. Jeśli pójdzie razem – właśnie ona wygra. Powód jest prosty – senatorów wybieramy w okręgach jednomandatowych, większościowych, jeżeli więc głosy opozycji rozbiją się na dwa ugrupo-

wania, wygra ten trzeci. Prześledźmy to na przykładzie – kandydat PiS ma 45% poparcia, PO – 40%, a lewicy – 15%. W tej konfiguracji mandat bierze PiS. Ale gdy opozycja wystawi wspólnego kandydata – bierze wszystko.

Lewica ma to zresztą bardzo dokładnie policzone. I okazuje się, że w zależności od stopnia popularności kandydatów i od kampanii wyborczej opozycja może zdobyć między 54 a 61 mandatów. Co w porównaniu z wyborami w 2015 r. dałoby jej dodatkowe 27 mandatów! I co się stało? Schetyna dostał propozycję Paktu Senackiego, dostał wyliczenia ekspertów lewicy i do tej pory na tę propozycję nie odpowiedział. Najwyraźniej perspektywa zdobycia przez opozycję dodatkowych 27 mandatów go nie interesuje. Nie interesuje go większość w Senacie. Jak to możliwe?

Po prostu nie interesuje go taka sytuacja, w której musiałby się układać



Barbara Nowacka u boku Grzegorza Schetyny bardzo chętnie krytykuje dawnych lewicowych kolegów.

z ugrupowaniami lewicowymi. W której w ogóle lewica by istniała. Pewnie też zakłada, że ogłosi swoich kandydatów jako pierwszy, żeby później móc oskarżać lewicowców, że wystawiając swoje listy, osłabiają opozycję. Liczy, że wyborcy lewicy oddadzą w takiej sytuacji głos na PO.

Nie wiadomo jeszcze, jak się skończy sprawa Paktu Senackiego. Czy ▶

- Platforma przyjmie tę propozycję, czy nie. Teoretycznie jest ona dla ludzi PO korzystna, bo zyskają dodatkowe fotele senatorów. No i opozycja może zdobyć Senat. Ale czy o to toczy się gra?

Lewica czy plastelina?

W tym wszystkim jedno jest frapujące – wiara Schetyny i jego ludzi, że gdy zostaną zniszczone partie

Schetynie. W paskudnej roli politycznego trofeum i piesków do obszczenia ludzi, którzy kiedyś na nich pracowali.

Trudno bowiem uwierzyć, że są w PO, bo w sprawach programowych Platforma ma zamiar ustępować lewicy. Dowodem tego jest jej stosunek do osób LGBT. Podobnie jak wcześniejsze ruchy, takie jak wrzucenie obywatelskiego projektu „Ratujmy Kobiety” do kosza,

Wyborcy lewicowi są wobec swoich partii wyjątkowo niełojalni. W 2015 r. głosowali na PO, Nowoczesną, a nawet PiS.

lewicowe, wyborcy lewicy oddadzą głos na PO. Już wybory europejskie pokazały, że tak nie będzie, bo ponad milion głosów padło na Wiosnę i Lewicę Razem. Docermy to, bo przecież propaganda, że to głosy zmarnowane, była potężna.

Jednak wiara Schetyny w przetrwanie się lewicowych wyborców na PO wynika chyba z czegoś innego. Przede wszystkim z pewnego doświadczenia. Z tego, że sympatycy lewicy są wobec lewicowych partii wyjątkowo niełojalni i chętnie głosują na inne ugrupowania. Tak było chociażby w 2015 r., kiedy wyborcy, często jeszcze związani emocjonalnie z Polską Ludową, głosowali na PO, na Nowoczesną, a nawet na PiS. Jeżeli wtedy można było ich przyciągnąć, dlaczego miałyby to się nie udać tym razem?

Nasuwa się więc pytanie, dlaczego wyborcy lewicowi nie lubią swoich partii. Odpowiedź daje częściowo niedawna prezentacja list PO. Jeśli Platformie tak łatwo poszło skapierowanie kilku polityków SLD, o czym to świadczy? Głównie o tym, że są to ludzie z marnego materiału. Że lewicowe postulaty traktowali instrumentalnie i kiedy pojawiła się okazja, nie mieli oporów przed przeskoczeniem z ław lewicy do ław chadecji. Przypomnijmy – z list PO startować będą m.in. były szef SLD i były kandydat tej partii na prezydenta Grzegorz Napieralski oraz była kandydatka tej partii na premiera Barbara Nowacka. Kandydowali oni do najwyższych stanowisk, popierały ich setki tysięcy ludzi. I co? To ich kandydowanie okazało się wielkim oszustwem. Za fotel w Senacie czy Sejmie służą dziś

podniesienie wieku emerytalnego, zmniejszenie emerytur funkcjonariuszom z czasów Polski Ludowej (PO była w tym dziele przed PiS), hołdy składane „żołnierzom wyklętym” i faszystowskim kolaborantom z NSZ, wreszcie opluwanie Polski Ludowej. I stosunek do Kościoła.

Platforma jest partią wywodzącą się z Solidarności. Owszem, już dawno straciła jakąkolwiek ideowość, to raczej towarzystwo wyjadania konfitur. Ale kieruje się ona w działaniu pewnymi odruchami – a te są dalekie od lewicowych wyobrażeń. W kwestiach państwa prawa

Z list PO będą kandydować m.in. Grzegorz Napieralski i Barbara Nowacka. Za fotel w Senacie czy Sejmie służą dziś Schetynie.

i obrony konstytucji lewicowy polityk może z ludźmi PO współpracować – nawet powinien. Jako koalicjant. Ale kiedy godzi się do nich przyłączyć, wyzybywa się podmiotowości, idzie po prostu na służbę.

Tymczasem, patrząc na historię SLD w ostatnich latach, widać wyraźnie, że nie brakowało tam ludzi z plasteliny, których niewiele oprócz posad interesowało. A to wyborcy dostrzegali. I to tłumaczy, dlaczego woleli oddać głos na innych.

Co z tą lewicą?

Ale może zbliżające się wybory to zmienia? Koalicja, zawierana trochę z musu, ma jedną zaletę – przeważają w niej ludzie ideowi, których wyborcy lewicowi nie będą musieli się wstydić. Bo ci z plasteliny właśnie przeskoczyli do PO.

Lewicy pomagać będą jeszcze dwa czynniki. Po pierwsze, Schetyna. Szef PO walczy z nią brutalnie, z wdziękiem powiatowego aparatczyka. To musi budzić opór. Dodajmy jeszcze, że o ile do tej pory liderzy lewicowi przegrywali wizerunkowo z Tuskiem, o tyle teraz – stając w szranki ze Schetyną – to oni są górą.

Po drugie, w poprzednich wyborach platformerska propaganda wmawiała wyborcom, że głos na SLD jest głosem straconym. Bo może on zawrzeć sojusz z PiS, a może też nie przekroczyć progu, co PiS wzmocni. Dziś oba te argumenty są śmieszne. Bardziej prawdopodobna jest koalicja PO-PiS niż PiS z lewicą. Spójrzmy, kogo dwie główne partie wystawiły w Krakowie – PiS reprezentuje Jarosław Gowin, były wicepremier Platformy, a PO – Paweł Kowal, były wiceminister PiS. Panowie już walczyli ze sobą w 2007 r. Wtedy Gowin startował w barwach PO, a Kowal w barwach PiS. Teraz zamienili się partiami. Czy to nie śmieszne? Ze strony lewicy walczyć ma z nimi prof. Maciej Gdula, jeden z twórców Wiosny, któremu można zarzucić wszystko, tylko nie brak lewicowych korzeni i lewicowych poglądów.

Poza tym – to rzecz najważniejsza – jedynie dobry wynik lewicy daje szansę, że PiS może jesienne wybory przegrać. Innymi słowy, dziś głosowanie na mniejsze zło to głosowanie na lewicę.

Czy liderzy lewicowej koalicji będą umieli te sprzyjające okoliczności wykorzystać? Czy będą potrafili ułożyć atrakcyjne listy wyborcze? Z dobrymi nazwiskami? Warto zwrócić uwagę, że po raz pierwszy w lewicowej koalicji SLD będzie mniejszością. Układ wyborczych jedynek jest bowiem taki: Wiosna i SLD po 40%, Razem i UP – 20%. Czy to oznacza, że na listach pojawią się ludzie nowi, nieznani polityką? Czy będzie nowa jakość?

Przed polską lewicą otworzyło się okienko historii. Ale czy jej nowi liderzy to wykorzystają?

Robert Walenciak

Katarzyna Wierzbicka

– Miło jest pomarzyć, ale najpierw musimy wyprowadzić się od rodziców – mówi żartobliwie Natalia w przerwie między podawaniem posiłku pięcioletniej córce a przewijaniem kilkumiesięcznego niemowlaka. – Teraz to chyba najbardziej potrzebujemy pieniędzy – śmieje się. – I trochę odpoczynku.

– Chciałabym dostać w końcu pracę w swoim zawodzie, na stałą umowę. No i żeby się dało z tego wyżyć – odpowiada z kolei 28-letnia Anna, iberystka pracująca w hiszpańskojęzycznym *call center*. – Moglibyśmy zacząć myśleć o własnym mieszkaniu i dziecku. Żeby było jakoś łatwiej.

Marzenia Polaków brzmią gorzko. Szczególnie przy założeniu, że dotyczą one zazwyczaj tego, czego się nie ma. Żeby było łatwiej – to jedno z najczęściej pojawiających się podsumowań. Wiele wskazuje, że polskie fantazje są opowieścią o braku i o nadziei na stabilizację. Ale także o nieufności i zamknięciu.

Fantazje o sprawczości

Andrzej, ojciec czteroosobowej rodziny: – Żebyśmy w końcu spłacili kredyt. Można byłoby pojechać na jakieś fajne wakacje, zafundować dzieciom obóz językowy. Na razie można pofantazjować.

W badaniach CBOS z 2018 r. pierwsze miejsce wśród aspiracji respondentów zajmują te związane z życiem rodzinnym i osobistym (64%), np. zdrowie i długie życie, szczęście rodzinne czy założenie rodziny. Aspiracje statusowo-materiałne (np. dobrobyt, wyższe zarobki, poprawa poziomu życia) wskazuje natomiast 34% badanych. W dalszej kolejności są aspiracje zawodowe (25%), mieszkaniowe (14%), związane z wykształceniem i ogólnospołeczne (po 11%).

O ile jednak to, o czym marzymy, zależy od tego, czego nam brakuje, o tyle to drugie bywa rozmaicie uwarunkowane. – To, do czego aspirujemy i na co liczymy, zależy głównie od pozycji społeczno-zawodowej, a poza tym od wieku i płci. Na przykład odsetek osób, dla których najbardziej liczy się zdrowie, rośnie razem z wiekiem. Marzenia o dobrym wykształceniu – swoim lub dzieci – lub awan-

O czym marzą Polacy

Pieniądze i dobra przyszłość dzieci



**Jeśli dom, to za miastem,
jeśli mieszkanie,
to na nowoczesnym osiedlu
na przedmieściach.**

sie zawodowym są z kolei związane z wysokim statusem społecznym – wyjaśnia prof. Henryk Domański, socjolog i specjalista od badań nad przemianami struktury społecznej. – Co do zarobków, teoretycznie wszyscy chcieliby dużo zarabiać. Jednak respondenci różnią się pod względem tego, jakie kwoty rozumieją przez wysokie zarobki. Ale i w tym wypadku aspiracje zarobkowe zwiększają się wraz z poziomem dochodów: osoby uzyskujące najwyższe zarobki chcą uzyskiwać jeszcze więcej, a wraz z ob-

niżaniem się dochodów aspiracje dochodowe maleją.

Według innych badań CBOS z 2018 r., dotyczących m.in. aspiracji dochodowych Polaków, dostatnie życie to dla większości dochody nieco powyżej 4 tys. zł miesięcznie. „Dochód pozwalający na zaspokojenie podstawowych potrzeb wynosi 1790 zł (mediana 1647 zł), umożliwiający życie na średnim poziomie – 2835 zł (mediana 2414 zł), a pozwalający na dostatnie życie – 4434 zł (mediana 3333 zł)”, czytamy w raporcie.

Wydaje się jednak, że fantazje o dobrobycie i dostatku są w rzeczywistości marzeniami o poczuciu bezpieczeństwa. Jeśli wierzyć osobom opowiadającym o swoich marzeniach, pieniądze są zazwyczaj środkiem i punktem wyjścia do tzw. wyższych aspiracji. „Gdybym miał ▶

► lepszą pracę, mógłbym pomyśleć o założeniu rodziny”, „Jak uda się spłacić kredyt, wreszcie pojedziemy na wakacje” – podobna logika wybrzmiewa w większości głosów.

– Pieniądze są środkiem nie tylko konsumpcji, ale także wchodzenia w pewną relację ze światem, narzędziem komunikacji. Poza tym wysoka pozycja materialna daje poczucie sprawczości i podmiotowości, człowiek nie jest tak bardzo zależny od warunków zewnętrznych i może sam

Dla 80% polskiego społeczeństwa najważniejszą życiową wartością jest szczęście rodzinne.

wybierać, kim jest, w co się ubiera i jak spędza czas wolny – tłumaczy dr Roman Chymkowski, antropolog kultury z Instytutu Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. – W kulturze, w której żyjemy, powodzenie życiowe mierzone jest sukcesem edukacyjnym i finansowym, bo właśnie te elementy rozumie się jako środki sprawczości. Obsesja finansowa wynika z pragnienia wyjątkowości i kontroli.

Jeśli to prawda, w takim razie – przy założeniu, że marzy się zazwyczaj o tym, czego się nie ma – przeciętny Polak nie czuje się panem swojego losu. Z drugiej strony punkt widzenia dr. Chymkowskiego wydaje się przy najmniej częściowo pokrywać z wynikami innego zeszłorocznego badania polskich marzeń, przeprowadzonego przez Bank Ochrony Środowiska. Zaraz po zdrowiu dla siebie i najbliższych najczęściej wymienianym pragnieniem jest właśnie to związane z finansami i statusem materialnym. „Pieniądze odgrywają istotną rolę w odpowiedziach respondentów, którzy podkreślają, że to one dają im poczucie bezpieczeństwa – podsumowują autorzy owego badania. – Marzenia te są formułowane różnorodnie, większość pragnie stabilizacji i niezależności finansowej, żeby zapewnić bezpieczeństwo sobie i rodzinie”. To także kwestie finansowe są dla badanych najczęstszą blokadą w spełnianiu marzeń – 63% deklaruje, że właśnie brak pieniędzy przeszkadza im w zrealizowaniu swoich aspiracji.

Na trzecim miejscu plasują się marzenia związane z własnym domem lub mieszkaniem – tu również widać silny związek między brakiem a tym, do czego się dąży. Najmniej marzą o własnym domu lub mieszkaniu (39%) osoby zarabiające powyżej 7 tys. zł, zapewne z tej prostej przyczyny, że – jak piszą autorzy raportu – deklarujący takie zarobki już mają własne cztery kąty. Czwarte miejsce natomiast zajmują podróże. „Podróż nie tylko wiąże się z poznawaniem nowych rejonów i kultur, ale też z wolnym, swobodnym, spontanicznym czasem. Może dlatego wydają się tak atrakcyjnym marzeniem, które umożliwia zapracowanym i przemęczonym Polakom spełnienie potrzeby odpoczynku”, czytamy w raporcie BOŚ.

Zbudować sobie twierdzę

Wydaje się, że o ile Polacy nieco się różnią pod względem konkretnych marzeń, o tyle w większości poszczególnych pragnień chodzi w gruncie rzeczy o to samo, czyli o poczucie bezpieczeństwa i sprawczości, a więc to właśnie jest podstawowym głodem Polaków.

Jest jednak jeszcze coś – w fantazji o absolutnej niezależności kryje się nieufność. – Chciałbym móc posłać dzieci do jakiejś lepszej szkoły – wyznaje Andrzej. – Albo żeby chociaż na jakieś poważniejsze zajęcia pozalekcyjne.

63% Polaków deklaruje, że to przez brak pieniędzy nie mogą zrealizować swoich aspiracji.

Dr Roman Chymkowski: – Zastanawiające, że wśród deklarowanych marzeń coraz częściej pojawiają się te dotyczące edukacji dzieci, czyli tego, co teoretycznie jest zagwarantowane przez państwo. Dostatek okazuje się dla niektórych środkiem zapewnienia sobie niezależności także od tego, co jest odgórnie zapewnione, np. prywatnej edukacji czy prywatnej opieki medycznej. Oznacza to, że Polacy coraz rzadziej ufają państwu i jego instytucjom. Chcą się od nich uniezależnić, mieć wybór.

– Rodzina i bezpieczeństwo materialne są ze sobą ściśle związane, szczególnie tam, gdzie nie możemy liczyć np. na opiekę czy pomoc państwa – tłumaczy z kolei prof. Małgorzata Jacyno z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. – Proszę zwrócić uwagę, że w opowieściach rodziców małych dzieci niezmiennie pojawia się postać babci, cioci czy innych członków rodziny, bez których niemożliwe byłoby chociażby pogodzenie obowiązków zawodowych i rodzicielskich. W społeczeństwie, w którym nie ma polityk publicznych, rodzina staje się warunkiem przetrwania w rozmaitych granicznych bądź nieprzewidzianych sytuacjach życiowych.

Z drugiej strony polskie marzenia o dobrobycie przenikają się z marzeniami o szczęściu osobistym – dla większości osób biorących udział w badaniu BOŚ dostatek jest jednym z warunków szczęścia rodzinnego. Ścisły związek między rodziną a kwestiami materialnymi wybrzmiewa również w słowach tych, z którymi ja rozmawiałam. – Gdybyśmy mieli więcej pieniędzy, moglibyśmy więcej czasu spędzać w domu, z dziećmi – przypuszcza Natalia. – Nie byłoby tak nerwowo.

Wydaje się, że podział marzeń na te o szczęśliwej rodzinie i te o dostatku bywa umowny. Jeśli wstąpić się w poszczególne deklaracje, jedno zależy od drugiego. To zresztą szczęście rodzinne, według tegoż rocznych badań CBOS, polskie społeczeństwo wymienia wśród najważniejszych życiowych wartości.

Zdaniem dr. Romana Chymkowskiego marzenia o rodzinie i szczęściu osobistym są rewersem tych samych fantazji o sprawczości, które przejawiają się w aspiracjach materialnych: – Jeśli zestawić marzenia o rodzinie i własnym domu z danymi mówiącymi o tym, ilu Polaków angażuje się społecznie, działa w różnych organizacjach czy regularnie bierze udział w życiu publicznym, np. w wyborach, wychodzi na to, że rodzina ma zapewnić azyl. Boimy się świata zewnętrznego i chcemy się od niego odizolować. Narzędziem do tego mogą być zarówno pieniądze, jak i zatopienie się w małej wspólnotce, jaką jest rodzina.

Zastanawiające, że we wspomnianym badaniu CBOS z tego roku

aż 48% respondentów wskazało, że najważniejszą wartością w ich życiu codziennym jest spokój – zaraz po szczęściu rodzinnym (80%) i zachowaniu dobrego zdrowia (55%).

– Czasy niepokoju i kryzysu przejawiają się m.in. tym, że z większych wspólnot wycofujemy się do małych, zamkniętych, często odwołujących się do tradycji. To daje większe poczucie sprawczości i izoluje od napięć, na które jesteśmy nastawieni „na zewnątrz” – wyjaśnia prof. Małgorzata Jacyno. – Nie marzy się o tym, co oczywiste. Polacy przywiązują do rodziny większą wagę niż kiedyś, bo jest to sfera życia, na którą

kontekście zastanawia fakt, że coraz więcej Polaków wątpi, czy warto się uczyć. „Jeszcze w 2004 i w 2007 r. aż 93% ankietowanych zgadzało się ze stwierdzeniem, że warto się uczyć i zdobywać wykształcenie, potem jednak zaczęła się powiększać grupa osób podających tę opinię w wątpliwość. W 2007 r. zaledwie 5% badanych uważało, że nie warto się uczyć i zdobywać wykształcenia, a w 2013 r. odpowiedź taką podaje aż 16% ankietowanych”, informuje portal Nauka w Polsce. Wśród badanych przez CBOS w roku 2018 tylko dla 11% liczą się aspiracje związane z wykształceniem.

ma kiedyś chciałam robić doktorat. Teraz jest mi wszystko jedno. Nie sądzę, żeby to miało mi coś dać – wyznaje Anna. – Z dyplomu nic nie wynika. Czuję się tak, jakbym nie miała zawodu.

Andrzej: – Chciałbym, żeby moje dzieci dobrze znały języki. Mogłyby potem wyjechać za granicę. Nie sądzę, że samo skończenie studiów ustawi im życie. Mnie nie ustawiło.

Żeby było normalnie

Jeśli prawdą jest, że marzenia są odbiciem strategii i obaw, z polskich aspiracji wyłania się obraz człowieka niepewnego i pełnego lęków, który wycofuje się w rejonny sobie znane. Jest jednak jeszcze coś – choć zarobki i poziom życia Polaków teoretycznie rosną, z jakiegoś powodu wciąż fantazjujemy o spłacie długów, własnym mieszkaniu i większym poczuciu bezpieczeństwa.

– Żeby spokojnie żyć, trzeba mieć na to środki. Trudno cokolwiek zaplanować, jeśli wynajmuje się mieszkanie, którego cena ciągle rośnie, a jak rozstanę się z chłopakiem, nie będzie mnie na to stać – podsumowuje Anna.

Fantazje o dobrobycie i dostatku są w rzeczywistości marzeniami o poczuciu bezpieczeństwa.

– Szczerze mówiąc, nie potrzeba nam wiele do szczęścia – wyznaje Andrzej. – Nie musimy podróżować dookoła świata, ale miło byłoby móc czasem wyjechać z rodziną na wakacje dłuższe niż kilka dni, zamiast brać dodatkowe nadgodziny. Przecież wiadomo, że tam, gdzie mowa o pieniądzu, rzadko chodzi po prostu o pieniądze.

Natalia: – Żeby jakoś dawać sobie radę, potrzebujemy innych ludzi. To ważne, żeby mieć na kogo liczyć. Z drugiej strony chciałabym czasem po prostu nie być nikomu za nic wdzięczna. I żeby nie musieć wszystkiego planować z miesięcznym wyprzedzeniem. Żeby było normalnie.

Katarzyna Wierzbicka



mogą, jak uważają, mieć największy wpływ i poczucie kontroli.

Znamienne, że to odgródzenie pojawia się też wśród elementów idealnego, wymarzonego domu lub mieszkania – jeśli dom, to za miastem, jeśli mieszkanie, to na „nowoczesnym osiedlu na przedmieściach”. Ani jedna z cytowanych tu osób nie wymieniała wśród elementów idealnego domu np. łatwej komunikacji z miastem.

Stracone złudzenia

Inna ciekawa rzecz – jak podkreśla prof. Domański, w marzeniach i wartościach krystalizuje się często strategia, którą wyobrażamy sobie jako „przepis na szczęśliwe życie”. W tym

Prof. Małgorzata Jacyno: – Upowszechnienie się dostępu do edukacji, w szczególności do studiów, miało złagodzić niepokoje społeczne. Na początku lat 90. mówiło się o tym, że to sukces edukacyjny będzie miał największy wpływ chociażby na powodzenie na rynku pracy i że kraj potrzebuje wykwalifikowanych specjalistów. Ludzie więc masowo inwestowali w edukację, szli na studia. Związane z tym oczekiwania ostatecznie jednak się nie sprawdziły.

To rozczarowanie wybrzmiewa także w wypowiedziach niektórych osób opowiadających o swoich nadziejach. – Kiedy byłam w szkole, moi rodzice bardzo cisnęli na ocenę, naukę języków czy studia. Ja sa-

Obława, obława...

Krótki przewodnik, jak za hipotetyczne potknięcie ścigać panią wójt Lesznowoli

Ewa Smolińska-Borecka

Zadenuncjować można każdego. Sąsiada, przyjaciela, nieprzyjaciela, byłą. Ktoś dwa lata temu zadenuncjował do CBA panią wójt podwarszawskiej gminy Lesznowola. Kto – do dziś nie wiadomo. Przed dwoma laty specjaliści od przekopywania się przez dokumenty i faktury kilka miesięcy kontrolowali urząd gminy. Haka nie znaleźli, ale przekazali sprawę do prokuratury. Może ta coś znajdzie? Dziwnym zbiegiem okoliczności trzy miesiące przed tegorocznymi wyborami do Sejmu i Senatu sprawa odżyła. Przypadek? Może.

10 lipca około godz. 6 rano silna grupa z CBA pojawiła się w podwarszawskim domu wójt gminy Lesznowola.

Wójt Lesznowoli po raz pierwszy wygrała wybory samorządowe w 1998 r. I od tamtego czasu wygrywała je za każdym razem.

Pani wójt została zatrzymana o 6.10. Nic nie wiadomo, by zamierzała prysnąć do Brazylii. Miała rano, przejechawszy kilkanaście kilometrów, pojawić się jak zwykle w urzędzie gminy w Lesznowoli. Tymczasem znalazła się w areszcie.

Wsadzanie i puszczanie

Dwa dni po zatrzymaniu sąd uznał, że panią wójt należy jednak wypuścić, bo nie ma podstaw, by siedziała w areszcie. Prokuratura nie dała za wygraną. Kiedy w poniedziałek, 15 lipca, pani wójt przysłała do pracy, dowiedziała się, że ma zakaz wykonywania czynności służbowych. „(...) Oznacza to, że nadal pełnię funkcję Wójta Gminy Lesznowola, gdyż Mieszkańcy zdecydowali o moim wyborze, jednakże nie mogę między innymi podpisywać decyzji administracyjnych czy też innych pism. Zadanie realizuje moja

Zastępczyni pani Iwona Pajewska-Iszczyńska – napisała pani wójt na portalu internetowym urzędu gminy. – Przygotowywane jest zażalenie na postępowanie Prokuratury w tej sprawie. Raz jeszcze pragnę podziękować wszystkim Państwu za wsparcie, empatię oraz solidaryzowanie się ze mną w tych niezwykle trudnych chwilach. Wsparcie otrzymuję od Państwa Mieszkańców naszej Gminy, różnorodnych środowisk opiniotwórczych naszej gminy, a także od wielu Osób z Polski”.

W poniedziałek, 22 lipca, wójt Lesznowoli miała przyjmować interesantów. Bez zapisów. Nie przyjmowała. Ten obowiązek przejęła pani wicewójt. Pani wójt – jak powiedziała jej asystentka – wykonywała swoje obowiązki poza urzędem.

W holu przed gabinetem pani wójt dwie ściany zawieszono są dyplomami, a szklana gablota mieści dziesiątki nagród dla gminy i samej wójt Lesznowoli. Ci życzliwi chlubią się nimi, ci mniej przychylni twierdzą, że to robota PR-owców, a takie dyplomy i statuetki po prostu się kupuje. Faktem jest jednak, że od lat Lesznowola znajduje się w czołówce gmin o najwyższych dochodach podatkowych na jednego mieszkańca. W 2018 r. w rankingu prowadzonym przez Ministerstwo Finansów zajęła 20. miejsce z wynikiem 4275,53 zł na mieszkańca, tuż za słynną gminą Konstancin, która miała nieznacznie lepszy wynik – 4331,68 zł na mieszkańca.

Wójt zaczęła swoje życie zawodowe w gminie Lesznowola pod koniec lat 80., kiedy to poślubiwszy mieszkańca sąsiedniej gminy, zaczęła pracę jako dyrektor szkoły podstawowej w Zabiej Woli oraz gminny inspektor



Uczniowie Zespołu Szkolno-Przedszkolnego im. Noblistów Polskich w Lesznowoli mają do dyspozycji nie tylko bardzo wygodny budynek, ale też piękny stadion.

oświaty. Dziesięć lat później odpowiedziała na anons gminy Lesznowola i została tam kierowniczką urzędu stanu cywilnego. A w 1998 r. wygrała w wyborach samorządowych stanowisko wójta gminy. I od tamtego czasu wygrywała za każdym razem, co pewnie oprócz grona entuzjastów przysparzało i przeciwników. Bo nikt nie lubi silnych wójtów, a kobiet w szczególności.

O swojej drodze z podkarpackiej wioski Chotyniec koło Jarosławia do podwarszawskiej wiejskiej gminy opowiadała na łamach lokalnego miesięcznika „Moja Lesznowola” przed ostatnimi wyborami samorządowymi. Można było się dowiedzieć, z jakiej rodziny pochodzi, jak podnosiła sobie poprzeczkę, by osiągnąć najwyższe stanowisko w gminie i je utrzymać przez ponad 20 lat, ale także o tym, jak poznała męża. Było to 14 lipca 1987 r., kiedy z przyjaciółmi była w kawiarni Wenecja w Warszawie, a młody chłopak siedział przy stoliku nieopodal i dwa razy pożyczył zapalki. Cztery dni przed 32. rocznicą ich poznania znalazła się w areszcie.

W tym wywiadzie ustosunkowała się też do sprawy kontroli CBA w urzędzie gminy zakończonej rok wcześniej. Mówiła: „Trudno mi (...) zaakceptować brudną kampanię pomówień. (...) W ciągu mijającej kadencji różne instytucje do tego uprawnione przeprowadziły w urzędzie gminy więcej kontroli niż przez wszystkie poprzednie lata. Wszystkie



kontrole zakończyły się wynikiem dla urzędu pozytywnym. W jednym wypadku sprawę ze względów proceduralnych skierowano do oceny prokuratury, a dotyczy ona między innymi umorzeń podatkowych. Postępowanie wyjaśniające toczy się w sprawie, a nie przeciw jakiegokolwiek osobie. Umorzenie na kwotę 2,6 mln zł dotyczyło okresu pięciu lat i obejmowało 17 podmiotów prowadzących działalność na terenie naszej gminy. Pragnę podkreślić, że umarzam również podatki ludziom z uwagi na ich sytuację materialną czy losową. Informacje powielane przez moich oponentów, kolportowane szeptanką i przekazywane do organów kontrolnych, mówiły o tym, że taką kwotę umorzyłam firmom z Wólki Kosowskiej, co jest ewidentną nieprawdą”.

Z powodu pomówień pod adresem jej samej i samorządu gminy wójt wystąpiła do sądu przeciwko ich autorom. W pierwszej instancji gmina wygrała. Wtedy pani wójt nie przypuszczała, że sprawa umorzeń i gruntów po dawnym gospodar-

stwie Mysiadło powróci przed kolejną kampanią wyborczą.

Wsparcie

Już nazajutrz po zatrzymaniu pani wójt część radnych obecnej i poprzedniej kadencji wystosowała oświadczenie. Podpisało je 30 osób. Napisali w nim: „(...) Wójt gminy Lesznówola pani Maria Jolanta B.-W. jest osobą o wielkich zasługach (...) na rzecz lokalnej społeczności. Po 20 latach pełnienia funkcji Wójta gminy Lesznówola (...) w ostatnich wyborach uzyskała ponad 77-procentowe poparcie, które odzwierciedla ogromne i uzasadnione zaufanie, jakim darzą ją mieszkańcy gminy. Zawsze na pierwszym miejscu stawiała ich dobro. Od lat pani Wójt jest jednym z najlepszych samorządowców w Polsce, wielokrotnie nagradzanym. Jej działalność cechuje się najwyższymi standardami. Jej nieskazitelnym charakter, uczciwość i prawość działania w sferze publicznej i prywatnej pozostaje poza podejrzewaniem. Tryb

zatrzymania przez CBA budzi nasz sprzeciw”.

Przewodnicząca rady gminy Bożenna Korlak nie chce się wypowiadać w sprawie pani wójt. Przyznaje jednak, że chociaż jest radną już szóstą kadencję, po raz pierwszy miała do czynienia z sytuacją, w której klub radnych został rozwiązany z powodu zmniejszenia się liczby członków poniżej trzech. A doszło do tego w lipcu, bo troje radnych zostało wyrzuconych z klubu PiS, po tym jak podpisali się pod oświadczeniem. Radny Krzysztof Łupiński nie jest gotowy na rozmowę, Małgorzata Bobrowska najpierw stwierdza, że jest osobą wierzącą, a decyzja o złożeniu podpisu pod oświadczeniem była zgodna z jej sumieniem, i zgadza się na rozmowę, potem jednak zgodę cofa, bo nie dostała jeszcze pisemnej decyzji o usunięciu z klubu.

Ostatecznie na rozmowę zgadza się tylko Łukasz Grochala. – W tym momencie uznałem, że powinienem poprzeć panią wójt. Tak mi podpowiadało sumienie – mówi. – To, czy jest winna, czy nie, rozstrzygnie sąd. My jako radni możemy się opierać na stanie wiedzy, jaki mamy. Jestem radnym nieprzerwanie od 2006 r. Od początku współpracuję z panią wójt. W pierwszej kadencji byłem radnym niezależnym, potem przez dwie kadencje radnym z komitetu wyborczego pani wójt. W ostatnich wyborach startowałem z list PiS. Wiem, że część osób głosowała na mnie, bo znała mnie z działalności w samorządzie w poprzednich latach, do nich doszli sympatycy PiS, ale część wyborców, również moich znajomych, nie głosowała na mnie, bo startowałem z listy PiS. Skoro 11 lipca podpisałem dokument, który został źle odebrany przez partię, to rozumiem, że poniosłem tego konsekwencje. W pewnym sensie wróciłem do korzeni, ponieważ znowu jestem radnym niezależnym. Czy zatrzymanie pani wójt to sprawa polityczna? Moim zdaniem nie. Ja o całej sprawie dowiedziałem się z mediów. Przy okazji zostałem pomówiony, że to ja stałem za zawiadomieniem CBA i zatrzymaniem pani wójt i rzekomo chciałem przejąć władzę w gminie. Czy zwykły radny z podwarszawskiej gminy ma przełożenie na decyzje szefa CBA? To niedorzeczne. ▶

► Na rozmowę zgadza się również jedyny radny PiS, jaki został w radzie gminy. – Decyzję o wyrzuceniu trzech radnych z klubu PiS podjęły władze partii – wyjaśnia Bartłomiej Soszyński. – Dzień wcześniej, czyli w dniu zatrzymania pani wójt, było spotkanie z władzami PiS i zapadły uzgodnienia dotyczące stanowiska naszego klubu. Pismo przygotowane przez radnych było złe. Ono nie powinno kwestionować procedur służb. Gdybym miał cokolwiek podpisać, byłoby to poręczenie dla sądu, czyli osobiste zapewnienie, gdzie stwierdzam, że swoim słowem i honorem gwarantuję, że oskarżony, pozostając na wolności, stawia się na każde wezwanie prokuratora lub sądu i nie będzie utrudniał postępowania. Ale nikt nie pomyślał, żeby takie poręczenie wystawić. Jednak przynajmniej, że przy takim stanie mojej wiedzy na temat zarzutów w stosunku do pani wójt,

gry, w którym nie my jesteśmy rozgrywanym i nie my mamy w tym interes. Kto wobec tego? Nie wiem.

Żal o chodnik i drogę

Kiedy się krąży po gminie, można się przekonać, że z powodu ostatnich wydarzeń i nalotu CBA na panią wójt ludzie są bardzo nieufni. Niektórzy proszą o pokazanie legity-

W ostatnich wyborach wójt Lesznnowoli miała 77% poparcia.

macji dziennikarskiej, obawiając się prowokacji. Większość rozmówców bardzo pozytywnie ocenia wójt Lesznnowoli. Uważają, że sprawa została wyciągnięta na potrzeby kampanii wyborczej. I że nikt rozsądny – tu wymowne spojrzenie na mnie – nie ma wątpliwości, że jest to sprawa polityczna. Nikt jednak nie chce podać

W każdej chwili może się pojawić ustawa, która będzie dyskryminować np. osoby zbyt wysokie albo rude. I nagle trafię w tryby maszyny, która poniżej i dyskryminuje niektórych ludzi.

Chyba najbardziej niezadowolone z rządów pani wójt wydaje się sołectwo Łazy II. W czasach PRL znaczną jego część zajmował PGR. Byli pracownicy mieszkają w wykupionych mieszkaniach w trzech popegeerow-

skich budynkach. Obok powstał budynek z mieszkaniami socjalnymi. Nietrudno się domyślić, że ci ludzie podatkami najmniej wspierają gminę. Rozmówców znajduje tylko na placu ku odwiedzanym przez piwoszy. Mają żal do pani wójt, że przez kilka lat nie powstał chodnik w pobliżu placu. Na rogu ulicy Makowej i ks. kanonika H. Słowieskiego wisi zaś transparent informujący, że od 12 lat gmina nie wykonała drogi. Owszem, poprowadzono przewody elektryczne i zainstalowano latarnie, wykonano odwodnienie drogi, ale kostki nie położono. Siedmiu właścicieli domów przy Makowej musiałoby zrobić zrzutkę, żeby kupić żwir i utwardzić drogę, by nie brnąć w błocie. – A przecież płacimy takie wysokie podatki – wytyka jedna z mieszkanki. I informuje, że na pobliską oczyszczalnię ścieków też musieli się zrzucić mieszkańcy sołectwa Łazy II.

Modlitwy

Do wspierających panią wójt dołączył proboszcz parafii św. Marii Magdaleny w Magdalence. – Jestem proboszczem od 14 lat i mogę zaświadczyć o bardzo dobrej współpracy pomiędzy naszą parafią, czy innymi parafiami na terenie gminy, a Urzędem Gminy Lesznnowola i personalnie panią wójt – mówi ks. Mirosław Cholewa. – Ta współpraca miała i ma miejsce na wielu płaszczyznach: edukacyjnej, sportowej, kulturalnej, charytatywnej, profilaktyki przeciwko uzależnieniom itd. Daj Boże, żeby w każdej społeczności lokalnej tak właśnie mogła przebiegać współpraca. Natomiast gdy chodzi o samą panią wójt, ja postrzegam ją pozytywnie i osobiście bardzo cenię jako osobę nie tylko kompe-



W urzędzie gminy można zobaczyć dziesiątki dyplomów i nagród dla gminy i samej pani wójt.

jaki mam, nie mógłbym poręczenia podpisać. Wszystkie dokumenty są poufne, nie ma oficjalnego aktu oskarżenia. W 2017 r. CBA robiło kontrolę dotyczącą okresu 2012-2017. Nic nie wykryto. Teraz pojawiły się sprzeczne informacje. Nie znam tej sprawy. PiS w niej paluchów nie maczało. Wiem to od szefa struktury wojewódzkiej, który zapewnił nas, że ta sprawa nie jest polityczna. Zatrzymanie to element

nazwiska i właściwie trudno temu się dziwić. To zwyczajni mieszkańcy gminy, którzy sądzili, że gierki polityczne ich nie dotyczą. – Do tej pory myślałam, że skoro nie angażuję się w działalność polityczną czy samorządową, to jestem jakby bezpieczna, nie można mnie wkręcić w jakąś aferę – mówi jedna z mieszkanki. – Teraz, widząc, co się dzieje wokół pani wójt, dochodzę do wniosku, że brak zaangażowania nie zapewnia mi bezpieczeństwa.



W gminie Lesznowola dużo się dzieje.

tentną i świetnie zarządzającą gminą, ale także uczciwą i wiarygodną. Wiem o tym, że w ciągu tych wielu kadencji podejmowała różne trudne decyzje. Wiem też, i to mogę zaświadczyć, bo byłem przynajmniej kilkakrotnie świadkiem tego, że zanim podejmowała jakieś decyzje, zawsze starała się bardzo wnikliwie analizować dany problem i od strony prawnej, i od strony możliwych konsekwencji. To jest najlepszym świadectwem zaufania wobec niej, że od

wyjaśniane, to – jak wskazuje do-tychczasowa cała służba pani wójt – wszystko wyjaśni się pozytywnie.

O wójta się nie bójta

Dziennikarz Andrzej Kwiatkowski, redaktor naczelny miesięcznika „Moją Lesznowolę”, mieszka w tej gminie od 30 lat. Dla pani wójt ma dużo szacunku. A sprawę jej zatrzymania i zakazu wykonywania obowiązków służbowych ocenia negatywnie.

W ubiegłym roku przed wyborami samorządowymi można było usłyszeć, że B. powinna się wycofać z kandydowania na wójta, bo jak nie, to będzie siedzieć.

przeszło 20 lat była wybierana przez naszą społeczność na wójta gminy. W ostatnim czasie została uznana za najlepszego wójta całego dziesięciolecia w Polsce. Jest na pewno osobą wielkiej kultury, która do tej społeczności wnosi wiele pokoju. Pani wójt potrafi rozmawiać z każdym, potrafi wyjaśniać skomplikowane sprawy, godzić nawet sprzeczne, wydaje się, interesy. Jesteśmy wstrząśnięci taką sytuacją. W ogłoszeniach na koniec mszy świętej zwróciłem się do parafian z prośbą o modlitwę, żeby ta trudna sprawa została sprawiedliwie, naprawdę sprawiedliwie rozwiązana. A wierzę i ufam, że jeśli będzie to sprawiedliwie i zgodnie z prawem

– Ta sprawa brzydko pachnie – uważa Kwiatkowski. – Jeśli ludzie mówią, że ma ona jakieś drugie dno, to analizując materiały, które ukazały się choćby w piaseczyńskiej telewizji (itvpiaseczno.pl), jestem skłonny tę opinię podzielić. Już w ubiegłym roku przed wyborami samorządowymi można było usłyszeć, że B. powinna się wycofać z kandydowania na wójta, bo jak się nie wycofa, to będzie siedzieć. Pani wójt mówiła o brudnej przedwyborczej kampanii pomówień, o bezpodstawnych zarzutach dotyczących kwoty umorzonych w ciągu kilku lat podatków, o donosach kierowanych do różnych instytucji kontrolnych i kontrolach

przeprowadzanych w związku z tym w urzędzie gminy. Mówiła o tym na zebraniach wyborczych i, jak wiemy, głosowało na nią prawie 80% mieszkańców biorących udział w wyborach. Zatrzymanie pani wójt było szokiem. Gdy sąd odrzucił wniosek prokuratury o trzymiesięczny areszt, ludzie zaczęli się zastanawiać, co to były za zarzuty, których nie podzielił sąd. Rozsądek podpowiada, że nie były mocne. Wszystkie dowody w sprawie były od kilkunastu miesięcy w posiadaniu organów kontrolnych, więc z pewnością dokładnie je przeanalizowano. Jeśli na ich podstawie nie dało się sformułować zarzutów, które by przekonały sąd, to mamy prawo pytać, o co tu chodzi. Może ma rację felietonista urynowskiej „Passy”, który w tekście „O tego wójta się nie bójta!” napisał o „zamachu na bogatą, wywindowaną na same szczyty gminę”? Tym bardziej że pomimo zwolnienia pani wójt i entuzjastycznego jej powitania w urzędzie, wielu listów poparcia od mieszkańców i instytucji, słysząc, że „powinna się podać do dymisji”. Taki scenariusz jest w pewnym sensie realizowany, bo w informacji zamieszczonej przez panią wójt na stronie urzędu gminy można przeczytać, że aktualnie przygotowywane jest zażalenie na postanowienie prokuratury w tej sprawie. Z mojej wiedzy wynika, że zażalenie zostało złożone do właściwego sądu.

Ewa Smolińska-Borecka

Dziennikarz tygodnika „NIE” opisuje w najnowszym numerze swoje przygody z urzędnikami zatrudnionymi w Centrum Informacyjnym Rządu.



Rzeczpospolita ruska

Pozamykaliśmy niemal wszystkie okna na świat Wschodu. Powszechna po roku 1989 nieznajomość cyrylicy jeszcze ten proces pogłębia

Rozmawia
Anna Radziukiewicz

Panie profesorze, woła pan o szerszy oddech kultury polskiej.

– Wołam o uwzględnienie ruskiego komponentu, szczególnie literackiego, w kulturze Rzeczypospolitej.

To wołanie słyszę szczególnie w książce „Wschodnim pograniczem literatury polskiej. Od średniowiecza do oświecenia”, która ukazała się w serii Biblioteka Literatury Pogranicza jako 27. tom redagowanej przez pana serii. Wychodzi pan tu poza granice wytyczane przede wszystkim przez język polski. Dlaczego?

– Bo jeśli Rzeczpospolita była projektem wspólnotowym, to jej kultura, w tym literatura, musiała przekraczać ramy jednego języka.

Czy wystarczą kryteria językowe, by danego pisarza nazwać np. polskim?

– Oczywiście, że nie wystarczą, bo jeśli pisarz tworzył w kilku językach, jak szczególnie na wschodzie tego polsko-litewskiego dwójpąństwa, tworzącego od 1569 r. Rzeczpospolitą, to jak go klasyfikować? Przecież w dawnej Rzeczypospolitej używano w piśmie, więc i w literaturze, mowy ruskiej, cerkiewnosłowiańskiej, litewskiej, polskiej, łaciny, potem i tzw. mowy prostej, wyrastającej z ruskiej, która wchłonęła wiele polonizmów z pogranicza. Ale według Alfredasa Bumblauskasa w Wielkim Księstwie Litewskim używano także dwóch języków niemieckich – pruskiego i inflanckiego – czeskiego i arabskiego.

Jaka część ludzi w przedrozbiorowej Rzeczypospolitej posługiwała się językiem polskim?

– Mniejszość. W XVII stuleciu innymi językami niż polski, głównie mową ruską, posługiwało się 60% mieszkańców. A na ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego, wchodzącego



PROF. ANDRZEJ ROMANOWSKI

– polonista, redaktor naczelny „Polskiego Słownika Biograficznego”, publicysta

od 1385 r. w coraz bliższy mariaż z Koroną Polską, Rusini stanowili ok. 90% mieszkańców i mowy ruskiej używali w literaturze, kronikach, pismach, dyplomacji, kancelarii wielkoksiążęcej i nie tylko na dworze w Wilnie, w zasadzie aż do 1696 r., kiedy decyzją Sejmu została ona stamtąd wyprowadzona, ale nawet na dworze królewskim w Krakowie.

W Krakowie?

– A w jakim języku, przynajmniej na początku panowania, mogli dworzanie zwracać się do Władysława Jagiełły, zrodzonego z matki Rusinki Julianny Twerskiej, wyrastającego w ruskim otoczeniu w Witebsku czy w Wilnie, w którym na dworze

jego ojca Olgierda ruski był językiem urzędowym? Ale to nie Jagiełło przybył pierwszy do Krakowa z ruską mową. Kiedy ostatni Piast – Kazimierz Wielki – zajął w połowie XIV w. całą Ruś Halicką i część Włodzimierskiej, opierając się o Gospodarstwo Mołdawskie, mowa ruska, obok łaciny, musiała wkroczyć jako kancelaryjna na dwór królewski w Krakowie. Bo jak inaczej się porozumieć z możnymi ruskimi rodami z tamtych ziem, zanim nie zostały one spolonizowane? A proces polonizacji i latynizacji trwał ze dwa wieki.

Czyli nie możemy zaliczyć do kategorii przypadku krakowskich cyrylickich druków z końca XV w.?

– To nie był przypadek. Zjawisko to dziś niepojęte, zdumiewające, że etniczny Niemiec Szwajpolt Fiol drukuje cyrylicą etnicznym Rusinom w stolicy Królestwa Polskiego cztery księgi liturgiczne, i to w łącznej objętości ponad tysiąc stron. Pierwsze cyrylickie w świecie. I pierwsze druki o takim rozmachu w Polsce.

Aż 21 listopada 1491 r. Fiol został oskarżony o herezję, stanął w Krakowie przed sądem biskupim i został uwięziony.

– A drukarnię zamknięto. To był pierwszy akt polskiej cenzury kościelnej. **Analizuje pan kulturę druku, jakże istotną dla rozprzestrzeniania literatury. Zagląda pan do Wilna, czyli drugiej stolicy tego dwójpąństwa. I co pan tam widzi?**

– Że pierwsze druki były ruskie. Pierwsza w dziejach Wilna drukarnia tłoczyła księgi wyłącznie cyrylickie, za sprawą Franciszka Skaryny, lekarza z Połocka, niewątpliwie prawosławnego. Drukarnia została założona w 1522 r. w domu burmistrza Jakuba Babcza w dzielnicy Wilna zwanej Ruskim Miastem. Na pierwsze wileńskie druki w języku litewskim trzeba było czekać aż do 1595 r. Drukarstwo cyrylickie miało w Wilnie monopol przez ponad pół wieku, aż do 1571 r., do

wkroczenia drukarstwa łacińską. Dominującą pozycję piśmiennictwa cyrylicznego w Wilnie potwierdziła kancelaria wielkiego kniazia Zygmunta Jagiellończyka, ogłaszając w 1529 r. w mowie ruskiej Statut Wielkiego Księstwa Litewskiego. W tym samym wieku przygotowała jeszcze dwie kolejne jego redakcje, także w mowie ruskiej. Drugi statut zalecał: *pisar ziemskij majet' po rusku literami i słowy ruskimi wsi listy, wypisy i pozwy pisaty, a nie innym jazykom i słowy*.

W XVII w. innymi językami niż polski – głównie mową ruską – posługiwało się 60% mieszkańców przedrozbiorowej Rzeczypospolitej.

Jakie miejsce zajmowały rękopisy cyryliczne, potem druki, w Wielkim Księstwie Litewskim?

– Były najistotniejszym składnikiem kultury Wielkiego Księstwa Litewskiego od XIII do XVI w. Według Marii Barbary Topolskiej łacińską posługiwał się tylko wąski krąg dworskich intelektualistów. Ruskiej mowy używano nawet w szkołach katolickich. Jest ślad, że uczono jej i w wileńskiej katolickiej szkole katedralnej, bo Litwa nie mogła się obejść bez diaków znających ruszczyznę w mowie i piśmie. Ruskie oblicze litewskiej kultury potwierdzają ewangelie, statuty, kroniki, literatura. Rewolucja językowa zaczęła się dokonywać bynajmniej nie po 1386 r., czyli po decyzji wielkiego kniazia Jagiełły o przyjęciu wiary katolickiej przez Litwę i pojawieniu się katolickiego kleru, głównie z Polski. Zbyt silna i głęboko zakorzeniona była wtedy ruska kultura, by łatwo mogła ustąpić innej. Ta rewolucja w Wielkim Księstwie Litewskim nastąpiła dopiero w latach 50. XVI w.

Dlaczego wtedy?

– Stało się to za sprawą importu z Korony protestantyzmu, dokonanego głównie przez możliwe rody, np. Radziwiłłów. Ich dwory miały polskie oblicze. To protestantyzm stał się nośnikiem języka polskiego na Litwie. Uciekający z Polski kalwini także nieśli do Litwy polską kulturę.

A w wieku XVII?

– Wtedy język polski wypierał cerkiewszczyznę i mowę ruską ze wszelkich salonów, również literackich, za sprawą unii kościelnej z Rzymem. Na ziemiach ruskich Rzeczypospolitej upowszechniał się alfabet łaciński.

„Rzeczpospolita wcale nie była wyłącznie Polską, Rzeczpospolitą musimy się podzielić”, wołał u progu lat 90. XX w. historyk, prof. Jerzy Kłoczowski. Jak nazwać ową wspólną dla Rzeczypospolitej literaturę – rzeczpospolicką?

– Niestety, nie mamy takiego terminu. Ukraińcy mają.

Pochyla się Pan nad różnorodnością literatury Rzeczypospolitej.

– Nie mogę być obojętny wobec 600-letniej polsko-ruskiej symbiozy

kulturowej, dokonującej się w jednym organizmie państwowym, choć wiem, że przekonanie o łacińskich korzeniach kultury polskiej jest najbardziej utrwalonym składnikiem poczucia tożsamości narodowej Polaków. I wiem, że świadomość wielojęzyczności i wielokulturowości Rzeczypospolitej zniknęła zwłaszcza po 1945 r., kiedy Polska wróciła do piastowskich granic, chociaż określenie to uznaję za dość bałamutne. Nie godzę się na lekceważenie wielokulturowości, w tym na wypuklenie *latinitas* kosztem osłabienia tekstów ruskich, nie rzadko – kosztem prawdy. Bliskie jest mi stanowisko Marii Janion o słowiańskim horyzoncie kultury polskiej, projektującej alternatywną opowieść o kulturze polskiej, dotąd zbyt często odcinającej się od Wschodu. Powtarzam: przedrozbiorowe państwo polskie było, jeśli nie cały czas, to przynajmniej w swoich korzeniach, państwem polsko-ruskim. I taka była jego kultura.

Filologia polska skreśla z pola zainteresowań zjawiska łączące się z prawosławiem i kulturą ruską, a nauka rosyjska przyjmuje je po prostu za własne.

– Tymczasem nieusprawiedliwione jest jedno i drugie.

Czy nadszedł czas na uporządkowanie sławistycznych poletek?

Stawiam to pytanie panu jako osobie znającej literaturę ruską, której dziedzicami stali się współcześni Białorusini i Ukraińcy.

– Ja stawiam sobie wiele pytań. Jeśli pisarz był dwujęzyczny, to jak jego twórczość rozparcelować?

Nazwać go pisarzem polskim czy ruskim? A jeśli jest etnicznym Polakiem, ale żył otoczony ruskim morzem, bo jego przodkowie przybyli na Ruś z Korony, i wchłoniął ruskie byliny, podania, tradycję poznał, ale pisał po polsku, odbijając ruski świat, to do kogo należy? A takich było wielu. A jeśli ruski polemista – polemika na wysokim poziomie rozgorzała w czasach wprowadzenia postanowień unii brzeskiej z 1596 r. – pisał po polsku, by dotrzeć do Polaków łacinników, to jaka to literatura – ruska czy polska? A jeśli twórca oświadcza, że pisze po polsku, ale nie jest Polakiem? A jak opisać sytuację, gdy pogranicze, zwane Kresami, wkracza do centrum? Tak przecież było, przede wszystkim za sprawą Adama Mickiewicza, ukształtowanego przez białoruski folklor i historię Wielkiego Księstwa Litewskiego, a Polski etnicznej niemal nieznającego?

Te pytania mają sens.

– Można je mnożyć. Na przykład kim jest Mikołaj Hussowski, z rodziny polskich kolonistów, którzy osiedli na Rusi? Napisał słynną „Pieśń o żubrze”. Po łacinie. Opiewał w niej tereny nad Płoczą. I był to w zasadzie pierwszy rozbudowany opis ziemi ruskiej w dotychczasowej literaturze Słowian. A przedstawiany przez niego kraj nazywał się Litwą. Hussowski figuruje w podręcznikach literatury

Nie mogę być obojętny wobec 600-letniej polsko-ruskiej symbiozy kulturowej.

białoruskiej. A Mikołaj Rej, nazwany ojcem literatury polskiej (1505-1569)? Może powinniśmy go określać jako Mikołaja z Rusi, a nie z Nagłowic? Na ile był Rusinem? Ojciec Stanisław pochodził z Nagłowic z Małopolski, ale matka Barbara z Herburtów, z rodu związanego z Rusią od wielu pokoleń. Ojciec przeniósł się na Ruś. Tam, w Żurawnie, na ziemi lwowskiej, urodził się Mikołaj. Aleksander Brückner pisał: „Dworek p. Stanisława (ojca Reja) był wysepką polską w morzu ruskim”. Ale też dodawał: „Rej nigdy słówkiem ruskim ani wzmianką o Rusi nie zdradził, że z niej wyrósł”.

Może więc nazwać Reja pierwszym piszącym po polsku twórcą z Rusi?

– Może.

► **A rówieśnik Reja, Stanisław Orzechowski, urodzony z matki Rusinki?**

– Pisał o sobie w 1544 r.: „Urodzony Rusin, który przyjął rzymski obrządek”, czyli *gente Roxolanus (Ruthenus) natione Polonus*. „Ojczyzną moją jest Ruś”, pisał w 1564 r. do kardynała. Osiadł jako pleban w podprzemyskiej Żórawicy. Był życzliwy wobec Cerkwi prawosławnej. Ale

poetą łacińsko-polskim, wybitnym krasomówcą polsko-łacińskim. Do jakiej kultury go zaliczyć, polskiej czy ruskiej? Teofan Prokopowicz to też postać trudna do zaszeregowania. Podobnie jak Jaworowski skończył Mohylańkę, przeszedł na katolicyzm w obrządku greckim, studiował w kolegiach jezuickich Rzeczypospolitej, Rzymu i krajów niemieckich, po czym

się słowianofilem i rusofilem, nawet apologetą rozbiorów. W liście do Naruszewicza z 1787 r. chwalił carycę Katarzynę II za jej sukcesy militarne i polityczne.

Widzi pan profesor więcej i szerzej niż niemal każdy inny polonista.

– Nie godzę się na radykalne i głębokie rozdzielanie słowiańskich poletek filologicznych, ponieważ widzę wpływy i przenikanie kultur. Nie chcę być zakładnikiem polityki. Dlatego piszę o osiągnięciach we wspólnym polsko-ruskim państwie ruskiego piśmiennictwa, drukarstwa, ale i o procesie wypłukiwania ruskości z ziem ruskich, zwłaszcza poprzez działalność oświatową zakonu jezuitów, którzy gęstą siecią kolegiów pokryli ziemie współczesnej Białorusi, Litwy i Ukrainy. Piszę o procesie, który sprawił, że nawet Kijów opoławiała polszczyzna. To był wiek XVII. Wtedy polszczyzna była obecna na Rusi na każdym kroku. Wśród Rusinów, i nie tylko unitów, pojawili się piewcy okcydentalizacji.

Polskie oświecenie było już epoką bez Rusi?

– Tak, pierwszą od średniowiecza. Ruś w XVIII w. w kulturze polskiej przestała ograć dotychczasową rolę. Wtedy wszystkie prawosławne diecezje przeszły na nią, oprócz jednej, mohylańskiej, zwanej białoruską, traktowanej jako ciało obce, poddane rosyjskiej infiltracji. Kościół unicki latynizował się i polonizował wraz ze swoim ludem. Unia, pozbawiona konkurencji ze strony prawosławia, przestała być drożdżami kultury, a już



Na dworze Władysława Jagiełły, przynajmniej w początkach jego panowania, rozmawiano po rusku. Nz. anonimowa rycina przedstawiająca Jagiełłę i Jadwigę.

w 1547 r. musiał na ręce biskupa przemyskiego złożyć przysięgę, że nie będzie bronił „sektu Rusinów” ani jej błędów. Niebawem przysięgę odwołał. Pisał po łacinie i potem, wzorem Reja, po polsku.

Nazwisko Szymona Budnego znajdziemy w każdym podręczniku literatury białoruskiej, ale nie w każdym polskim.

– A jest on Polakiem, dokładniej Mazurem, pochodzącym z przyłączonego do Korony Mazowsza. Jego księgi, jako kalwina, potem członka wspólnoty Braci Polskich, wytłoczono cyrylicą w radziwiłłowskiej drukarni w Brześciu. Pisał też po polsku i po łacinie. Albo mniej w Polsce znani – jednym z nich jest Stefan Jaworowski (1658-1722). Studiował w prawosławnej Akademii Mohylańskiej. Potem przyjął katolicyzm i uczył się w jezuickich kolegiach Lwowa, Lublina, Poznania i akademii Wilna. A później wrócił do prawosławia, zostając mnichem ławry Peczerskiej w Kijowie. Był

wrócił do prawosławia. Został uznany za klasyka literatury rosyjskiej, choć pisał także po rusku, po polsku i w łacinie, która pozostawała jego głównym językiem.

Niemal wszyscy czołowi pisarze doby stanisławowskiej, a nawet król Stanisław August, przywędrowali do Warszawy z ziem rusko-litewskich.

Doba stanisławowska to już całkowite panowanie kultury polskiej. Wtedy nie możemy już mówić o ruskim komponencie?

– Możemy, ponieważ niemal wszyscy czołowi pisarze tej doby przywędrowali do Warszawy z ziem rusko-litewskich. Adam Naruszewicz spod Pińska, Julian Ursyn Niemcewicz spod Brześcia, Franciszek Karpiński z okolic Kołomyi. Nawet król Stanisław August pochodził z ziem rusko-litewskich. A Stanisław Trembecki, pochodzący z Krakowskiego, osiadł na Braclawszczyźnie, okazał

na pewno nie odgrywała roli bastionu ruskości na ziemiach ruskich Rzeczypospolitej.

Oficjalna polska polityka, a za nią kultura, wylewa jak dziecko z kąpielą cały dorobek Wschodu, w tym rodzimy – ruski, dziś pograniczno-przygraniczny, białoruski i ukraiński, a nawet litewski.

– Ubolewam nad tym procesem. Pozamykaliśmy niemal wszystkie okna na świat Wschodu. Powszechna w Polsce po 1989 r. nieznajomość cyrylicy jeszcze ten proces pogłębia.

Anna Radziukiewicz



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Bitwa o Warszawę, Polskę

Jeśli historia jest polem bitwy, to powstanie warszawskie jest jednym z najbardziej zażartych bojów. Trudno dołożyć coś nowego, niefatwo odnaleźć inną, niezbadaną, nieodkrytą wcześniej perspektywę. I nie mam tu ochoty wyzośliwiać się nad radną PiS, która zareagowała przenajświętszym oburzeniem na naklejki z powstańczą kotwicą i towarzyszącymi jej słowami: przeciw faszyzmowi, bo nawet absurd ma swoje granice. W przeciwieństwie, jak się okazuje, do bezgranicznej ignorancji. Docenić można te wysiłki, które pozwalają przypomnieć (a dzisiaj pewnie precyzyjniej byłoby powiedzieć: uświadomić) tło społeczne i wymiar polityczny powstania jako wydarzenia przygotowującego budowę nowej Polski po wojnie.

W tym kontekście ważne było ostatnio przywołanie przez Martę Tycner i Adama Tycnera w magazynie „Kontakt” tekstu Zygmunta Zaremby, socjalisty, publicysty, emigracyjnego polityka, członka podziemnego parlamentu, który pisał w 1944 r.: „Od czasu klęski wrześniowej, w której załamała się fizycznie i moralnie system sanacyjnej dyktatury, życie Polski wyraźnie oparło się o siły ludowe. Fundamentem, z którego wyrosła nieugięta walka narodu w czasie okupacji, tak na odcinku wojskowym, jak i cywilnym, były PPS i Stronnictwo Ludowe. Związek Walki Zbrojnej, powstały w końcu 1939 roku, przekształcony później w Armię Krajową, przyjął za podstawę polityczną sojusz robotniczo-chłopski. Krajowe Porozumienie Polityczne, będące w pierwszej fazie głównym ogniskiem kierowniczym oporu polskiego, i późniejsza Rada Jedności Narodowej, funkcjonująca jako parlament Polski Podziemnej, bazowały przede wszystkim na siłach PPS i Stronnictwa Ludowego.

W wyniku zwrotu dziejów ciężar walki i odpowiedzialności narodu przeszedł na masy ludowe i mimo oporu stawianego przez żywioły wsteczne, przemiana ta znalazła szeroki wyraz w wewnętrznym życiu Polski Podziemnej. Było ono przesiąknięte na wskroś ideałami demokracji nie tylko politycznej, ale i społecznej” („Społeczne oblicze powstania”, tekst pierwotnie ukazał się 3 września 1944 r. w „Robotniku”, dzienniku PPS wydawanym w powstańczej Warszawie, potem wszedł do książki Zaremby „Powstanie sierpniowe”, wydanej po angielsku jako „The Warsaw Commune”).

Dalej dookreślany był przez Zarembę szkielet systemu politycznego powojennej demokracji: „Podstawami ustroju Polski, jako Rzeczypospolitej demokratycznej, będą:

a) przyszła konstytucja, zapewniająca sprawne rządy, zgodne z wolą ludu;

b) demokratyczna ordynacja wyborcza do ciał ustawodawczych i samorządowych, dająca wierne odzwierciedlenie opinii społeczeństwa;

c) przebudowa ustroju rolnego przez parcelację przeznaczonych na ten cel posiadłości niemieckich i obszarów ziemskich ponad 50 ha oraz kierowanie nadmiaru ludności rolnej do pracy w przemyśle i rzemiośle;

d) uspołecznienie kluczowych gałęzi przemysłu;

e) współudział pracowników i robotników w kierownictwie i kontroli produkcji przemysłowej;

f) zagwarantowanie wszystkim obywatelom pracy i dostatecznych warunków bytu;

g) sprawiedliwy podział dochodów społecznych;

h) upowszechnienie oświaty i kultury”.

Zarówno te teksty, jak i kontekst polityczny opisywany choćby w systemie edukacji powszechnej – żeby nie wspominać o wysiłkach propagandowych IPN, dla którego powstańcza odyseja i jej wymiar nie tylko zbrojny przestały być w ostatnich latach istotne, bo wypiera je bałwochwalcza i kłamliwa próba rehabilitacji skrajnych, prawicowych formacji zbrojnych typu NSZ

Pokusa baśniowego uprawiania polityki historycznej dominuje od lat i pochłania gigantyczne środki publiczne.

– znalazły się na marginesie historycznej opowieści. Pokusa baśniowego uprawiania polityki historycznej nieestetycznie dominuje od lat, pochłaniając gigantyczne środki publiczne. Służy polaryzacji i bardzo bieżącej, doraźnej perspektywie budowania konfliktu politycznego, za cenę skrajnego w najlepszym razie spłaszczenia lub po prostu wygenerowania opisu niewytrzymującego jakiegokolwiek weryfikacji.

Od miesięcy niemal codziennie w swoim czasowym miejscu pracy oglądam Warszawę z praskiej strony. Miasto, którego nie było – żyje. Mieszkańcy pracują, bawią się, martwią i cieszą. Miasto przeżyło własną śmierć. Narodziło się nowe życie. Nad tamtą ofiarą dobrze pochylić się w milczącym wspomnieniu i współczuciu. Nie warto mitologizować tamtych strasznych, okrutnych, pełnych cierpienia i śmierci dni. Trzeba o nich pamiętać, bo Warszawa musi dalej żyć i powinno to być lepsze życie. Również do tego wysiłku lektura tekstu Zaremby może być bardzo przydatna. Nieskończenie bardziej niż ryki pogrobowców polskiego faszyzmu i dymy z ich rac, którymi zawłaszczają kolejne bolesne wspomnienie.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Modny turysta zabija planetę

Rejsy wielkimi wycieczkowcami, turystyka wysokogórska czy eksploracja dżungli – nowe trendy turystyczne niszczą środowisko

Gigantyczny wycieczkowiec w Zatoce Weneckiej.



Mateusz Mazzini

W pierwszych dniach maja rząd Nepalu rozpoczął jedną z najdroższych i najbardziej skomplikowanych logistycznie operacji w swojej historii. Nie chodziło jednak o działania militarne, inwestycje infrastrukturalne ani o akcję ratunkową dla zagrożonych himalaistów. Tamtejsza narodowa agencja turystyczna wysłała 14 wspinaczy (w tym po przeszkoleniu wojskowym) w najwyższe partie Himalajów. Cel: znieść śmieci pozostawione przez zespoły wspinaczkowe. Początkowo władze tego małego państwa zakładały, że drużyna zbierze 10 ton odpadów w ciągu półtora miesiąca rotacyjnej misji. Kiedy jednak waga śmieci przekroczyła 3 tony, zanim jeszcze rządowi wspinacze podeszli pod najwyżżej położone obozy

w drodze na Mount Everest, plany trzeba było zweryfikować – głównie dlatego, że bez pomocy helikoptera nepalscy himalaści nie dawali już rady znosić resztek sprzętu, puszek po jedzeniu, butli z tlenem czy... pamiątek pozostawionych w górach.

Zalewająca Himalaje fala śmieci jest o tyle trudnym do zrozumienia zjawiskiem, że teoretycznie dotyczy jednego z najtrudniejszych do eksploracji miejsc. Tymczasem wyprawy wysokogórskie, do których zaliczają się komercyjne wejścia na najwyższe szczyty świata, stały się w ostatnich latach jedną z najszybciej rozwijających się gałęzi turystyki. Tylko na Everest, według danych Nepalskiej Agencji Turystycznej, co roku wchodzi kilkaset osób. Rok 2018 był pod tym względem przełomowy, bo na szczycie najwyższej góry świata zameldowało się 807 osób. To ponad

20% wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek wspięli się na Everest, odkąd Edmund Hillary i Tenzing Norgay zrobili to po raz pierwszy 66 lat temu.

Sam region wokół Everestu odwiedzanym jest rocznie przez, według różnych szacunków, 35-50 tys. osób. Skalę wzrostu popularności tego kierunku i sposobu spędzania czasu najlepiej pokazuje jednak statystyka przyjazdów dotycząca całych Himalajów. Climate Himalaya, organizacja pozarządowa zajmująca się wpływem turystyki na górskie środowisko naturalne, ocenia, że tę część świata odwiedziło w 2018 r. ponad 700 tys. osób, czyli o prawie dwie trzecie więcej niż 20 lat temu.

Miejscowa administracja stara się walczyć z plagą śmiecenia na wysokościach, ale efekty są ograniczone. Od sześciu lat w Nepalu obowiązuje „depozyt odpadowy” w wysokości

4 tys. dol. od zespołu wspinaczkowego. Pieniądze trafiają z powrotem do turystów, jeśli ci zniosą z gór co najmniej 8 kg śmieci na osobę. Według oficjalnych danych robi to niestety tylko połowa wspinaczy. Pieniądze wprawdzie trafiają do państwowej kasy, ale śmieci zostają wysoko w górach, głównie w obozach. Skalę zaśmiecenia najlepiej obrazuje lutowa interwencja chińskich władz, formalnie administrujących pierwszym obozem pod Everestem, znajdującym się na terenie Tybetu. Chińczycy zamknęli go na kilkanaście dni dla turystów, pozwalając przebywać w nim wyłącznie zespołom sportowym, które zadeklarowały wcześniej wejście na sam szczyt. Tylko w ten sposób dało się zebrać wszystkie pozostawione tam odpady.

Wielki statek wycieczkowy dziennie produkuje prawie 100 tys. litrów ścieków.

Rosnąca liczba turystów w Himalajach to skutek uboczny globalizacji. Na świecie jest coraz więcej osób na tyle zamożnych i dobrze wytrenowanych, by mogły sobie pozwolić na wakacje w takiej właśnie formie. Na nich z kolei nauczyły się zarabiać rządy krajów azjatyckich, zwłaszcza Chin i Pakistanu – dawniej niesamowicie restrykcyjnych, rzucających przybyłym z innych kontynentów biurokratyczne kłody pod nogi. Przy czym problemem są nie tylko pozostawione przez nich śmieci. Jak zauważa Tobias Spaltenberger, niemiecki badacz zajmujący się zmianami klimatycznymi w Himalajach, więcej osób na tamtejszych szlakach, niekoniecznie najwyższej położonych, przyczynia się do ich wręcz masowej degradacji biologicznej: erozji gleb, ciągłego poszerzania oraz niszczenia tradycyjnych przejść. Turyści zdeptują również niższe partie gór, zmniejszając obszar pokryty przez rośliny. Co więcej, dodaje Spaltenberger, ich obecność coraz częściej zmusza rdzennych mieszkańców do porzucania pierwotnych szlaków i wytyczania nowych ścieżek, co jeszcze bardziej ogranicza teren objęty roślinnością.

A choć turystyka wysokogórska powoduje górę problemów natury ekologicznej, i tak daleko jej do

katastrofy, którą wakacyjne trendy wywołują na morzach i oceanach. Odpowiedzialna za ten kataklizm jest przede wszystkim branża wielkich wycieczkowców, mogących zabrać na pokład kilka tysięcy pasażerów i oferujących wielotygodniowe rejsy po wszystkich zakątkach świata. Allan E. Jordan z portalu Maritime Executive podaje, że w 2018 r. sektor ten urosł o 4% rok do roku i aż o 20% w ciągu ostatniego pięciolecia. Wiodący armatorzy oddają co roku do użytku nawet 10 transoceanicznych wycieczkowców. Największy, „Symphony of the Seas”, nazywany również koszmarem ekologów, może zabrać na pokład aż 5,4 tys. turystów i ponad tysiąc osób obsługi.

Liczyby te nabierają zupełnie innego znaczenia, gdy umieścić się je w kontekście produkowanych przez wycieczkowce zanieczyszczeń. Amerykańska Agencja ds. Ochrony Środowiska (EPA) szacuje, że jeden turysta w czasie siedmiodniowego rejsu produkuje lub przyczynia się do wyprodukowania takiej samej ilości zanieczyszczeń wyemitowanych do atmosfery jak w ciągu 18 dni na stałym lądzie. Do tego należy dodać prawie 100 tys. litrów ścieków, które dziennie generuje typowy statek pasażerski, 700 tys. litrów zanieczyszczonej wody oraz wcale nie takie rzadkie przypadki przeciekających instalacji silnikowych, powodujących wycieki paliwa i mieszanie się odpadów przemysłowych z wodami oceanicznymi.

Wycieczkowce są groźne dla środowiska nie tylko dlatego, że śmiecią i plują ściekami. Przede wszystkim zawożą turystów tam, gdzie ich do tej pory nie było i gdzie ich obecność na wielkim statku może być szczególnie niebezpieczna dla miejscowych ekosystemów. W ubiegłym roku wycieczkowiec „Crystal Serenity” jako pierwszy, w trakcie 32-dniowego rejsu, pokonał trasę z Anchorage na Alasce do Nowego Jorku tzw. przejściem północno-zachodnim. W dodatku zrobił to z tysiącem pasażerów. Przeprawa była możliwa oczywiście dlatego, że podnosi się temperatura oceanów, a cieśniny na północy kontynentu nie są już skute lodem. Choć plany rejsu przejściem północno-zachodnim oprottestowali ekolodzy, właściciel statku, firma Crystal Cruises, już zapowiedział, że w przyszłym roku zwoduje polarny

megajacht, jeszcze lepiej przystosowany do nawigowania po trudnych obszarach Oceanu Arktycznego.

Do listy szkodliwych trendów w turystyce XXI w. dopisać należy co najmniej kilka innych zjawisk. Wyjazdy eksploracyjne na wyspy Indonezji, Malezji i do dżungli amazońskiej, obiecujące unikatowe doświadczenie przejścia nowym, niewykarczowanym szlakiem do miejsc, które „nigdy nie widziały białego człowieka”, to najnowsza moda wśród zamożniejszych turystów. Tu najpopularniejszym kierunkiem jest brazylijskie Manaus, miasto w sercu Amazonii. Stamtąd za jedyne 60 dol. pojedziemy do miasteczka Tupé, skąd przewodnicy zabierają chętnych do „miejsc, z których można obserwować Indian w ich nienaruszonym środowisku”. Co prawda, dużo jest w tym teatru, bo śledztwo dziennikarzy BBC w 2015 r. ujawniło, że Indianie rzekomo nieznający białych ludzi są opłacani przez przewodników z Manaus, jednak nie to jest największym przekleństwem tzw. turystyki eksploracyjnej. Wycieczki w głąb dżungli wiążą się z wycinaniem coraz to nowych i poszerzaniem starych szlaków, wypalaniem dżungli i pokazowymi „amazońskimi polowaniami”, czyli strzelaniem do dzikich zwierząt czy łowieniem ryb za pomocą lasek dynamitu.

Bez pomocy helikoptera sprzątający Himalaje nie dawali rady znosić śmieci.

Na szczęście istnieją też we współczesnej turystyce trendy znacznie bardziej ekologiczne. W kilku krajach europejskich, przede wszystkim w Szwecji i Finlandii, coraz popularniejsza jest agroturystyka połączona ze spacerami, podczas których wspólnie zbiera się śmieci z lasów, łąk czy plaż. Na Starym Kontynencie silny jest także ruch poparcia dla poszerzenia siatki nocnych pociągów międzynarodowych, będących znacznie bardziej ekologiczną alternatywą dla podróży lotniczych. Wszystko to jednak ginie w oceanie śmieci i zanieczyszczeń powodowanych przez przemysł turystyczny. Przemysł, który należy już nazywać przemysłem ciężkim. ■

Długa lista kłamców

Nie tylko Roosevelt oszukiwał Sikorskiego i Mikołajczyka

Rafał Skąpski

Lektura artykułu Krzysztofa Wasilewskiego „Roosevelt oszukiwał Sikorskiego i Mikołajczyka” (PRZEGLĄD nr 31/2019) skłania do kilku refleksji i dopowiedzeń.

Po pierwsze, warto się zastanowić, czy oszukiwał tylko Franklin Delano Roosevelt i czy tylko Sikorskiego i Mikołajczyka. Nie miał Roosevelt wielu polskich rozmówców, z którymi spotykał się w cztery oczy lub przy udziale jakiegoś dyplomaty, więc na pewno obok wymienionych w tytule należy dopisać Jana Karskiego. Nie był on politykiem ani dyplomata, jednak waga problemu, z którym zjawiał się u prezydenta USA, i sposób, w jaki ten na ów problem zareagował (a może właściwiej byłoby napisać: nie zareagował), pozwalają wymienić nazwisko kuriera przy obu premierach RP na uchodźstwie.

Po drugie, obok Roosevelta należy wskazać dwóch angielskich premierów, Neville’a Chamberlaina i Winstona Churchilla. Oszukiwali oni polskich partnerów od momentu wybuchu wojny, jeśli nie nieco wcześniej. Wasilewski wymienia co prawda nazwisko Churchilla, ale zaraz jakby go usprawiedliwia, tłumacząc cytatem z książki

Andrzeja Leona Sowy, że jako stary cynik premier Wielkiej Brytanii nie udawał, lecz szczerze okazywał brak przekonania do polskich problemów. Nie wiem, czy można aż tak uogólniać. Źródła, które są mi znane, skłaniają raczej do stwierdzenia, że Churchill długo i zrećźnie krył swój prawdziwy stosunek do Polski i Polaków, wnioski zaś można było wysnuwać jedynie z pewnych symptomów, a nie ze szczerości cynika.

Stosunek Anglików do Polaków, do polskiego wojska obrazuje incydent z pominięciem polskich formacji wojskowych podczas londyńskiej parady w rocznicę zakończenia II wojny. Zaproszono na nią tylko pilotów Dywizjonu 303, a przecież o wolne brytyjskie niebo walczyło jeszcze kilkanaście innych dywizjonów, nie mówiąc o jednostkach lądowych i flocie morskiej. Pilotów z 303 na znak protestu odmówili udziału w paradzie. Churchill nie był już wtedy premierem, więc śmiało do listy „oszustów” – trzymając się terminologii Wasilewskiego – możemy dopisać jeszcze jego następcę Clementa Attlee. Churchill, będący wówczas szefem opozycji, wykorzystał tę sytuację, by w parlamencie wyrażać żal, że polscy żołnierze tak zostali potraktowani. A to

właśnie on 5 lipca 1945 r., trzy tygodnie przed opuszczeniem gabinetu premiera na Downing Street 10, zdążył pod-

isać dokument uznający warszawski Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, kończąc tym samym realny status rządu londyńskiego, a w każdym razie oficjalne kontakty z nim. Skazał przez to na niebyt polskie formacje wojskowe stacjonujące w Wielkiej Brytanii. Ot, swoista szczerłość cynika.

Wreszcie refleksja trzecia. Aż trudna do sformułowania, bo tak zaskakująca. Wielką Trójkę tworzyli Churchill, Roosevelt i Stalin. Churchill pod koniec rozmów zastąpił Attlee, Roosevelta w pewnym okresie reprezentował ambasador USA w ZSRR William A. Harriman, a po śmierci Roosevelta jego następca Harry Truman. Jeśli więc Polaków oszukiwali i Brytyjczycy, i Amerykanie, to wydaje się, że jedynym prawdziwie przedstawiającym swoje koncepcje był generalissimus Józef Stalin. Bardziej niż Churchill zasługujący na miano szczerego cynika. Co więcej, skutecznego nie tylko wobec podmiotu, jakim wówczas była Polska, ale też wobec swoich „partnerów” z Londynu i Waszyngtonu, którzy zaaprobowali, przynajmniej na kilka lat, jego plan. Zwolennikom tezy o miłości amerykańskich i brytyjskich rządów do Polski oraz o ich trosce o nasz los, zarówno ongiś, jak i dziś, warto te fakty przypominać i uzmysławiać, za co Krzysztofowi Wasilewskiemu i PRZEGLĄDOWI należy się wdzięczność.

Na koniec ciekawostka. Wspomniany ambasador Harriman, po zakończeniu w 1946 r. misji w Moskwie, był w gabinecie Trumana sekretarzem stanu do spraw handlu, a w latach 1955-1959 gubernatorem stanu Nowy Jork. Później, w gabinetach Kennedy’ego i Johnsona, był przemienicznie podsekretarzem stanu i ambasadorem. Jego trzecią żoną w 1971 r. została Angielka Pamela, z domu Digby. W latach 1939-1946 była ona żoną Randolpha Churchilla, syna Winstona. W 1940 r. urodziła jego wnuka, Winstona juniora. Harriman był jej trzecim mężem. W 1993 r., już po jego śmierci, prezydent Clinton mianował panią Harriman ambasadorem USA we Francji. Tam też cztery lata później zmarła. ■



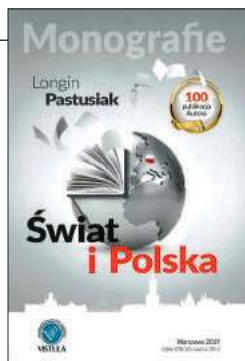
KSIAŻKA

SETKA PASTUSIAKA

Ile lat może zająć napisanie 100 książek? Profesorowi Longinowi Pastusiakowi zajęło to dokładnie 55 lat. Debiutował wiosną 1964 r. książką „Rola Stanów Zjednoczonych w remilitaryzacji Niemiec Zachodnich”. A teraz możemy przeczytać publikację „Świat i Polska”. SETNA KSIAŻKA! Imponujący dorobek. Tym większy, że prof. Pastusiak jest także popularnym i lubianym przez studentów wykładowcą akademickim. I aktywnym politykiem lewicy. Z funkcją marszałka Senatu w życiorysie.

Jeden z najwybitniejszych europejskich amerykańistów to również doskonały znawca polityki zagranicznej. Podstawą jego sukcesów naukowych są: niezwykła erudycja, komunikatywność i umiejętność atrakcyjnego pisanie, a także wręcz legendarna pracowitość.

JeD



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Europejski konkret

Niezwykle cenne wyznanie premiera Mateusza Morawieckiego – dowiadujemy się od niego, jak PiS rozumie europejskość Polski: „Europejskość rozumiemy jako konkret, jako wysokie zarobki, a nie eksperymenty kulturowe czy obyczajowe”. Premier wyznał to, stojąc na scenie na tle dojrzałych niewiast w strojach ludowych. Politycy PiS wygłaszają teraz swoje mądrości, stojąc na tle ludu. Ale tak naprawdę gardzą ludem, prostych Polaków uważają za głupków – nażreć się, poklepać po brzuchu, co tam jakaś wolność, demokracja, tolerancja, to liberalna zgnilizna.

Po latach czytam znowu „Lapidaria” Ryszarda Kapuścińskiego, kolaż scen, refleksji, okruszki z licznych podróży. Wynotowałem myśl: „Nasza największa słabość – nie potrafimy znaleźć nowoczesnego wariantu polskości. Nasze myślenie jest bardzo zaściankowe, prowincjonalne, tymczasem nasze położenie geopolityczne jest europejskie, kontynentalne, wymaga więc świadomości szerokiej, globalnej”. Co by powiedział teraz, gdy promuje się model Polaka zaściankowego, konserwatywnego katolika, narodowego egoisty? Warte uwagi są jego słowa z początku lat 90.: „Kraje, które nie przyjmują do siebie ludzi z Trzeciego Świata, same zmieniają się w Trzeci Świat”. Kiedyś zapytałem go: „Piszesz tak wiele o świecie, a tak mało o Polsce, dlaczego?”. Odpart: „Musiałbym pisać tak krytycznie, że się boję”.

Ten rok gęsty od śmierci bliskich i znajomych, ale dlaczego następne miałyby być inne? Wchodzę w czas, gdy jeśli samemu się nie umrze, doświadcza się śmierci znajomych z wielu epok życia. Ci odchodzący zabierają ze sobą jakieś części naszego istnienia. Jako ostatni w tej czarnej serii zmarł Piotrek Paszkowski. Jest rok '68, zdaliśmy na studia, wakacje, jedziemy nad morze, kipi w nas młodość. Potem niemal pół wieku niespotkania. Zacząłem go często widywać w telewizji, gdy został rzecznikiem prasowym MSZ za czasów ministra Sikorskiego. Spotykaliśmy się wtedy znowu; jak zawsze inteligentny, błyskotliwy, ale gdzie się podział ten dawny anarchista, buntownik, wolny ptak? Włożył garnitur i stał się urzędnikiem. Trudno siebie samego oceniać, nawet niebezpiecznie, nawet niemoralnie, ale zdaje mi się, że ja zmieniłem się niewiele – myślę o swojej duchowej stronie.

Z rodziną jadę na Roztocze. Wszystko dla dzieci, by im zapewnić wakacje i atrakcje. A one ciągną się za nami jak

ogon, marudzą i narzekają, że się nudzą. Od kiedy dzieci żyją w dwóch światach, w wirtualnym i realnym, ten drugi wydaje im się mało atrakcyjny. Namawiamy synów, by podziwiali piękno krajobrazów, zabytki, ale one dla nich blade wobec tego, co oferują komputer i tablet. W pensjonacie, gdzie mieszkamy, wszystkie dzieci cały czas spędzają z głową w ekranach. Gdy im się je zabiera, mają w oczach cierpienie, reagują jak narkomani.

U rodziców narzeczonej mojego syna, tego dorosłego; wieś Szur za Krasnobrodem. To ich letni dom, na stałe mieszkają w Zamościu, a tu mała wioska, gdzie już prawie nie ma tubylców, bo wymierają, ich dawne siedziby zaś przejmują mieszkańcy miasta, żeby tu przyjeżdżać na weekendy. Nasi gospodarze to ludzie o podobnym przeżywaniu świata co my, polska inteligencja, więc nam bliscy. Oczywiście mamy takie same poglądy polityczne i cierpimy, że Polskę nam gnoją.

Politycy PiS wygłaszają swoje mądrości na tle ludu. Ale tak naprawdę gardzą ludem, prostych Polaków uważają za głupków.

W pobliżu naszego pensjonatu, który znajduje się w niewielkiej wsi, otwarto wczoraj pizzerię. Na fasadzie fajne pomysły estetyczne, a w środku kontrast, bo z wielkiego telewizora grzmi disco polo. Młodzi miejscowi żłopiają piwo, zawiani wsiadają do zużytych samochodów i odjeżdżają z piskiem opon. Mężczyźni z papierosem i z k... na ustach. Tej Polski nie lubię, chociaż ona nie głosuje na PiS, w ogóle nie głosuje. Duża pizza kosztuje tylko 15 zł. Nie jest zła, ale nie ma wiele wspólnego z włoską, trochę smakuje pierogami i kluskami, mimo wszystko smaczna. Dziewczyna z obsługi nowoczesna, ma na ramieniu gustowny tatuaż. Pyta, czy smakuje mi ich pizza, bo dopiero się uczą. Zależy im na innej klienteli niż ta od piwa. W tym lokalu też spotykają się dwa światy.

Dzień w Szczepieszynie i w Zwierzyńcu. Spodziewałem się więcej wdzięku po tych obdarzonych magicznymi imionami miasteczkach. W Szczepieszynie ładny, odnowiony ratusz i plac przed nim. I pomnik chrząszcza. Myślę, jaką siłę miewa poezja. Brzechwa, pisząc swój wiersz „Chrząszcz”, zaczynający się słowami „W Szczepieszynie chrząszcz brzmi w trzcinie”, nie wiedział, że tym słowom będą stawiać pomniki.

Polskę uratuje energia atomowa. Albo nic

Zamiast narzekać na Niemców i europejskie plany transformacji energetycznej, moglibyśmy wreszcie zacząć od nich się uczyć

Rozmawia Jakub Dymek

O co chodziło z Piotrem Niewiechowiczem?

– Była to prowokacja, dzięki której wymyślony, nieistniejący w rzeczywistości „ekspert” pozyskał wiarygodne informacje i zdobył wpływ na debatę publiczną w Polsce, co z kolei wskazało istotne zagrożenia informacyjne dla struktur państwa i mediów. Wnioski były niewesołe, ale to było coś, co zrobiliśmy ponad rok temu, i nie wiem, czy jest sens dalej o tym rozmawiać.

Pytam nie bez powodu, bo w energetyce, którą się zajmujesz, dezinformacja może mieć olbrzymie znaczenie.

– Nie tylko w energetyce, ale wszędzie tam, gdzie ważna jest wiedza ekspercka, upadek autorytetów i dziennikarskiej rzetelności może mieć fatalne skutki. Weźmy debatę o klimacie. W popularnych tygodnikach w naszym kraju ukazują się materiały podważające wiedzę naukową o zmianach klimatycznych: demagogiczne, jednostronne, manipulatorskie.

Naprawdę dziwi cię to, że w przestrzeni publicznej pojawiają się sprzeczne z ustaleniami nauki poglądy, a różni ludzie, by zwrócić na siebie uwagę, powiedzą rzecz dowolnie kontrowersyjną?

– Nie chodzi o to, że pojawiają się manipulacje. Dziwi mnie, że ludzie, którzy współcześnie za pośrednictwem smartfona mają dostęp do całej światowej wiedzy, w żaden sposób nie weryfikują tego, co piszą i czytają. I że nie robią tego dziennikarze. W społeczeństwie nie ma żad-

nego mechanizmu fact-checkingu, weryfikacji faktów. Nie ma komu zaciągnąć hamulca, gdy wysane z palca bzdury i chwytyliwe nagłówki robią furorę w internecie.

Dlaczego w Polsce to prawica tak uparcie walczy z nauką o klimacie?

– Doskonałe pytanie. Sam uważam, że mam konserwatywne poglądy – nie obraziłbym się, gdyby ktoś mnie określił jako prawicowego dziennikarza. Ale konserwatyzm zakłada przecież postulat zachowania, obrony naszego stylu życia i instytucji społecznych. A to nie będzie możliwe w sytuacji katastrofy klimatycznej.

Dlaczego więc prawica zachowuje się tak, a nie inaczej?

– Moim zdaniem to kwestia wtłoczenia tego sporu w ramy istniejących podziałów politycznych. Każdy, kto ma, nazwijmy to, proklimatyczne poglądy, jest uznawany za lewaka lub ekoświra, bo właśnie po lewej stronie więcej się mówi o wadze polityki klimatycznej. Prawica, podejmując walkę z odmiennym poglądem, wpada w powielanie nienaukowych i demagogicznych argumentów. Odrzucając program polityczny przeciwnika, zaczyna przy okazji kwestionować naukę.

Oczywiście nie jest tak, że również po stronie proklimatycznej nie ma demagogicznych argumentów, manipulacji i głupich pomysłów. Obydwie strony prowadzą dyskusję, która jest płytka, oderwana od spraw naprawdę ważnych i nie przybliża nas do żadnego racjonalnego konsensusu. W sprawie klimatu mamy tak wiele opracowań naukowych i źródeł wiedzy, że możliwa i konieczna jest dys-



JAKUB WIECH

– autor książki „Energiewende. Nowe niemieckie imperium” i zastępca redaktora naczelnego portalu Energetyka24. Nominowany (razem z Piotrem Maciążkiem) do nagrody Grand Press w kategorii dziennikarstwo specjalistyczne za prowokację dziennikarską – wykreowanie fikcyjnego eksperta Piotra Niewiechowicza, który zdobywał kontakty i poufne informacje z branży energetycznej.

kusja bez podważania nauki z jednej strony i niepotrzebnego kabotyństwa z drugiej.

Zaraz, co to jest niepotrzebne kabotyństwo?

– Protesty, które mają wstrząsnąć opinią publiczną, poruszyć ją, ostatecznie trafiające do i tak przekonanych.

Chcesz powiedzieć, że nie jesteś fanem Greta Thunberg, szwedzkiej nastolatki prowadzącej strajk szkolny dla klimatu?

– Nie jestem. Strajki takie jak Greta Thunberg czy w Polsce Ingi Za-

sowskiej pod Sejmem nie przekładają się na nic konkretnego. Można powiedzieć, że pobudzają debatę, ale debatę pobudził również premier Mateusz Morawiecki, wetując europejskie cele neutralności klimatycznej. Ja widzę w tym zmarnowany potencjał. A inicjatywa polskich naukowców, protestujących przeciwko zamykaniu niemieckich elektrowni jądrowych, spotyka się z prawie powszechnym przemilczeniem. Gdyby tych kilka milionów Polaków, którzy wypowiedzieli się w internecie na temat Ingi Zasowskiej lub Greta Thunberg, podpisało się pod petycją naukowców, moglibyśmy złożyć na biurku kanclerz Angeli Merkel dokument o ogólnoeuropejskim znaczeniu!

Mówisz: musimy rozmawiać o rozwiązaniach strukturalnych, nie symbolicznych.

– Potrzebujemy polityki energetycznej, która będzie ponadpartyjna i zaprojektowana na kilkadziesiąt lat, a nie na dwa lata do przodu. I trzeba to robić nie tylko dlatego, że jest to słuszne, ale także dlatego, że dzięki temu można zacząć osiągać konkretne korzyści i wносить zysk do budżetu. Ponieważ jesteśmy monokulturą węglową, dyskusja o transformacji energetycznej kończy się u nas wizją zamykanych kopalń, wyrzucanych na bruk górników, strajków pod Sejmem itd. Tylko że to nie zawsze jest prawda. Nie możemy sobie pozwolić na nieracjonalny radykalizm w rodzaju obietnic Roberta Biedronia, że Polska stanie się krajem wolnym od węgla do 2035 r. Musimy rozmawiać o transformacji energetycznej racjonalnie, bo nad naszymi głowami po prostu wisi topór.

Wszystko to słuszne, acz nieco ogólnikowe. Co tak konkretnie powinniśmy więc sobie powiedzieć?

– Zobaczmy, co zrobili Niemcy. Od początku XXI w. realizują transformację energetyczną, zwaną *Energiewende*. Jest ona konsekwentnie przekazywana jak pałeczka w sztafecie kolejnym ekipom, wszystkim koalicjom na niemieckiej scenie politycznej. I tego im zazdroścę. Książka, którą napisałem, „*Energiewende. Nowe niemieckie imperium*”, wbrew zarzutom, jakie słyszę, nie jest antyniemiecka. Ta praca jest

wyrazem podziwu dla mechanizmu państwowego, który był w stanie wdrożyć polityki instytucjonalne, a także zmobilizować energię społeczną do realizowania celów korzystnych dla całego państwa – władzy, biznesu, związków zawodowych, społeczeństwa.

Mówisz, że antyniemiecki nie jesteś, ale przecież jesteś krytykiem niemieckiej polityki.

– Bo *Energiewende* nie jest polityką nastawioną na ratowanie klimatu. Gdyby Niemcy chcieli ratować klimat, nawet nie pomyśleliby o tym, żeby wyłączyć u siebie bloki jądrowe, które są najmniej emisyjnym i najbezpieczniejszym źródłem energii. *Energiewende* zakłada odejście od paliw kopalnych, zwrot w kierunku odnawialnych źródeł

Warunki do tego, żeby wreszcie ruszyć z transformacją energetyczną, mamy najlepsze w historii.

energii wspieranych gazem przy jednoczesnym wyłączeniu elektrowni jądrowych. „Zielony” wizerunek tego projektu jest wynikiem przede wszystkim pozytywnej propagandy. Bo to na razie nie jest proklimatyczna polityka.

Propagandę też trzeba umieć robić dobrze.

– I znów: to nie jest zarzut. To apel do polskiego rządu: patrzcie i uczcie się. Niemcy nie mają dziś sukcesów w odchodzeniu od węgla – w 2018 r. spalali tyle węgla

W projekcie polskiej energetyki do 2040 r. jest miejsce na elektrownię jądrową.

brunatnego, najbardziej emisyjnego, ile spalali na początku lat 90. Pewna redukcja zużycia węgla kamiennego, jeśli wziąć pod uwagę jej koszty, też wielkim sukcesem nie była. A wydatki są astronomiczne, minister Peter Altmaier twierdzi, że do 2023 r. suma wsparcia dla odnawialnych źródeł energii z kieszeni niemieckich podatników wyniesie 680 mld euro. Gdyby te same pieniądze zostały zainwestowane w energetykę jądrową, dziś RFN miałaby miks energetyczny podobny do tego, który ma Francja, więc byłaby w zdecydowanej większości zasilana bezemisyjną energią.

To na czym polega twój zarzut?

– Niemcy chcą stać się nie tyle liderem ekonomicznej zmiany w Europie, ile po prostu hegemonem, który od siebie i swoich rozwiązań uzależni resztę kontynentu.

Tymczasem w Polsce argument przeciwko odnawialnym źródłom energii jest często taki: „Ale głupi ci Niemcy, pozamykali elektrownie, stawiali wiatraków i jeszcze do tego dopłacają”. Niemcy nie są głupi, sam to wielokrotnie powtarzałeś, a prawdziwym argumentem przeciwko transformacji energetycznej jest to, że właśnie najsilniejsza gospodarka Europy zyska na niej najwięcej.

– Umowa koalicyjna niemieckiego rządu postuluje osadzenie polityki *Energiewende* na płaszczyźnie

europejskiej – chodzi o to, żeby inne kraje powieliły lub dostosowały się do ich modelu, czyli potrzebowały więcej gazu. A Niemcy już dziś są czołowym eksporterem błękitnego paliwa na terenie Unii Europejskiej.

Nie swojego gazu, jak rozumiem?

– Niemcy swoich źródeł gazu oczywiście nie mają. Są, jak to się mówi, hubem gazowym w centrum kontynentu. Rząd w Berlinie otoczył parasolem politycznym projekty rurociągów Nord Stream 1 i 2, pozwalających importować gaz z Rosji i prowadzić dystrybucję tego surowca we wszystkich krajach, które powieliły model niemiecki. Dzięki narzędziom kulturowym, medialnym, politycznym i biznesowym Niemcy tworzą w Europie rynek, którego będą największym beneficjentem, dzięki czemu spłacą koszt swojej transformacji energetycznej.

I tu zataczamy koło. Podnosisz wiele bez wątpienia racjonalnych obaw czy zastrzeżeń związanych z transformacją energetyczną. A potem ktoś to czyta i mówi: „No właśnie, wszystko to wymyśliли urzędnicy, cała ta zmiana klimatyczna to niemiecko-brukselski spiszek mający pozbawić Polaków suwerenności, zrobić nam kolejne, tym razem klimatyczne, rosyjsko-niemieckie rozbiory”.



Elektrownie zasilane węglem brunatnym są praktycznie połączone z kopalniami. Skala zniszczeń środowiska jest ogromna. Nz. elektrownia Bełchatów.

– Spotkałem się z tym. Niektórzy nie rozumieją, jak można uznawać fakt zmian klimatycznych, a jednocześnie ganić „zielonych” Niemców. Cóż, można – jeśli polityka jakiegos kraju rozmija się z celem, jakim jest ratowanie klimatu, krytykować ją trzeba. Bo trzeba wprowadzić jeszcze jedno rozróżnienie: potrzebę ratowania klimatu i chęć zysku na ratowaniu klimatu (lub takich pozorach). Cynicy czy ludzie wyrachowani ukrywają się także za ze wszech miar słusznymi postulatami. Co ja postuluję? Polska powinna prowadzić własną politykę energetyczną, która będzie realizować obydwa te cele – zbliżyć nas do modelu jak najbardziej neutralnego klimatycznie i pozwoli osiągnąć konkretne korzyści gospodarcze. I polityczne.

To co twoim zdaniem robić?

– Energetyka jądrowa. W projekcie polskiej energetyki do 2040 r. jest miejsce na elektrownię jądrową. Minister Piotr Naimski deklaruje, że chce, aby najpóźniej w latach 40. XXI w. działało w Polsce sześć reaktorów jądrowych. To pozwoli wywrzeć nacisk na Niemców, a zarazem forsować pozytywne rozwiązania na forach międzynarodowych, np. w Unii Europejskiej.

Dlaczego jednak, zanim zbudujemy te sześć reaktorów jądrowych,

nie podejmiemy jakichkolwiek działań na rzecz zmiany naszego miksu energetycznego, choćby po to, żeby uniknąć statusu europejskiego pariasa i ewentualnych kar finansowych?

– Jedno nie wyklucza drugiego. A z węgla i tak musimy wychodzić... **Polski rząd twierdzi inaczej.**

– Wcale nie. W projekcie polskiej polityki energetycznej przedstawionym przez rząd mamy zarysowaną ścieżkę odchodzenia od węgla.

Rząd PiS zamyka i będzie zamykał kopalnie węgla brunatnego.

W dokumentach i planach ministerialnych można zapisać właściwie wszystko.

– Tak, ale rząd Prawa i Sprawiedliwości zamyka i będzie zamykał kopalnie węgla brunatnego. A to nie są puste deklaracje. Fizycznie zasoby węgla wyczerpią się i za kilkanaście lat po prostu staniemy przed faktem dokonanym, niezależnie od tego, czy teraz ktoś uważa deklaracje rządu za wiarygodne czy nie.

Ale to nie wydobywanie węgla, tylko jego spalanie emituje gazy cieplarniane do atmosfery.

– W przypadku węgla brunatnego jest to bardzo ściśle powiązane – bo

to surowiec o właściwościach, które sprawiają, że elektrownie są na dobrą sprawę połączone z kopalniami. Z węglem kamiennym jest z kolei tak, że kontrowersje budzi jego import do Polski.

Z Donbasu?

– Nieprawda! Trzeba wyjaśnić sobie pewne nieporozumienie: z Zagłębia Donieckiego do Polski importerzy ściągają antracyt, który jest wykorzystywany w przemysłowych procesach chemicznych przez prywatne spółki, a nie węgiel do polskich elektrowni.

A w mediach powstała nieprawdziwa zbitka, że PiS zarabia na wojnie na Ukrainie, bo nasza energetyka stoi węglem importowanym od rosyjskich spółek. Import surowców, z którym mamy dziś do czynienia, mówi nam przede wszystkim jedno: jak słaba jest rentowność polskiego sektora węglowego.

Dlaczego rząd, który jest deklaratywnie antyrosyjski, realizuje politykę sprzyjającą jak największemu importowi węgla z tego kraju?

– Bo realia są takie, że aby powstrzymać import węgla z Rosji, należałoby wprowadzić embargo. A to gest polityczny wielkiego kalibru, który wywołałby reakcję strony rosyjskiej. Rząd miał inny plan – stworzenie PGE, które pociągnie za sobą zwiększone moce produkcyjne

i w efekcie zmniejszenie konieczności importu. I to zaczyna się dziać, ale na skutki przyjdzie nam jeszcze trochę poczekać. A na dziś, cóż, węgiel z Rosji jest tani.

Jesteśmy w takim miejscu świata, że za miedzą mamy energetycznego hegemonia i niełatwo się od niego uwolnić. Rosja to kraj, który dostrzega moc swoich surowców i nie ma problemu z tym, aby tej przewagi używać. Litwini np. uzyskali od Rosji lepsze warunki na import gazu, ale dopiero kiedy zbudowali własny pływający terminal.

Dlatego jesteś zwolennikiem budowy w Polsce elektrowni jądrowej?

– Jak najbardziej.

A dlaczego jeszcze jej nie ma?

– Były plany budowy elektrowni w Żarnowcu...

No widzisz, Polska Rzeczpospolita Ludowa chciała!

– One się załamały wskutek spadku zaufania i poparcia społecznego dla energii atomowej po katastrofie w Czarnobylu. Później przyszła transformacja i różne mniej lub bardziej udane próby namysłu nad atomem

w naszym kraju. Za Platformy powstała spółka PGE EJ1, która miała te plany urzeczywistnić, ale nic się nie działo, aż PO straciła władzę. Po 2015 r. nastąpiło wznowienie tego procesu. I ma większe szanse.

Dlaczego?

– Minister energetyki Krzysztof Tchórzewski obronił plany inwestycji w elektrownię atomową przez całą kadencję, i to mimo obiekcji

Import surowców mówi nam przede wszystkim, jak słaba jest rentowność polskiego sektora węglowego.

antyatomowego skrzydła w rządzie. Bo że istnieje taki spór, nie jest chyba wielką tajemnicą? To nie znaczy oczywiście, że Ministerstwo Energii nie poniosło żadnych porażek – minister Tchórzewski stracił ludzi, którzy byli w najbardziej bezpośredni sposób odpowiedzialni za realizację tych planów. Twarze projektu atomowego znalazły się poza rządem.

I teraz to ruszy?

– Jest taki scenariusz: elektrownia atomowa w Polsce staje się dla PiS

wehikułem wyborczym w nadchodzącej kampanii. I z tego powodu odwleka się jednoznaczne deklaracje. Żeby móc podjąć wiążącą decyzję w najlepszym wyborczym momencie. Aby osiągnąć założone cele energetyczne i klimatyczne, rząd ryzykuje działanie „na styk”. Słowem, jak nie zaczniemy zaraz, to się nie wyrobimy. A jak się nie wyrobimy, to możemy całą naszą politykę energetyczną

wyrzucić do kosza. Warunki do tego, żeby wreszcie ruszyć z transformacją energetyczną, mamy najlepsze w historii. Prezydent i większość parlamentarna z jednego ugrupowania, dobre wyniki i prognozy gospodarcze, społeczna większość za energią jądrową. A na decyzje wciąż czekamy. Jeśli nie wykorzystamy tej szansy, będziemy przegranymi wyłacznie na własne życzenie.

Jakub Dymek

Konkurs PRZEMIAN fotograficzny - KANIE

70. lat stosunków polsko-chińskich

超视野·新丝绸之路 - 波中建交70周年

Nagroda główna o wartości 12 000 zł
Dla wszystkich uczestników konkursu przewidziano nagrody za udział w konkursie.

TERMIN NADSYŁANIA PRAC: 15.09.2019 r.

Informacje oraz regulamin konkursu:
<https://www.tppch.pl/aktualnosci/29,regulamin-konkursu-fotograficznego>

Patroni konkursu:

Przegląd

CHINY TO LUBIE!

CRI-POLSKA



Artur Zaborski
Korespondencja z Erywania

Odzyskać Kaukaz

Kultura zamiast martyrologii

Odbывая się rokrocznie w lipcu Golden Apricot to największy festiwal filmowy w Armenii. Podczas pobytu w Erywanu na 16. edycji imprezy mam wiele okazji przekonać się, że Ormianom Polacy kojarzą się z Bałtykiem, bursztynem, pięknymi kobietami i pierogami. Ogólne odniesienia są wspólne dla ludzi w każdym wieku. Inaczej, gdy trzeba wymienić nazwiska zasłużonych Polaków. Nastolatkom przychodzą do głowy Jan Paweł II i Lech Wałęsa, ich rodzicom i dziadkom w pierwszej kolejności: Fryderyk Chopin, Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Anna Dymna, Jerzy Kawalerowicz, Krzysztof Penderecki, Teodor Axentowicz, Andrzej Wajda i Kazimierz Wielki, który w połowie XIV w. rozciągnął płaszcz opieki nad mniejszością ormiańską i nadał jej w Polsce przywileje. Jeszcze kilka dekad temu nad polityką dominowali przedstawiciele polskiej kultury. W ostatnim ćwierćwieczu proporcje się zmieniły. Trudno się dziwić, skoro ani władz III RP, ani samych artystów region specjalnie nie zajmował. Dopiero od kilku lat pojawiają się ludzie, którzy wiedzą, że aby nadgonić stracone lata, potrzeba działań na szeroką skalę. Choć są też tacy, którzy idą na łatwiznę i na Kaukazie szukają politycznego braterstwa pod znakiem martyrologii i prześladowań.

Szczęśliwie Ormianie przez ten czas o Polsce nie zapomnieli. O ormiańskich korzeniach Pendereckiego, Słowackiego, Dymnej, Kawalerowicza, Herberta czy Axentowicza przypomina mi kilka starszych osób. Choć Polska to dla nich Europa, są zaskoczone, że nie mówię po rosyjsku. Opowiadają mi, jak czekało się na polską prasę, która szmuglowana w Związku Radzieckim była głosem Zachodu. – Inteligencja uczyła się polskiego tylko po to, żeby czytać wasze gazety i wydawaną u was literaturę. W porównaniu z tym, co wychodziło w Związku Radzieckim, rynek wydawniczy w Polsce był jak eldorado – mówi 68-letnia Masza, miłośniczka polskich filmów.

– Chodząc po antykwariatach w Tbilisi, często trafiam na klasyczne dzieła polskiej literatury, Mrożka, Mickiewicza – w oryginale albo

w przekładzie rosyjskim. Gorzej jest z dostępem do polskiej kultury współczesnej. Mimo ogromnego zainteresowania znikoma jest liczba tekstów literackich i dramatycznych czy dzieł filmowych przetłuszczonych na języki narodowe, więc wyobrażenia o Polsce w krajach Kaukazu czerpie się z przeszłości – tłumaczy Elena Tworowska. Razem z Anną Sajewicz koordynują w Instytucie Adama Mickiewicza program Open Poland, skupiony na wzmocnieniu wymiany kulturalnej między Polską a Kaukazem.

Sami swoi

– Jako nastolatek z zapartym tchem oglądałem w telewizji radzieckiej „Potop” i „Samych swoich”, które były emitowane często, nawet kilka razy w roku. Daniel Olbrychski był u nas prawdziwą gwiazdą! Dziś możemy go oglądać już głównie na rycinie w Muzeum Paradżanowa – wspomina 60-letni Tigran. – Lubiełm zestawiać te filmy, bo w ten sposób opowiadały też o Ormianach. Zawsze

na temat Polski rezonowały długo. Często przekładały się na wybór naszego kraju jako miejsca emigracji Gruzinów, Ormian i Azerów, dziś kierowców Ubera i Bolta. Ale nie tylko, bo Ormianin Hayk Gasparyan z powodzeniem robi w Polsce karierę aktorską – wystąpił w filmach Patryka Vegi „Służby specjalne” i „Pitbull. Nowe porządki”. – Zwłaszcza Ormianie chętnie wybierają Polskę, bo widzą podobieństwo kulturowe między naszymi narodami. Znają polską życzliwość, więc liczą, że Polacy ich przyjmą u siebie. Przyciąga ich przede wszystkim zakorzenienie w obu państwach chrześcijaństwo, gościnność, przywiązanie do rodziny i patriotyzm. Dzieje Ormian to również historia nieustannej walki o własne terytorium i tożsamość – zaznacza Arusia Baghinyan, tłumaczka przysięgła z języka polskiego w Armenii, która na co dzień pracuje w Erywanu. Arusia z nadzieją wypatruje efektów projektu prowadzonego przez Tworowską i Sajewicz. Wierzy, że da on dostęp do współczesnej kultury polskiej.

Gruzini, Ormianie i Azerowie są wyczuleni na próby narzucania im wzorców albo import kultury.

mi się wydawało, że nasze narody są podobne, choć do Polski nigdy nie dotarłem. Teraz wiem o waszym kraju mniej, bo od lat 90. w telewizji tylko od wielkiego dzwonu można trafić na stare polskie filmy. Nowych nie emitują. Pamiętam, jak zobaczyłem gdzieś „Katyń”. Nie mogłem się przyzwyczaić, że oglądałem film z Polski w kolorze – śmieje się Ormianin.

W podobnym tonie wypowiada się 52-letni gruziński operator David, podkreślając miłość pradziadka do dzieł Sienkiewicza: – Trylogia wydana w języku rosyjskim stała u nas na poczesnym miejscu, a pradziadek do śmierci opowiadał, że jako nastolatek uciekł do Odessy na spotkanie z Sienkiewiczem. To było jedno z najważniejszych wydarzeń w jego życiu.

Mentalna bliskość narodów i czerpana z dokonań kulturalnych wiedza

Pierwsze skutki tych działań już widać. W ubiegłym roku udało się wydać w Gruzji antologię współczesnego dramatu „Polish Plays”, która wzbudziła zachwyt także w Azerbejdżanie, gdzie praktycznie nie ma żadnego dostępu do polskiej dramaturgii. – Jest za to wielkie zainteresowanie polską kulturą, m.in. w związku z ogromnym wkładem nadwiślańskich architektów, choćby Józefa Gosławskiego i Kazimierza Skórewicza, w krajobraz Baku przełomu XIX i XX w. – przypomina Anna Sajewicz. Jeśli się zagłębić w historię, to śladów obecności polskiej kultury i twórców można znaleźć mnóstwo. – Na przykład w Gruzji w rezydencji artystycznej Garikula co roku odbywa się Międzynarodowy Festiwal Sztuki Współczesnej „Fest i Nova” poświęcony pamięci braci Cyryla i Ilji Zdanie-



Legendarne kino Moskwa w Erywaniu, przy placu Charles'a Aznavoura.

wiczów, wybitnych artystów polskiego pochodzenia. Na początku XX w. w Tbilisi mieszkał też kompozytor i skrzypek Konstanty Gorski, o którym pamięć próbuje dziś przywrócić polska artystka Joanna Ayers, organizując koncerty w Gruzji – wlicza Elena Tworkowska.

Zaangażowani w odnowę polsko-kaukaskiej wymiany kulturalnej podkreślają, że to proces, który można łatwo zaprzepaścić, bo Gruzini, Ormianie i Azerowie są uczuleni na próby narzucania im wzorców albo import kultury. – Oparli się dominacji Rosjan, nie poddali się też amerykańskiej po upadku ZSRR. Tutaj powodzeniem wciąż cieszą się lokalne dokonania kulturalne. Stacje radiowe grają muzykę stąd, teatr wystawia sztuki tutejszych artystów, a w repertuarze kinowym nie ma rażącej dominacji kina z Hollywoodu – podkreśla Tworkowska.

Rozpoznać potrzeby

Elena zwraca uwagę, że wskrzeszenie obecności polskiej kultury na Kaukazie jest możliwe, tylko jeśli wcześniej rozpozna się środowiska artystyczne i ich możliwości: – Kaukaz jest fantastyczny, jeśli chodzi o pewną energię twórczą, wiele rzeczy dzieje się tu spontanicznie. To wymarzone

miejsce do wszelkich działań artystycznych. Jednak jest to również region skonfliktowany wewnętrznie, wrażliwy na ingerencje z zewnątrz. Przed planowaniem jakiegokolwiek współpracy warto poświęcić czas na poznanie jego ludzi i potrzeb.

Jedną z nich niewątpliwie jest potrzeba zbudowania od nowa branży filmowej, co w Polsce świetnie się udało. Mamy doświadczenie, którym możemy na Kaukazie się dzielić, i to ono stało się podstawą współpracy z festiwalem Golden Apricot, gdzie postawiono na wydarzenia branżowe. – Zorganizowaliśmy m.in. warsztaty montażowe, którymi kierowali doświadczeni polscy montażyści. Mimo wysokiego artystycznego poziomu prawie nikt z uczestników nie miał wcześniej możliwości skonfrontowania swojego projektu z opinią ekspertów i uzyskania informacji zwrotnej. Specjaliści z Polski mają tu dużo do zaoferowania. Nasze doświadczenie może być bardzo pomocne. Oczywiście to wymiana obustronna, bo poziom artystyczny regionalnych projektów jest naprawdę imponujący i być może ta współpraca zaowocuje pojawieniem się na ekranach arcydzieł na miarę filmów Siergieja Paradżanowa – zapewnia Elena Tworkowska.

Co zrozumiałe, nazwisko wybitnego ormiańskiego reżysera wymienia-

ne jest w Erywaniu na każdym kroku. Zestawia się je zresztą wyjątkowo chętnie z Wojciechem Jerzym Hasem. – Paradżanow i Has to w pewnym sensie podobne artystyczne fenomeny – przekonuje Anna Sajewicz, tłumacząc, dlaczego takim powodzeniem cieszyła się projekcja „Sanatorium pod klepsydrą”, która otwierała polski program na Golden Apricot. – To cudowna, oniryczna podróż w przestrzeni i czasie, w meandry pamięci i dzieciństwa. W swojej niczym nieskrępowanej fantazji koresponduje z filmami Paradżanowa, który zanurzał się w świat symboli, wspomnień i legend.

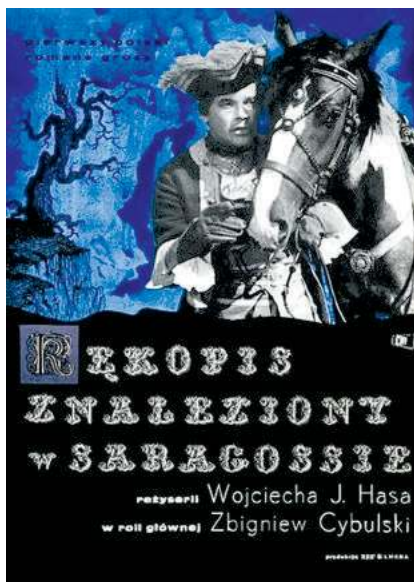
Dla Ormian, którzy hurmem ruszyli na projekcję w legendarnym kinie Moskwa, niespodzianką okazała się wystawa plakatów do filmów Hasa. – Twórczość Paradżanowa to nie tylko filmy, ale też rysunki, kolaże, ilustracje i instalacje. To cały system estetyczny, który reżyser konsekwentnie realizował we wszystkim, co robił – mówi Anna Sajewicz i dodaje: – To fenomen, który podobnie jak w przypadku Hasa wykracza poza tradycyjny język kina. Zdjęcia Witolda Sobocińskiego w „Sanatorium...”, gdzie kolor odgrywa znaczącą rolę, przypominają szalone eksperymenty Jurija Illenki w „Cieniach zapomnianych przodków” Paradżanowa. Paralele można mnożyć, bo obaj twórcy

napotykali problemy z cenzurą, nie trawiającą niepokornej sztuki. Za nią Paradżanow spędził kilka lat w kolonii karnej, a Hasowi na 10 lat zakazano kręcenia filmów.

W ramach polskiego programu zaprezentowanego przez Open Poland pokazano na Golden Apricot aż cztery zrekonstruowane filmy Hasa. Co więcej, festiwalowi widzowie jako pierwsi na świecie obejrzeliby zrekonstruowane „Pożegnania”. O cyfrowych rekonstrukcjach rozmawiano na specjalnych spotkaniach w klubie dyskusyjnym. Zainteresowanie nimi jest w Armenii duże, a przy udziale polskich specjalistów zrekonstruowano m.in. krótkometrażowe filmy Paradżanowa. Inaczej sytuacja wygląda w Gruzji i Azerbejdżanie. W Gruzji produkcja filmowa trzyma się przyzwoicie, ale restaurowanie klasyki nie spopularyzowało się. W Azerbejdżanie rynek filmowy praktycznie nie istnieje.

Kultura konfliktu

Skąd ten nierównomierny rozwój sąsiedzkich krajów Kaukazu? Anna Sajewicz zwraca uwagę, że w dużej mierze powodem są konflikty. – Na sytuację kulturalną w regionie wpływa polityka. Nie maleje napięcie pomiędzy Armenią i Azerbejdżanem, które 25 lat temu podpisały zawieszenie broni po konflikcie o Górski Karabach. Obecnie jest to nieuznawane przez nikogo niepodległe państwo zamieszkiwane przez Ormian, formalnie znajdujące się na terytorium Azerbejdżanu. W związku z tym o żadnej współpracy kulturalnej tych krajów



nie może być mowy. Dużo lepiej sytuacja wygląda na linii Gruzja-Armenia.

Na Golden Apricot projektów z Azerbejdżanu praktycznie nie ma. Jest za to reprezentatywna liczba filmów z Iranu oraz Turcji, co pokazuje, że kraj próbuje przepracowywać historyczne zaszczości i ocieplić relacje z niegdysiejszym wrogiem numer jeden. Co nie oznacza, że nie wykorzystuje kina w celach politycznych,

Na sytuację kulturalną w regionie wpływa polityka.

do czego i Polacy przykładają rękę. Przykładem jest pokazany poza współpracą z Open Poland „Kraj wojny i snów” Jadwigi Nowakowskiej, która do Armenii trafiła ze względu na pracę dyplomatyczną męża. Wyprawa do Górskiego Karabachu zachwyła ją na tyle, by poświęcić zamieszkującej tu ludność film. Nie można odmówić reportażystce zdolności otwierania ludzi, którzy dzielą się przed kamerą wstrząsającymi doświadczeniami. Kiedy słyszymy opowieść dwóch braci, którzy stracili rodziców w powolnej agonii na skutek odcięcia im uszu, doświadczamy całego okrucieństwa i zezwierzczenia napastników.

Niestety, Nowakowska na tym nie poprzestaje. W jej filmie ormiańskie dzieci zapewniają, że żyją po to, by walczyć o Armenię, synowie deklarują, że miłość do drugiej osoby jest ważna, ale do kraju najważniejsza, a ojcowie

wbijają dzieciom do głowy, że nie ma nic piękniejszego, niż oddać życie za ojczyznę. O ile można zrozumieć, że reportażystka nie dopuściła do głosu Azerów (osoby podróżujące do Górskiego Karabachu nie mają prawa wstępu na teren Azerbejdżanu), o tyle nie da się wytłumaczyć, dlaczego pokazała tylko jedną stronę wojny, pomijając licznych aktywistów i społeczników, którzy walczą, żeby agresja między dwoma krajami nie powtórzyła się już nigdy. Film sfinansowały TVP i Telewizja Armeńska, co może tłumaczyć przyjętą w nim narrację, która układa się w pean na cześć patriotyzmu, ale tego w definicji ONR.

Przyjęta przez Nowakowską perspektywa jest dla Ormian o tyle krzywdząca, że pokazuje ich nieaktualny wizerunek. Choć kraj wciąż boryka się z pokłosiem konfliktu w Górskim Karabachu, a uchodźcy z mniejszości ormiańskiej nieprzerwanie napływają z Syrii, to Erywań nie różni się dziś od stolic europejskich. Studenci pracujący w piekarniach, restauracjach czy budkach z lodami bez najmniejszego problemu komunikują się po angielsku, a nieco starsi biznesmeni, choć pokonczyli uczelnie w Europie, wracają do ojczyzny, którą

chcą rozwijać. Tak samo artyści. Do Erywania wrócić choćby wspomniany Hayk Gasparyan.

Przekonywanie, że młodym ludziom w głowie jedynie walka i zemsta, nijak się ma do rzeczywistości, w której Ormianie – jak mnie wielokrotnie zapewniano i co zobaczyłem w ich współczesnych filmach – patrzą w przyszłość.

Zderzenie w programie festiwalu Golden Apricot filmu Nowakowskiej z osiągnięciami młodych polskich reżyserów przywiezionymi przez Tworzkowską i Sajewicz – choćby Jagody Szalc i Normana Leto, których formalizm Ormianie uznali za spuściznę Hasa – ewidentnie uaoaczniło mi, że w polsko-kaukaskich relacjach kierunki są dwa. Albo postawimy na wymianę kulturalną i wzajemne poznanie, albo oddamy pole tym, którzy będą nas przekonywać, że oba narody żyją jedynie martyrologią. Słowem, kultura albo ideologia.

Artur Zaborski

Odszedł

Marek Rymuszko

Wielka postać polskiego dziennikarstwa
Wieloletni prezes
Krajowego Klubu Reportażu
Mądry i wrażliwy Człowiek
Oryginał idący własną drogą. Autorytet

**Żonie Annie i Bliskim
serdecznie współczujemy**

Jerzy Domański
Andrzej Maślankiewicz

Sherry Brandy



Ludwik Stomma

„Palenie jest przyczyną zawałów serca”, „Palenie jest przyczyną udarów i niepełnosprawności”, „Palenie powoduje raka jamy ustnej i gardła”, „Dym szkodzi Twoim dzieciom, rodzinie i przyjaciółom”, „Palenie zmniejsza płodność”, „Palenie zwiększa ryzyko utraty wzroku”, „Palenie powoduje 90% przypadków raka płuc” – oto slogany z jednego tylko kartonu rothmansów, a wszystkie opatrzone ilustracjami, które w każdym innym przypadku uznane by zostały za sadoporno. Na vogue'ach z kolei, w podobnych dekoracjach: „Palenie jest przyczyną miażdżycy”, „Palenie niszczy zęby i dziąsła” itd. Niektóre marki nie wysilają się na medyczne subtelności i głoszą po prostu: „Palenie zabija”. Najokrutniejsze są kpiny z naszej męskości: „Palenie powoduje impotencję”. Stąd opowieść o dziadku, który kupił paczkę z taką inskrypcją. Przygląda się jej starannie, po czym oddaje kioskarzowi: „Proszę wymienić, wolę już tę z rakiem”.

stawia w nim m.in. tezy antyszczepionkowców i antydarwinistów, zwanych też kreacjonistami, ludzi twierdzących, że Ziemia jest płaska, niewierzących w ocieplenie klimatyczne itd. Przytoczymy najpierw argumentację tych ostatnich, gdyż znajdują oni w Rzeczypospolitej, szczególnie na prawicy, wcale liczne grono wyznawców. Zaczyna się od najprymitywniejszego odwołania do tzw. zdrowego rozsądku (ale „dzisiaj słowo noblisty warte jest tyle samo co pierwsze-go z brzegu internauty”, napisał Umberto Eco). Najpierw oczywistości wręcz rozczulające. W 1976 r. lipiec był gorący jak w tym roku, a pamiętacie państwo zimę 1979/1980? – takich mrozów i śniegów nie było wcześniej przez 35 lat. I co z tego? Zresztą marszałek Józef Piłsudski zwykł mawiać: „W Polsce, jeśli chodzi o pogodę, to wiadomo tylko, że w sierpniu nie będzie śniegów. A i to jeszcze...”. Uczeńsi przywołują wyjątkowe zjawiska sprzed lat i krótkoterminowe

Zdrowy rozsądek

Tak się spełnia odwieczne lekarskie marzenie o panaceum. Wprawdzie nie jest to lek na wszystkie dolegliwości, ale omni przyczyna na pewno. Już wiemy, co wszystkiemu winne. Nawet nie smog, który palących i niepalących na mniej i bardziej zdrowych nie dzieli. Niestety, taka propaganda ma swoje skutki uboczne. Ludzie rozglądają się dookoła i widzą, że w naukowym opakowaniu wciskana jest im, delikatnie rzecz nazywając, horrendalna przesada. Tym bardziej to widoczne, że jednocześnie picie alkoholu powinno być tylko „umiarkowane”, a wina we Francji i piwa w Czechach bądź Niemczech nawet to nie dotyczy, co dokumentują zresztą całkiem naukowe prace. A ludzie znowu rozglądają się (taka już ich wścibska natura) i widzą, że żony i dzieci bite są najczęściej nie przez palaczy, ale przez pijanych partnerów, co oczywiście się potępia, choć przyczynę reklamuje.

Filiżanka czarnej kawy szkodliwsza od jednego marijskiego skręta? Ale „marihuana uzależnia”. A kawa? Wypadki drogowe następują z tysiąca przyczyn. Władze francuskie upodobały sobie jednak ostatnio szybkość i telefony komórkowe. Łatwiej przecież i taniej zakazać, a potem wyrysować odpowiednie krzywe na barwnych tablicach, niż naprawić dziurę w jezdni. Wszystko to – powtarzam – z beztróskim powoływaniem się na niedostępne dla prostaczków formuły tysiąca zakłęb.

Tymczasem prymitywne, ale powszechnie uznawane porzekadło zapewnia, że „jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze”. Ogłupiały obywatel przestaje więc nawet dociekać, jak jest naprawdę, i z góry stawia sobie pytanie, kto na tym korzysta. Wtedy głos zabierają wszelcy demagodzy, maniacy, nawiedzeni... Ale cóż. Sam tego chciałeś, Grzegorz Dyndało.

Francuski tygodnik „L'Express” opracował ostatnio obszerne dossier poświęcone „nowym obskurantom”. Przed-

statystyki. Raphaël Stevens, skądinąd milenarysta (dzisiaj mówi się mądrzej – kolapsolog), przyznaje, że topnieją lody Arktyki i Antarktydy, co podnosi poziom mórz. Za to – cieszy się – wysychają rzeki i źródła śródładowe, więc wychodzi na remis. To woda i tamto woda. Prezydent Duda oświadcza, że „zawsze były okresy cieplejsze i chłodniejsze”. Nie zauważa tylko, że człowiek może żyć jedynie w pewnej rozpiętości temperatur.

Szczepionki ocaliły miliony istnień ludzkich, acz niekiedy, raz na kilkanaście tysięcy przypadków, powodowały reakcje alergiczne lub jakieś powikłania. Oznacza to (mniejsza o rachunek prawdopodobieństwa), że nie są tysiącprocentowo pewne. Jeśli nie są pewne, to są ryzykowne, jeśli ryzykowne, to niebezpieczne. Najlepiej ich zakazać, a w każdym razie niech decyduje sam pacjent, a w przypadku dzieci – rodzice. Jakież to demokratyczne i przekonujące! Deputowany do francuskiego Zgromadzenia Narodowego, lekarz medycyny Thomas Mesnier, mówi, że ciągle słyszy: „No, mamy nadzieję, że nie będzie pan się powoływał na naukowców”. I dodaje: „To naprawdę przerażające, w jakim stopniu moi koledzy posłowie są nieufni w stosunku do nauki”. A przecież owi posłowie nie starają się przynajmniej przekonywać, że np. walkę z emisją dwutlenku węgla podjęto wyłącznie po to, żeby okraść zdrowo myślących obywateli, jak to w Polsce wypisują, i pewnie znajdują potakiewiczów, wielcy znawcy wszelkich tematów: Rafał Ziemkiewicz czy Janusz Korwin-Mikke. No cóż, panowie uzdrawiacze społeczeństwa – przez lata robiliście ludziom wodę z mózgu, to w końcu się udało. Wołaliście: „Wilk, wilk!”, a kiedy wilk ignorant wreszcie przyszedł, zrobiło się *śmieszno i straszno*. Cóż, sam tego chciałeś, Grzegorz Dyndało. Co napisawszy, zaciągnę się dymkiem z papierosa. Nie żebym miał szczególną ochotę, ale żeby nie dać się ostatecznie zwariować.



RADKA DENEMARKOVÁ

– czeska pisarka, tłumaczka,
scenarzystka i publicystka

Radka Denemarková – (ur. w 1968 r.) czterokrotna laureatka nagrody Magnesia Litera, słynie z podejmowania kontrowersyjnych tematów w bezkompromisowy i brutalny sposób – w swoich książkach odkrywała m.in. niechlubne karty czeskiej historii, pisała o wykorzystywaniu seksualnym nieletnich i przemocy domowej wobec kobiet.

Faszyzm dnia codziennego

Drażnią mnie kobiece rozmowy o dietach i pięknym wyglądzie.
Myślę wtedy: zamiast o diecie pomyśl o wyższej wypłacie

Rozmawiają Łukasz Grzesiczak i Anna Maślanka

Pani najnowsza wydana w Polsce książka „Kobold” to głos w obronie uciśnionych, zwłaszcza kobiet doświadczających przemocy domowej. Czy wierzy pani w literaturę zaangażowaną, która komentując rzeczywistość, potrafi ją zmieniać?

– Tak, dziś już tak. Był w moim życiu okres, gdy uważałam literaturę za sztukę samą w sobie, nie znośiłam gadania o literaturze zaangażowanej, z wiekiem jednak coraz bardziej wierzę, że za pomocą sztuki można coś zmienić. I sama staram się to robić. **Nie ogranicza się pani jednak tylko do literatury. Zabiera pani głos w ważnych dla pani sprawach.**

– Nigdy nie byłam typem buntowniczką, która potrzebuje wyjść na scenę i głośno mówić, ale poczułam, że na świecie dzieje się tak źle, że muszę zacząć wypowiadać się publicznie. Mówię sobie: „Nie rób tego,

oszczędzaj siły”, ale nie potrafię. Biorę więc udział w debatach, ostatnio w Austrii dyskutowałam z biskupem. **I jak poszło?**

– Miałam udzielić wywiadu katolickiemu czasopismu „Glauben und Denken”, na co niezbyt miałam ochotę – jestem krytyczna wobec wszystkich wspólnot religijnych, uważam, że wiara to sprawa prywatna. Stwierdzili jednak, że właśnie takiego podejścia potrzebują. Ponieważ organizowali też debatę, zaprosili mnie, przekonując, że biskup jest liberalny i ma nowoczesne poglądy. Dla mnie to była sprzeczność, nie istnieje ktoś taki jak liberalny biskup. Jeśli jest liberalny, nie może być biskupem. To miły człowiek, ale sama dyskusja była niesamowicie trudna i męcząca. Nie ma przecież możliwości, żeby coś z ich strony się ruszyło, nie mogą na to pozwolić, bo runęłaby cała hipokryzja, struktura władzy, która w każdym Kościele jest obiektem podziwu. Na koniec rzuciłam więc, że jest mi przykro, że nie doszliśmy

do porozumienia, ale niech mnie zaproszą, kiedy coś się zmieni. I że uwierzę w miłość bliźniego w Kościele katolickim, kiedy papieżem zostanie lesbijka. Tylko tak można z nimi rozmawiać, za pomocą argumentów *ad absurdum*.

Dużo uwagi poświęca pani sytuacji kobiet. Jak pani ją ocenia w naszej części Europy?

– Widzę pozytywne zmiany, których przejawem jest zwycięstwo Zuzany Čaputovej w wyborach prezydenckich na Słowacji, ale obawiam się, że to pojedyncze przypadki. Jakiś czas temu mieszkałam w Danii, gdzie kobiety już na stałe weszły do polityki, ale potrzeba było sporo czasu. Najpierw wprowadzono parytety, a dopiero kiedy ludzie przyzwyczaili się do kobiet w polityce, zaczęli na nie głosować, uwierzyli, że są też zdolne pełnić ważne funkcje. Problemem jest również podejście samych kobiet. Po ostatnich wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych sprawdzałam w statystykach,

na kogo głosowały kobiety. Jak myślicie – na Trumpa czy na Hillary Clinton?

Pewnie na Trumpa.

– Tak. Z wyjątkiem tych z wyższym wykształceniem, ale wszystkie pozostałe jak jeden mąż wybierały Trumpa. A przecież trudno znaleźć kogoś bardziej aroganckiego w stosunku do kobiet niż on.

Z czego to wynika?

– Może jest trochę jak w przypadku niewolników. Oni także rywalizowali między sobą, aby przypodobać się panu, może zatem kobiety w ten sposób chcą się przypodobać mężczyznom. Dla niewolnika świat, w którym żyje, jest w pewien sposób naturalny, nie zna innego, więc uznaje, że tak ma być. I kobietom wydaje się, że świat po prostu ma działać według męskiego myślenia. Boją się, sądzą, że jeśli wszystkie przed nimi musiały przejść tą drogą, to one też nie mają innego wyjścia.

Drażnią mnie te kobiece rozmowy o dietach i pięknym wyglądzie. Myślę wtedy: zamiast o diecie pomyśl o wyższej wypłacie. I te wypowiedzi: „Nie jestem feministką, bo lubię, kiedy mi mężczyzna pomoże z walizką, przytrzyma drzwi”. Ja też to lubię, ale w feminizm nie o to chodzi.

A o co w nim chodzi?

– O próbę porozumienia na sprawiedliwych zasadach. Feminizm to wcale nie jest bój przeciwko mężczyznom. Ale ludzie w naszej części Europy tego nie rozumieją.

W feminizmie chodzi o próbę porozumienia na sprawiedliwych zasadach.

Niedawno zakończyłam współpracę z moim długoletnim redaktorem. Poszło o jego reakcję na „Przyczynek do historii radości”. Po przeczytaniu rękopisu powiedział: „Do tej pory pisałaś ambitne, społeczne, krytyczne powieści, teraz nagle o kobietach?”. Odparłam, że gdyby podobne rzeczy spotykały mężczyzn, napisałabym o nich, zupełnie przecież nie chodzi o płeć. Jakoś nigdy nie słyszałam, żeby Tolkienowi po wystaniu „Władcy pierścieni” ktoś powiedział: „Ale jak to, tam jest tylu mężczyzn...”. To samo z wszystkimi powieściami wojennymi. Spytałam go, w czym tkwi problem, a on na to: „Teraz będą mówić, że jesteś feministką”. Na pyta-

nie, co w tym złego, odpowiedział, że feministek nikt nie lubi, że to takie kobiety, które nienawidzą mężczyzn, i że cały feminizm to konstrukcja zachodniego świata.

Wielu mężczyzn wciąż myśli podobnie, tylko nie mówią tego publicznie. Doszłam jednak do wniosku, że z kimś takim nie chcę już współpracować. To zdziwienie, że stworzenie z waginą może myśleć,

Nie istnieje ktoś taki jak liberalny biskup. Jeśli jest liberalny, nie może być biskupem.

może być mądre, utalentowane... To przecież atrybuty mężczyzn. Podobnie było z Ingeborg Bachmann – nie dokończyła swojego dzieła poświęconego tematyce kobiecej, bo bała się, że straci pozycję autorki literatury ambitnej, filozofki, autorytetu. Ja z „Przyczynkiem” zrobiłam odwrotnie, postanowiłam nie iść na kompromisy.

Jaką rolę w spychaniu kobiet na drugorzędną pozycję odgrywa seksualność? W „Koboldzie” podkreśla pani, że tyranizowana bohaterka czuje jednak do Kobolda silny pociąg fizyczny.

– Przez długi czas seksualność była wykorzystywana do kontroli kobiet, w dawnych czasach funkcjonowało prawo pierwszej nocy. Na szczęście doczekaliśmy czasów, kiedy seksualność przestała być dla kobiet czymś w rodzaju przykrego obowiązku, że nie służy tylko przekazaniu genów, nie jest jedynie narzędziem władzy, ale może być wykorzystywana przez kobiety dla własnej przyjemności.

Chociaż, niestety, nie wszędzie. W trakcie spotkań autorskich w Kolumbii uświadomiłam sobie, że tam wciąż obowiązuje zasada, że gwałt w małżeństwie to nie gwałt. Takie konserwatywne myślenie to dla mnie przykład faszyzmu dnia codziennego. Kobieta ma się zajmować rodziną i domem, wszelkie odstępstwa od normy, jak homoseksualizm, mają być tępione.

Podobne głosy i u nas rozbrzmiewają ostatnio coraz donośniej.

– Pytanie, dlaczego tak bardzo nęci to ludzi, dlaczego głosują na polityków reprezentujących tak ra-

dykalne podejście. Z piątki moich najlepszych przyjaciół z Węgier aż czworo wyemigrowało i mieszka dziś w Niemczech. Mówią, że to z powodu Orbána, a ja wtedy pytam: „Dlaczego wcześniej, kiedy dochodził do władzy, niczego nie robiliście? Zostanie nam wszystkim emigracja?”.

W Czechach też mamy przecież podobne historie – spójrzcie na naszego premiera, jemu także się wydaje, że może wszystkich kupić. Na szczęście nie doszedł jeszcze do tego, że demokracja nie jest

potrzebna. Na razie po prostu kradnie. Przepraszam, czerpie dotacje.

Chodzi pani na demonstrację przeciwko premierowi Babišowi?

– Na tej największej nie będę, bo jestem w Polsce, ale wcześniej tak, brałam udział, odpowiadałam na zaproszenie Mikuláša Minářa. Cieszę się, że to inicjatywa młodych ludzi, nie starych bojowników politycznych. Ponieważ demonstracje w Pradze nie potrzebują aż takiego wsparcia, pojawiłam się na mniejszej akcji, w mieście Čáslav. Na szczęście przyszło wielu młodych ludzi i prze-sympatyczne starsze panie. Było to jednak wyzwanie, bo pojawiło się sporo agresywnych reakcji – ludzie w małych miastach zwykle głosują właśnie na Babiša, Zemana i Okamurę. Dlatego to tak trudne, ale również ważne, wytłumaczyć im, o co właściwie chodzi.

No właśnie, dlaczego protestujecie?

– Bo premierem w naszym kraju jest człowiek, który był współpracownikiem Státní bezpečnosti (czechosłowackiej Służby Bezpieczeństwa), który ukradł miliony koron i wprowadza w Czechach reżim autorytarny. Świadczyły o tym już jego słowa, że będzie prowadził swoją partię na wzór firmy. Wielu Czechów uważało to za plus, ale wiadomo, jak wygląda prowadzenie biznesu – ja jestem właścicielem i chodzi o mój zysk. A w polityce potrzebne są kompromisy. Te wszystkie działania Babiša powodują osłabienie demokracji w Czechach, bo filarem demokracji jest fakt, że jesteście państwem prawa, a w państwie prawa wszyscy powinni być wobec prawa równi. Tymczasem premier nie odpowiada za swoje kradzieże, bo ma wpływ na wymiar sprawiedliwości i policję. ▶

► To bardzo niebezpieczna droga. Babiš twierdzi, że nigdy nie ustąpi ze stanowiska – a to przecież zachowanie typowe dla dyktatorów.

Protesty coś zmieniają? Babiš powiedział, że Czechy to nie Słowacja, tu się nie obala rządów na ulicy.

– Nasz system polityczny jest zabetonowany i trudno go naruszyć, ale zmienia się coś innego, też ważnego – świadomość ludzi. Dzięki protestom nie popadamy w letarg spod znaku: „On i tak wszystko opanuje, on i tak wszystko ma pod kontrolą, ma pieniądze, więc opłaci najlepszych prawników, którzy powiedzą mu, jak prawo obejść”. Ludzie mają poczucie, że nie są sami. Na pierwszych demonstracjach w Čáslavie było zaledwie pięć osób, wszyscy się bali – to pokazuje, jaką siłę i wpływ ma władza. Ale teraz razem jesteśmy silniejsi, dajemy sygnał, że również nie zamierzamy ustąpić.

Myślę, że to mimo wszystko wywołuje w Babišu pewien niepokój – co widać choćby po tym, że jest jeszcze bardziej nienawistny i arogancki niż wcześniej. Ale to nam akurat pomaga. Gdyby był mądrzejszy, zacząłby się zachowywać przyzwoicie, a tak jeszcze więcej ludzi obróci się przeciw niemu. Ważne, że coś robimy, że wciąż mamy możliwość reagowania, dyskusowania, a o to przecież chodzi w demokracji – o to, że każdy człowiek i jego głos jest ważny.

Zwiększanie świadomości jest też ważne ze względu na fake newsy i różne bezsensy publikowane w internecie, w które ludzie z małych miast wierzą. Wszelkie pomówienia, teorie spiskowe – tam to pada na naprawdę podatny grunt. A przecież Babiš kontroluje także media – kupił już „Mladą frontę DNES”, „Lidové noviny”, w publicznym radiu ma swojego lokalnego dyrektora, obsadza stanowiska w telewizji...

Bojkotuje pani media kontrolowane przez Babiša?

– Tak, nie tylko te należące do niego. Odmówiłam niedawno wywiadu dla czasopisma „Instinkt”, które należy do Jaromíra Soukupa sprzyjającego prezydentowi Zemanowi.

To dobra droga? W Polsce też mamy problem z mediami kontrolowanymi przez rząd, ale niektórzy przyjmują zaproszenia i starają się mówić to, co myślą.

– Bojkot byłby najlepszym rozwiązaniem, gdyby rzeczywiście te zaproszenia odrzucali wszyscy – pisarze, aktorzy, piosenkarze. Od Karela Gotta po młodych, popularnych artystów. Nie jestem pewna, czy rzeczywiście mamy możliwość powiedzieć to, co myślimy, dlatego całkowity bojkot podobałby mi się bardziej. Ale to niestety nie działa – przynajmniej w Czechach tylu doskonałych artystów i dziennikarzy dało się kupić.

Jeszcze 30 lat temu mieliście w Czechach Havla. Dzisiaj u władzy są Babiš i Zeman, Okamura ma coraz większe poparcie, tak jak na Słowacji Kotleba. Nacjonalistyczne partie rosną w siłę również na Zachodzie. Co właściwie się stało?

– Zadaję sobie to pytanie codziennie. Okazuje się, że w naszej demokratycznej Europie, w której tak liczą się prawa ludzkie, dochodzą do głosu jakieś sprawy z przeszłości – rasizm, antysemityzm, seksizm – których,

Czeski system polityczny jest zabetonowany i trudno go naruszyć, ale zmienia się coś innego, też ważnego – świadomość ludzi.

wydawałoby się, już się pozbyliśmy. Ludzie głosują na tych dziwnych typów, populistów, psychopatów, mających wizję świata, w którym ja nie chcę żyć. Przecież walczyliśmy o to, żeby było zupełnie inaczej. Może Europa w ten sposób się oczyszcza – ze starych, niezamkniętych, nierozwiązanych do końca spraw, i to zbiegło się w czasie z kryzysem migracyjnym. W ten sposób na scenę mogli wkroczyć populiści, którzy lansowali koncepcję kolektywnej winy spoczywającej na imigrantach, a przecież to nie jest żadna zbiorowość, którą można obciążyć winą, tylko pojedynczy ludzie. Inna sprawa – przez dłuższy czas działa się u nas dobrze, być może ludzie potrzebują jakiegoś dramatu, ożywienia.

Czarę goryczy przelał rok 2015 i ta fala czystego nacjonalizmu, rasizmu. Pytam czasem ludzi, jak sobie wyobrażają nasz kraj, głosując na Zemana i Babiša – zamierzają otoczyć Czechy murem, odgradzić od Europy? Na to pytanie już nie potrafią odpowiedzieć. Po prostu dzięki tej nienawiści czują się lepiej, bo wydaje im się, że są lepsi.

Ale na Zachodzie nastroje nacjonalistyczne też się nasilają.

– To prawda, jednak tam spotykają się one z równie silnym oporem. Wystarczy jedno głupie wideo, a minister podaje się do dymisji i upada rząd. A u nas podobnych afer było już tyle – i nic.

Dziś dobrze widać, że dla czeskiej polityki kluczowym momentem były pierwsze powszechne wybory prezydenckie, w których Zeman pokonał Karla Schwarzenberga.

– To prawda, po raz pierwszy wtedy przekonaliśmy się, w jaki sposób fake newsy mogą oddziaływać na społeczeństwo. Pomówienia rozpuszczane były np. na temat niemieckiej żony Schwarzenberga; zanim zdążył cokolwiek wyjaśnić, już sondaże leciały w dół.

To ukazało niedojrzałość narodu. Liczę tylko na to, że jednak zostaniemy w Unii Europejskiej. Mimo jednego z najmniejszych poparców dla idei Wspólnoty. A Babiš prawdopodobnie nie będzie chciał z niej

wyjść, bo dla niego to źródło dotacji. Unia musi jednak trochę się przededefiniować, bo sama gospodarka to za mało, ludzie potrzebują wartości, z którymi mogą się identyfikować. Babiš wzoruje się na władzach rosyjskich. Ludzie dali się zwieść jego bogactwu. Jedną z najgłupszych rzeczy, jakie słyszałam przed wyborami, to opinia, że Babiš – podobnie było z Trumpem – jest bogaty, więc nie będzie kradł, bo nie potrzebuje. Skończona głupota.

A czy nie uważa pani, że to intelektualści przez ostatnie 30 lat zrobili po prostu coś nie tak? Być może dziś zbieramy żniwa ich zaniechań?

– Oczywiście, zupełnie w Czechach zawiedliśmy. Działacze, politycy, ci, którzy zasiedli w parlamencie, nie uświadomili sobie, że to nie jest zabawa. Nie przyjęliśmy wtedy żadnych wartości, tylko system nastawiony na konsumpcję. Dzisiaj ten pragmatyzm oddziałuje na naszą psychikę. W ostatnich 30 latach nie spełniły się nasze marzenia i ideały, dlatego rośnie frustracja. A frustrację trzeba na kimś odreagować.

*Łukasz Grzesiczak
i Anna Maślanka*

Gorszy od stonki

Edward Mikołajczyk

W roku 1950 w oficjalnej Polsce nie było wątpliwości, skąd pochodzi jakaś zaraza w kraju. Gdy naszą bujną nać ziemniaczaną zaczęły zjadać larwy stonki, prawie natychmiast w przekazie dnia ujawniono sprawcę. I stało się jasne, że żuczek kolorado nie mógł przybyć z innego kierunku. Od początku zresztą zdradzały chrząszcza podejrzane paski na żółtym grzbiecie, jakby odrysowane z wrogiej flagi przez daltonistę.

Desant, pod osłoną nocy, miał się odbyć pod niebem Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Związek Radziecki, odpowiedzialny wówczas za bezpieczeństwo wszystkich upraw i całą przestrzeń na wschód od Łaby, wysłał notę protestacyjną do USA. Na taki odważny krok wobec Ameryki nie pozwolił sobie dotąd żaden inny kraj, choć stonka już od dziesięcioleci zjadała się najpierw francuską, a potem niemiecką nacią. Dopiero kiedy pochód szkodnika zatrzymała NRD, wyszło szydło z worka.

Nieszczęściem, które może nam popsuć dobre samopoczucie w bieżącym stuleciu, jest maciupenki kleszcz. Żaden osobnik każdego z 900 gatunków tego maleństwa, nawet oglądany pod mikroskopem, nie zdradza kraju pochodzenia. Jeden od drugiego nie różni się ani składem chemicznym śliny, ani modelem całków do nacinania psiej czy ludzkiej skóry, ani preferencjami do popijania tylko wybranej grupy krwi. Wszystkie są czarne, ale to raczej cecha charakteru, a nie oznaka przynależności państwowej kleszcza.

Kleszcze idą przed siebie i nie uznają granic stref uwalnianych przez powiatowe PiS od LGBT.

Tym razem naprawdę nie ma kogo obciążyć odpowiedzialnością za narastające zagrożenie. Aktualna geopolityka nakazywałaby spojrzeć z wyrzutem na Rosję, ale ten trik propagandowy odpada. Kleszcze są już w Szwecji, a czy doszły pod Moskwę, nie wiem. W każdym razie idą przed siebie i przesuwają granice w tym samym rytmie, w jakim podwyższona temperatura opanowuje Ziemię. Ignorują warunki ustrojowe. Dlatego poranne przekazy propagandowe milczą. Dyżurni wyznaczani do obsługi oralnej radia i telewizji,

gdyby tylko dostali sygnał z jakiejś parafii, już dawno by nas oświecili, że borelioza i kleszczowe zapalenie opon mózgowych to podstępna broń Platformy i marszów równości. Sęk w tym, że kleszcze nie uznają także granic stref uwalnianych przez powiatowe PiS od LGBT.

Może więc kara boska? Dobrze, ale dlaczego ma cierpieć akurat najpobożniejszy lud zamieszkujący Małopolskę? Statystyka zachorowań na boreliozę w Polsce jest wystarczająco nieubłagana dla Małopolski, żeby jeszcze niebiosy się dokładały. Region prowadzi z wynikiem 3641 przypadków w ubiegłym roku.

Niby zostały nam jeszcze Niemcy jako sprawdzone źródło nieszczęść. Ale nawet nie zaczynajmy, bo sąsiedzi mają opinię większych czystoszków od nas i się szczepią. Przeciwno kleszczowemu zapaleniu mózgu szczepi się zaledwie 1% Polaków, 17% Czechów, trzy razy tyle Niemców, a Austriaków – 87%.

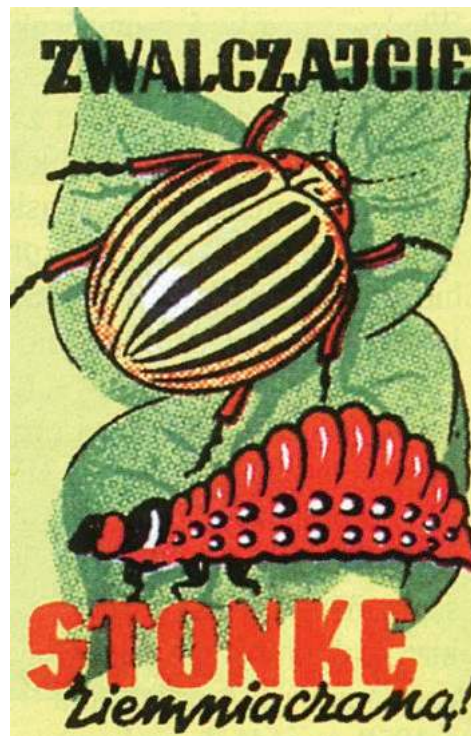
Jeżeli w dalszym ciągu bardziej nas interesuje, na kogo by tu zwalić winę, zamiast samemu sobie poradzić z nieszczęściem, udajmy się jednak do Ameryki. Boreliozę ma w USA 300 tys. ludzi. Też szukają winnych. Republikański kongresmen z New Jersey wystąpił do Departamentu Stanu z żądaniem śledztwa, które dostarczy odpowiedzi na jego pytanie. A pytanie brzmi tak: czy w latach 1950-1975 Pentagon prowadził eksperymenty

na kleszczach i innych owadach w celu wykorzystania ich jako broni biologicznej?

Źródło, z którego zaczerpnąłem tę informację, nie należy do pierwszej setki najbardziej wiarygodnych na świecie, ale sam news nosi wszelkie znamiona prawdziwości, jeżeli chodzi o przedmiot interpelacji. Okolicznością lekko obciążającą reprezentanta narodu jest powołanie się na to, „co ludzie mówią”, a mówią, że amerykańscy „oni” w różnych tajnych miejscach eksperymentowali, potem przestali, wypuścili zakażone stworzenia na wolność i teraz mamy boreliozę.

A o tym, że kleszcze lubią amerykańską krew, można się przekonać, oglądając najnowszy film Woody’ego Allena „W deszczowy dzień w Nowym Jorku”. Młody nowojorczyk o wymownie literackim imieniu Gatsby wybrał się na prowincjonalny uniwersytet i już po pierwszym pokonaniu trawnika na kampusie złapał trzy sztuki.

Ameryka jeszcze nie widziała tego filmu, ale nie z powodu kleszczy.



OBCA JAK TY

To druga produkcja Fundacji Banina (po „Kolorowej, czyli biało-czerwonej”), spektakl misyjny, przygotowany z myślą o prezentacji w szkołach. O ile poprzedni miał charakter interwencyjny, o tyle ten idzie w stronę metafory. Temat należy do dyżurnych wątków kampanii politycznych – idzie przecież o domniemaną inwazję obcych, imigrantów, którzy mają zagrażać naszej tożsamości.

„Obca” wyrasta z doświadczeń ukraińskiej imigrantki, która po traumie Majdanu przybywa do Polski i tu próbuje znaleźć swoje miejsce. Nie jest to jednak łatwe. Czuje się obca, jest traktowana jak obca. Spektakl jednak unika relacji wprost, to raczej symboliczny ekstrakt, w którym odzwierciedla się problem relacji obcy-swój. Dalece też wykracza poza jednostkowe przeżycia imigrantki z Ukrainy.

Nie przypadkiem już na początku widzimy skuloną postać w masce, która w dłoniach obraca kulę-globus. Za chwilę popłyną słowa o Ziemi, kontynentach, ludności i toczących się wojnach, które jak blizny pozostawiają ślady na skórze świata. Kulminacyjnym momentem jest krótki fragment grany po ukraińsku (co zresztą aktorka zapowiada), a dotyczący doświadczenia Majdanu – nie ma jednak próby drażnienia tego bolesnego tematu. Mowa tu o doznaniach, strachu, stereotypach, barierach, które trudno prze-



łamać. Mówi o tym młoda Ukrainka Solomija Mardarowych z Kołomyi, najpierw „zamaskowana”, ale potem już z odsłoniętą twarzą, prowadząc chwilami działania wprost z publicznością.

„Obca” to projekt bezinteresowny, przygotowany za własne pieniądze twórców. Robią to, bo tak trzeba, zarażając pasją innych: autorkę scenariusza, która ma za sobą kilka sztuk dla dzieci, czy scenografkę, utalentowaną uczennicę ze szkoły w Bielsku-Białej, która stworzyła magię prostych przedmiotów. Piękna robota.

Tomasz Miłkowski

„Obca”, reżyseria i dramaturgia Bartek Miernik, scenariusz Katarzyna Mazur-Lejman, premiera na Pol'and'Rock Festival, 31 lipca 2019



OFERTY MATRYMONIALNE

Trzy scenki wielkiego twórcy baroku Alessandra Scarlattiego zasadzają się na trzech ofertach małżeńskich. Są to jednak tylko oferty, których zwieńczeniem staje się nie ślub, ale zabawne perypetie jego i jej, którzy niby chcą się połączyć. Mężczyzna sądzi, że taki cel uświęca środki, kobieta zaś woli rozpalać do czerwoności uczucia kandydata, niż powiedzieć po prostu „tak”. Wszystko oprawione wdzięcznie muzyką na starych instrumentach. Scenki komediowe są pełne gestów i zabawnych akcji, więc nawet rozumienie włoskich słów nie jest konieczne. Takie sytuacje zdają się wciąż aktualne, pod każdą szerokością geograficzną. Podziwiamy urodę pań, sprawność dyrygenta, który na stojąco gra też na klawesynie, i mistrzostwo reżyserii.

Bronisław Tumitowicz

Alessandro Scarlatti, „Scene buffe”, dyrygent Krzysztof Garstka, reżyseria Jitka Stokalska, Polska Opera Królewska w ramach Letniego Festiwalu, spektakl 13 lipca 2019

KULTURALNE DZIECI

MIĘDZYPOKOLENIOWY FESTIWAL LITERATURY DZIECIĘCEJ W MAŁOPOLSCE

Ten wyjątkowy projekt, który ma na celu łączenie pokoleń za pomocą literatury, dotarł do Małopolski. Festiwal ma być też pretekstem do odwiedzenia ciekawych miejsc, w których

odbędą się warsztaty, spotkania, zabawy literackie i wystawy. To m.in. restauracja Wierzynek, Wawel, Dom Malarek w Zaliptu, zamek w Nowym Wiśniczu, Centrum Sztuki Mościce w Tarnowie, Muzeum Zabawek w Krynicy, Sąddecki Park Etnograficzny, Enklawa Przyrodnicza „Bobrowi-

ska” w Starym Sączu. Znani i lubiani będą czytać, rodzice i dziadkowie będą wspominać, a dzieci zapomną, co to znaczy nudzić się na wakacjach. Zapisy na poszczególne wydarzenia pod adresem: rezervacja@festiwalliteraturydzieciej.pl.

DO 25 SIERPNI



FESTIWALE

25. MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE

**Adam Baldych Quartet:
Sacrum Profanum**

Polski skrzypek należy obecnie do międzynarodowej elity wirtuozów tego instrumentu. Od początku kariery wyznacza nowe ścieżki dla wiolinistyki. Zaciera granice między jazzem, muzyką poważną i współczesnym światem dźwięków. „Sacrum Profanum” to najnowszy projekt jego kwartetu, nagrany dla prestiżowej niemieckiej wytwórni ACT Music. Jest próbą wpisania



muzyki sakralnej różnych epok, m.in. „Bogurodzicy”, w kontekst współczesności z jej bogactwem brzmień, wolnością interpretacji i ekspresji. Po udanych projektach „The New Tradition” z Yaronem Hermanem, „Antiphona – Psalm Syryjskie” czy ostatnio „Brothers” z norweskim Helge Lien Trio i saksofonistą Tore Brunborgiem tym razem proponuje muzykę niezwykle uduchowioną, realizowaną w duchu nieskrępowanej improwizacji. (ap)

**WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA,
10 SIERPNIĄ, GODZ. 19.00**

NA EKRANACH

PAVAROTTI

reż. Ron Howard, prod. USA,
już w kinach

Za „Piękny umysł” w 2002 r. Ron Howard dostał Oscara za film fabularny. Teraz powinna dołączyć do niego statuetka dla najlepszego dokumentu. „Pavarotti” to kino w hollywoodzkim stylu w najlepszym tego słowa znaczeniu. Adresowany jest do szerokiej publiczności, więc wypełniając go emocje i niespodziewane zwroty akcji. Dostajemy moc

wzruszeń i mnóstwo okazji do śmiechu. Nade wszystko jednak ważna jest muzyka. Wykonana przez trzech tenorów aria „Nessun dorma” czy wyśpiewana z Bono piosenka „Miss Sarajevo” kłębią się w głowie jeszcze długo po seansie. Howard często odwołuje się do muzyki, bo jego film to nie tylko wypis z biografii artysty, ale też analiza jego wpływu na świat opery, która nigdy nie święciła takich komercyjnych sukcesów jak w najlepszych latach Pavarottiego. Twórca nie popada przy tym w snobizm i nie delectuje się smaczkami. Woli żywe anegdoty. A tych nie brakowało w życiu maestra, który podróżował z własnym prosciotto, księżną Dianę zmusił do słuchania go w deszczu, a Jana Pawła II rozjuszył do tego stopnia, że papież odmówił mu unieważnienia małżeństwa.

Artur Zaborski



CANNES W MURANOWIE

Tylko przez trzy dni w warszawskim kinie Muranów będzie można oglądać najgłośniejsze filmy pokazane i nagrodzone na ostatnim festiwalu w Cannes – w niektórych przypadkach kilka miesięcy przed oficjalną premierą! W programie znalazły się autobiograficzny „Ból i blask” Pedra Almodóvara z udziałem Penélope Cruz i Antonia Banderasa, „Parasite” Joon-ho Bong – laureat Złotej Palmy, nagrodzony za scenariusz melodramat „Portret kobiety w ogniu” Céline Sciammy, a także „Zdrajca” Marca Bellocchia.

WARSZAWA, 9-11 SIERPNIĄ

ZAJRZYJ TU

STUDIUM POSŁUSZEŃSTWA

Punktem wyjścia jest tu jedna z najnowszych realizacji Marka Chlady, tytułowe „Studium posłuszeństwa” z 2018 r. Praca powstała w Nowej Hucie, w momencie demontażu „Szkoły utopii”, projektu częściowo wystawienniczego, a częściowo teatralnego, który realizowany był w opuszczonym skrzydle dawnego technikum elektrycznego. Instalacja zaistniała w przestrzeni jednej z klas szkolnych, właściwie bez widzów. „Studium...” zbudowane jest z dróg-labiryntów oraz wplecionych w nie fragmentarycznych postaci, którym autor pozwala na pełną swobodę ruchu.

**ŁÓDŹ, MS1,
DO 13 PAŹDZIERNIKA**



Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Mateusz Mazzini

Prawdziwie globalny charakter katastrofy klimatycznej jest faktem znanym naukowcom co najmniej od kilku dziesięcioleci. Jednak, co oczywiste, nie wszędzie manifestuje się ona w taki sam sposób. Choć ogólny klimat na Ziemi ociepla się radykalnie, w wielu miejscach na planecie proces ten wywołuje epizodyczne stany odwrotne, takie jak nagłe spadki temperatur czy opady śniegu w porach letnich. Na początku lipca czołówki gazet i portali internetowych na całym świecie obieły zdjęcia z meksykańskiej Guadalajary, miasta położonego zaledwie na 20. równoleżniku, które w ciągu jednej nocy zostało zasypane półtorametrową warstwą gradu. Nietypowe i gwałtowne fale zimna są też ulubionym argumentem denialistów – negacjonistów klimatycznych, którzy w ten sposób próbują wyśmiać globalne ocieplenie. Bo jak możemy wchodzić w erę upałów i susz, jeśli w sierpniowy dzień za oknem będzie tylko 10 st. C?

Najnowsze badania międzynarodowego zespołu klimatologów, z udziałem naukowców z uniwersytetów w Bernie, Murcji i Bergen oraz Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku, rozwiewają wątpliwości co do ogólnosiwiatowego charakteru globalnego ocieplenia. W artykule opublikowanym 24 lipca w magazynie naukowym „Nature” dowodzą oni, że na 98% powierzchni naszej planety średnia temperatura w XX w. była wyższa niż w jakimkolwiek innym okresie w ciągu ostatnich 2 tys. lat. To przełomowe odkrycie, bo dowodzi, że zmiany klimatu są bezprecedensowe w historii Ziemi, jeśli chodzi o ich zasięg. Poprzednie obniżenia lub podwyższenia temperatur, jak chociażby średniowieczny okres ciepła czy mała epoka lodowcowa, obejmująca środkową i północną Europę od XIII aż do końca XVIII w., miały charakter co najwyżej regionalny. Autorzy tekstu w „Nature” podsumowują badania jednoznacznie: nie ma dowodów na jakąkolwiek ogólnoplanetarną epokę klimatyczną przed czasami rewolucji przemysłowej. Mówiąc prościej, obecne ocieplenie jest najszerzą i najgwałtowniejszą zmianą warunków biologicznych

Cały świat się grzeje

Temperatura na 98% powierzchni Ziemi była w XX w. najwyższa od dwóch tysięcy lat

życia na Ziemi. I w całości odpowiedzialni za nią jesteśmy my – ludzie.

„Najbardziej zdziwiło nas odkrycie właśnie tej globalnej spójności w badaniach ocieplenia klimatu”, wyjaśnia Nathan Steiger z Uniwersytetu Columbia, jeden z autorów publikacji. „Wiedzieliśmy, że w ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat były fale podnoszenia się i obniżania temperatur na niektórych, nawet bardzo dużych obszarach Ziemi, ale trudno było nam dokładnie określić ich zakres. Z jednej strony, nie dziwi nas, że teraz klimat jest inny niż 2 tys. lat temu – to oczywiste. Ale z drugiej, wiemy wreszcie, że jest inny na całym świecie. To badanie daje bardzo dobry kontekst czasowy do tego, żeby zrozumieć kontrast między dzisiejszymi i dawnymi zmianami”, komentował Steiger w magazynie „Smithsonian”.

Obecne ocieplenie jest najszerzą i najgwałtowniejszą zmianą warunków biologicznych życia na Ziemi.

Dotychczas bowiem wiele badań klimatologicznych opierało się na założeniu, że znane wcześniej epizody zmian klimatycznych musiały być tak naprawdę zjawiskami globalnymi, tylko brakowało na to dowodów. Scott St. George, klimatolog z Uniwersytetu Stanowego w Minnesocie, wyjaśnia, że przez wiele lat nie podważano tej hipotezy. Dopiero od niedawna, wraz z rozwojem technologii i programów komputerowych pozwalających na dokładniejsze odtwarzanie warunków klimatycznych w różnych częściach globu i w różnym okresie, możliwe stało się udowodnienie, jak wąski był zakres tych zmian.

Doskonale widać to na przykładzie mapy świata, na którą naniesiono najniższe temperatury w danym miejscu w ciągu ostatnich 2 tys. lat. Dzięki temu zobaczyć można już na pierwszy rzut oka, że ani średniowieczny okres ciepła, ani mała epoka

lodowcowa nie były zjawiskami ogólnosiwiatowymi. Zespół Steigera dowodzi, że przez ostatnie dwa milenia najniższa temperatura w Europie Północno-Zachodniej występowała w XVII w., na Oceanie Spokojnym – w XV w., a na południowym wschodzie Stanów Zjednoczonych dopiero w drugiej połowie XIX w.

Dużo łatwiejsze i bardziej jednoznaczne było opisanie temperatur najwyższych. Aż na 98% powierzchni naszej planety występowały one pod koniec ubiegłego stulecia.

Równolegle inna grupa naukowców, złożona także z paleontologów i ekspertów w dziedzinie biologii oceanicznej, opublikowała w periodyku „Nature Geoscience” artykuł o tempie bieżących zmian klimatycznych. Szwajcarski klimatolog Raphael Neukom, jeden z liderów zespołu badaczy, dodał następny powód

do bicia na alarm – obecne ocieplenie klimatu jest nie tylko największe, ale i najszybsze. Na konferencji prasowej Neukom i jego koledzy wyjaśnili, że analizując modele zmian średnich temperatur w 20-letnich okresach, są w stanie jednoznacznie stwierdzić, że wartości te nigdy nie zmieniały się w takim tempie jak w ostatnich dwóch dekadach minionego stulecia. To kolejny argument podkreślający wyjątkowość bieżących zmian klimatycznych. Nawet gdy do rewolucji pogodowej dochodziło na skutek katastrof naturalnych, takich jak wybuchy wulkanów, temperatury nie rosły ani nie malały tak szybko jak teraz, kiedy człowiek zanieczyszcza środowisko.

Oba badania mają rewolucyjne znaczenie dla wiedzy o natężeniu zmian klimatycznych również dlatego, że naukowcom udało się oddzielić wpływ człowieka i natury na wahania temperatur. Nathan Steiger



Problemy z dostępem do wody dotkną coraz więcej miejsc na całym świecie. Nz. punkt dystrybucji wody w Pakistanie.

wyjaśnia, że dotychczas trudno było rozróżnić te dwa czynniki, zwłaszcza że niejednokrotnie pokrywały się czasowo. Tak było chociażby w przypadku zwiększonej aktywności wulkanicznej, głównie na obszarze Oceanu Spokojnego i Azji – pokryła się ona prawie dokładnie z rewolucją przemysłową. Ponieważ uprzemysłowienie pompowało dwutlenek węgla do atmosfery, przyczyniało się do ocieplenia klimatu. Wulkany z kolei klimat ochładzały, neutralizując efekt pojawienia się pierwszych fabryk. Choć, jak mówi Steiger, precyzyjne zidentyfikowanie czynników wpływających na zmiany klimatyczne wciąż jest bardzo trudne i może przedłużać proces badawczy o wiele miesięcy, postęp w klimatologii pozwala już coraz dokładniej stwierdzić, co, a nawet kto sprawia, że jest nam wszystkim coraz cieplej.

Publikacja obu raportów zbiegła się w czasie z kolejnymi doniesieniami o ekstremalnych stanach pogodowych. Przez Europę znów przechodzi fala niespotykanych dotąd upałów. We Francji temperatury sięgały 42 st. C. Były to najwyższe wartości, odkąd w XIX w. zaczęto zbierać dane na temat klimatu. Tamtejszy rząd przygotowuje się na największe w najnowszej historii kraju susze, nakładając restrykcje

w używaniu wody aż w 73 regionach. W Belgii władze po raz pierwszy od wprowadzenia tam 20 lat temu systemu ostrzegania o niebezpiecznych warunkach pogodowych ogłosili czerwony, najwyższy stopień ryzyka dla ludności. Osobom starszym odradza się wychodzenie na zewnątrz, a samorządy rozdają butelki z wodą pitną i instalują natryski oraz kurtyny wodne w miejscach publicznych. Stany alarmowe ogłoszono również w Holandii, w północnych Włoszech i w niektórych częściach Niemiec.

Na Grenlandii z powodu upałów w pierwszym tygodniu sierpnia stopi się aż 40 mld ton lodu.

Jeszcze bardziej dramatyczne informacje płyną jednak z tych części świata, gdzie ocieplenie klimatu niekoniecznie zagraża w pierwszej kolejności ludziom. Ta sama fala gorąca, która uprzykrza życie Europejczykom, przyczynia się do topnienia lodu na Grenlandii. Z powodu upałów w pierwszym tygodniu sierpnia stopić się ma zupełnie aż 40 mld ton lodu na wyspie. Przekłada się to na podniesienie globalnego poziomu mórz i oceanów aż o 0,11 mm. A mowa tu tylko o jednej, kilkunastodniowej fali ciepła. W dodatku proces ten nie miał prawa zdarzyć się już teraz.

Zgodnie z poprzednimi symulacjami pokrywa lodowa miała zacząć topnieć dopiero około roku 2050.

Naukowcy od lat są zgodni co do odpowiedzialności człowieka za katastrofę klimatyczną, potwierdzają to zresztą badania przedstawione w „Nature” i „Nature Geoscience”. Zaprzecza temu jednak coraz więcej polityków i publicystów. Jednym ze światowych liderów w odrzucaniu odpowiedzialności człowieka za zniszczenie środowiska naturalnego jest Donald Trump. Według

najnowszych wyliczeń dziennikarzy „New York Timesa” od inauguracji prezydentury w styczniu 2017 r. anulował już lub rozpoczął proces wycofywania aż 86 dyrektyw i aktów prawnych dotyczących ekologii i ochrony środowiska. W jednej drużynie z prezydentem USA grają też przywódcy niektórych krajów europejskich, w tym premier Mateusz Morawiecki, sprzeciwiający się unijnej polityce redukcji emisji dwutlenku węgla. Tymczasem klimat nie czeka – wciąż się ociepla. Już wiemy, ociepla się wszędzie i najszybciej w historii. ■

Cierpienie w imię nauki

Justin Schmidt dał się ukąsić 83 różnym owadom, aby stworzyć listę najgorszych możliwych użądleń

Paweł Drąg

Justin Schmidt dosłownie potraktował tezę, że naukowiec powinien odznaczać się niezaspokojoną ciekawością. To właśnie ona zapewniła mu życie przepełnione bólem. Nie sposób jednak Justinowi współczuć, ponieważ robi to na własne życzenie i z głęboką wiarą w sens swojej misji. W 1983 r. początkujący entomolog wrócił z badań terenowych na uniwersytet w Georgii z pokaźną liczbą przedstawicieli gatunku mrówek żniwiarek. Wspólnie z żoną zamierzali zgłębić temat mrówczego jadu i wykorzystać to do pracy naukowej. Podstawowym zadaniem była ocena toksyczności oraz bólu, który mrówki wywołują. W pierwszej kwestii problemów nie było. Wystarczyło wykorzystać istniejące już mierniki. Co jednak ze skalą bólu, skoro nikt nigdy jeszcze nie spróbował skonkretyzować tego aspektu?

Rekordzistką w sprawianiu bólu jest mrówka pociskowa: to niczym chodzenie po rozpalonych węglach z kilkucentymetrowym gwoździem wbitym w piętę.

Justinowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Tak powstała skala bólu Schmidta dla żądliących insektów (ang. *Schmidt Pain Scale for Stinging Insects*). W czteropunktowej skali punktem odniesienia jest użądlenie zwykłej pszczoły miodnej, a więc ból, z którym większość ludzi co najmniej raz w życiu mogła się spotkać. Katusze wywołane przez pszczoły otrzymały dwa punkty w skali, jako „palące, żrące, ale do wytrzymania. Jakby podpalona zapalka wylądowała na twoim ramieniu, została ugaszona ługiem, a następnie polana kwasem siarkowym”.



Naukowiec punktuje ukąszenia za pomocą dwóch elementów: rzeczywistej szkody fizjologicznej i tego, co nazywa „czynnikami auć”.

Najdelikatniej oceniony został smuklik, *Halictus*: „Ból lekki, przelotny, szybko mijający. Porównywalny do iskry wypalającej włos na przedramieniu”. „Indeks rejestruje, ile bólu powoduje użądlenie owada, abyśmy mogli dokonać naukowych porównań między użądleniami różnych gatunków. Wybrałem czteropunktową skalę, ponieważ trudno odróżnić poziomy ból w drobniejszych szczegółach, powiedzmy w skali dziesięciopunktowej”, wyjaśniał Justin Schmidt.

Dzięki opisom niepozbowionym poczucia humoru, a nawet poetyczności, łatwiej klasyfikować konkretne dane pochodzące od Schmidta. Ten zaś nie próżnował. Przez kilkanaście lat dał się użądlić ponad tysiąc razy, a na jego stale aktualizowanej liście pojawiły się co najmniej 83 gatunki owadów. Wśród nich m.in.: „4,0 Pszczoła wojownicza, *Synoea septentrionalis*. Tortury. Jesteś przykuty do wnętrza wybuchającego wulkanu. Dlaczego zabierałem się do tej listy?”, „2,5 Czarna osa polybia, *Polybia simillima*. Satanistyczny rytuał, który się nie udał. Gazowa lampa w starym kościele eksploduje ci w twarz,

gdy próbujesz ją zapalić”, „2,0 Szerzeń, *Dolichovespula maculata*. Bogaty, szczodry, lekko ogłupiający. Podobny do tego, który czujesz, gdy obrotowe drzwi przytrzasną ci dłoń”. Według skali bólu Schmidta klecanka, *Polistes dominula*, potrafi użądlić najboleśniej ze wszystkich owadów występujących w Europie.

Rekordzistką w sprawianiu bólu jest jednak mrówka pociskowa, *Paraponera clavata*. „Czysty ból, wręcz doskonały. Jest niczym chodzenie po rozpalonych węglach z kilkucentymetrowym gwoździem

Czarna osa polybia: satanistyczny rytuał, który się nie udał. Gazowa lampa w starym kościele eksploduje ci w twarz.

wbitym w piętę”. Dla Schmidta zetknięcie się z tym owadem było tożsame z jednym z najgorszych dni w życiu. Czego jednak się nie robi dla nauki. „Zazwyczaj kluję się w trakcie badania konkretnego gatunku owada. Bardzo rzadko zdarzają się sytuacje, kiedy muszę prowokować

użądlenie, a w takich przypadkach – gdy owad nie chce żądlić – nie jest to zbyt bolesne”, wyjaśniał.

Naukowiec punktuje użądlenia za pomocą dwóch elementów: rzeczywistej szkody fizjologicznej i tego, co nazywa „czynnikiem auć”. To konsekwencja faktu, że ból jest bardzo subiektywny. „Prawda o bólu występuje w dwóch odmianach: wyobrażonych i zrealizowanych. Przy użądleniach nasza wyobraźnia jest żywa i silna, nawet jeśli ból ukąszenia nie jest realizowany”, tłumaczył Schmidt w książce „The Sting of the Wild” (2016). „Król żądleń”, jak nazywa się go w mediach, odpowiada tu m.in. na pytanie, co należy zrobić, aby uniknąć groźnego ukąszenia – trzymać się z dala od niebezpiecznych owadów. Nic odkrywczego, ale najlepsze rady zazwyczaj nie są zbyt zawite. „Czy jestem szalony? Może w oczach obserwatorów. Prawdopodobnie możesz argumentować, że jestem szalony, ale lubię to, co robię”, tłumaczył w materiale BBC.

Aby sprowadzić żywe owady do laboratorium w celu zbadania ich jadu, entomolog zazwyczaj chwycił je niezabezpieczonymi rękami. Jeśli nie zostanie wtedy ukąszony, umieszcza owady na ramieniu, by wywołać ugryzienie. W reakcji na nie niewiele może zrobić, bo nigdy nie ma przy sobie apteczki ani

Szerszeń: ból szczodry, lekko ogłupiający. Podobny do tego, który czujesz, gdy obrotowe drzwi przytrzasną ci dłoń.

maści. Do jego akcesoriów codziennego użytku w pracy terenowej należy tylko łód w skrzyni chłodzącej, do ulżenia sobie w najgorszym bólu, a także telefon na wypadek sytuacji kryzysowej.

Naukowiec doczekał się zapatrzonych w niego następców. Michael Smith z Uniwersytetu Cornella, opierając się na wiedzy

zaczepniętej ze skali bólu, stworzył listę najboleśniejszych żądlnych miejsc na ciele. Łapał pszczoły pęsetą za skrzydła i przyciskał je do wybranej części ciała. Żądło pozostawało w danym miejscu przez pełną minutę. Natężenie bólu było oceniane w skali od 1 do 10, a każda z 25 wybranych przez Smitha części ciała żądlona po trzy razy. Najmniej bolały użądlenia w ramię, czubek palca oraz w skórę głowy. Najgorsze były te w nozdrza i górną wargę, w dalszej kolejności w żołądek. Oczywiście to penis był najchętniej wymieniany w materiałach prasowych, jednak to nozdrza okazały się najboleśniejsze. Możliwe, że zdystansowałyby je użądlenia w oczy, czego Smith zamierzał doświadczyć, ale Justin Schmidt wymógł na nim obietnicę, że skurą tę część ciała pozostawi w spokoju. Na pomysł młodego naukowca spuścimy zastonę milczenia. Tym bardziej że niezbadane zawsze kusi najbardziej...

■

Szkolenia WORDPRESS

Dedykowane szkolenia dla firm:

- projektowanie stron internetowych
- zarządzanie stroną www
- administrowanie stroną www
- modyfikacja / rozbudowa strony
- sklep WooCommerce

www.cmswordpress.edu.pl



 **SzkoleniaMi.pl**
Profesjonalne szkolenia informatyczne

Ewa Ornacka

Perfekcyjna manipulacja

Jak kochają psychopaci

Psychopaci czasami się zakochują, ale ich miłość jest powierzchowna. Uczuciowi towarzyszy chorobliwa podejrzliwość i zazdrość. Obiekt wstępień psychopaty nie ma lekkiego życia. Jego/jej poczta mejlowa jest inwigilowana, a zdjęcia w telefonie regularnie przeglądane. Płomienny afekt dość szybko przeradza się w kontrolowanie i szpiegowanie.

Zamiast czułych słówek charakterystycznych dla początku znajomości pojawiają się: irracjonalne podejrzewania o zdradę, wieczne pretensje o czas spędzany poza domem i coraz gwałtowniejsze wybuchy zazdrości. Psychopata stara się odciąć partnerkę/partnera od znajomych, wbić ją/jego w nieuzasadnione poczucie winy i przede wszystkim – przejąć kontrolę nad jej/jego życiem. Zazwyczaj udaje mu się to, gdyż potrafi czarować słowem, budzić współczucie i karmić swoje ego naszymi słabościami. (...)

Bez balastu uczuć

– Na postępowanie psychopatów nie mają wpływu ani pozytywne, ani negatywne emocje, a to przecież one modyfikują nasze, czyli większości ludzi postępowanie – mówi psycholog Katarzyna Kolańska. – (...) Rozgrywają ludźmi trochę jak szachiści, jeśli są intelektualnie bardzo sprawni, albo warcabiści – gdy są przeciętni. Nie mają balastu emocjonalności.

Zimna kalkulacja tłumaczy, dlaczego psychopaci ważą się na takie czyny i kroki, na jakie nie zdecydowałby się człowiek z prawidłową emocjonalnością – choćby ze strachu przed zdemaskowaniem, kompromitacją czy obawą przed zranieniem drugiej osoby. Skoro nie bierze się pod uwagę czyjeś krzywdy, to łatwiej podejmować decyzje. Ludzie są tylko pionkami w rozgrywce, to istoty odhumanizowane, pozbawione człowieczeństwa, mięso armatnie w wojnie psychopatów. (...) W starciu sądowym z kimś takim, np. na sprawie rozwodowej czy o zniesławienie, trzeba się spodziewać wszystkiego najgorszego – przestrzega psycholog.

Kluczową sprawą w relacjach intymnych jest dla psychopaty poczucie władzy nad partnerem. (...)

Zdaniem pani psycholog perfidia psychopaty uruchamia się wówczas, kiedy partner (ale też znajomy, współpracownik w interesach czy pracownik) próbuje uciec spod jego jurysdykcji.

– Psychopata – kontynuuje Katarzyna Kolańska – myśli tak: „Dopóki jesteś moją własnością, dopóki ja tobą władam, mogę tobą pogardzić, korzystać z ciebie jak z użytecznego stworzenia domowego, to będę dla ciebie dobry. Ale biada ci, jeśli spróbujesz rzucić wyzwanie mojej władzy. Wtedy wytoczę ciężką artylerię, napalm, bomby, aby cię zniszczyć”. (...)

– W związkach partnerskich z psychopatą charakterystyczne jest to, że jego miłość przeradza się w nękanie – ostrzega dr Jerzy Pobocho. – Patrząc na to z boku, można powiedzieć, że sprawa jest intrygująca: jak to się dzieje, że płomienna na starcie miłość zamienia się w skrajnie negatywne emocje. Najpierw był ślub, wielkie uniesienia, potem rozwód, a następnie stan totalnej wojny. Rozwód to prawdziwy test osobowości człowieka. Rozwód psychopaty to prawdziwy popis jego możliwości, istne pole minowe.

Pamiętajmy też, że u psychopatów występuje zwiększona skłonność do zazdrości, niezależnie od płci, chociaż w przypadku mężczyzn zazdrość jest generalnie zjawiskiem częstym. Oni te żony biją, podejrzewając o Bóg wie co. Wszystkie kobiety powinny mieć świadomość pułapki, jaką stwarza miłość do psychopaty. Powinny też kategorycznie skończyć z myśleniem życzeniowym.

– Czyli jakim?

– Myślenie życzeniowe, inaczej katatymiczne, polega na przekonaniu, że będzie tak, jak sobie tego życzymy, ponieważ bardzo tego chcemy. Inaczej mówiąc, jest to wiara, że wszystko będzie dobrze. Myślenie katatymiczne występuje przy hazardzie, nawet tak niewinnym jak gra w toto-lotka: „Tym razem wygram, na pewno” albo „Odegram się, karta dobrze mi pójdzie”.

W związkach z psychopatą takie myślenie przejawia się w podejściu: „Jak się ożeni, to się odmieni” albo „Jakoś nam się ułoży”. On się nie odmieni, nic się nie ułoży. Po prostu taki jest i będzie, ponieważ tak pracuje jego mózg, który – o czym już wiemy – ma defekt. (...)



Pewien zadłużony hazardzista upatrzył sobie na ofiarę niezbyt urodziwą kobietę, będącą u progu staropaniństwa. Dowiedział się, że ma ona pieniądze (zarobione przez jej matkę) i pół bliźniaka, do którego postanowił się wprowadzić. Wykalkulował, że wiążąc się z nią, zapewni sobie finansowe bezpieczeństwo. Omotął ją słowami: płomiennymi, poetyckimi, ale to wszystko było chłodną kalkulacją. Tyle że ona tego nie wiedziała. Marzyła o wielkiej miłości, tęskniła za nią, więc trafiło na podatny grunt. Nikt dotąd nie mówił jej, że jest piękna, jedyna, niepowtarzalna. Oto nagle w jej życiu pojawił się mężczyzna ze snów, królewicz z bajki, który ją docenił.

Zakochała się bezkrytycznie, bez opamiętania. Jedynie jej matka zorientowała się, jakie były prawdziwe intencje adoratora. Próbowła uchronić córkę przed życiowym rozczarowaniem. „Mamo, nie bądź taka podejrzliwa, on naprawdę mnie kocha!”, przekonywała omotana kobieta. „Jest dla mnie taki dobry, nieba by mi uchylił”.

Na nic zdały się matczyne ostrzeżenia. Kobieta poszła na zatracenie. Tak ją zmanipulował, że pozwalała mu na wszystko i nie dostrzegała, jaki był naprawdę: że ją zdradzał, okłamywał i wykorzystywał. Oddała mu wszystko – pieniądze, dom. Była dla niego nikim, nawet nie starał się ukrywać swojej pogardy dla niej. Matka nieszczęsnej kobiety szalała wręcz, aby te darowizny unieważnić. Sądy odrzucały jej wnioski, chociaż – tu starałem się jej pomóc – wykazaliśmy cały szereg przykładów na manipulację z jego strony. Związek z nim był dla kobiety, powtórzę, drogą do zatracenia.

Niestety, przepisy polskie nie chronią ludzi przed manipulantami.

– Doktorze, w jaki sposób psychopata manipuluje partnerem?

– Przede wszystkim izoluje go od rodziny i przyjaciół. Bliscy widzą, co się dzieje, i próbują interweniować. Psychopata robi wszystko, aby im to uniemożliwić. Pod maską troskliwości kryje się wyrachowanie i chłód emocjonalny. Pewna psychopatyczna kobieta potrafiła tak zmanipulować męża, że uznał swoich rodziców za największych wrogów, chociaż byli mu przychylni i przez lata go finansowali. (...) Mężczyzna oprzytomniał dopiero po jakimś czasie. Rodzice ze-

stawili kilka faktów, bardzo dla niego niekorzystnych, za którymi stała ona. W końcu udało im się z nim porozmawiać, otworzyli mu oczy. Biegał potem i krzyczał, że ją zabije, ale niewiele mógł zrobić. Owinęła go sobie wokół palca, pretensje mógł mieć wyłącznie do siebie.

– Manipulator działa w myśl zasady: „Wszystko, co twoje, będzie moje, ale to, co jest moje – nigdy nie będzie twoje”.

– Odczuł to na własnej skórze stateczny, majątny pan po sześćdziesiątce, właściciel okazałego domu i dobrze prosperującej firmy. Zapałał afektem do pani w średnim wieku, która nad wyraz szybko przekonała go, że jest dla niej tym „jedynym, najważniejszym, najprzystojniejszym”. Manipulanci mają to do siebie, że ich „miłość” jest płomienna i rodzi się błyskawicznie. Tak więc wzięli ślub i przez krótki czas byli nawet szczęśliwi. Pani namówiła pana, aby wszystko, co posiadał, przepisał na nią z taką klauzulą, że w przyszłości nie będzie miał wobec niej żadnych roszczeń. On to zrobił i po

Płomienny afekt dość szybko przeradza się w kontrolowanie i szpiegowanie.

kilku miesiącach znalazł się na ulicy. Co się stało? Żona wyrzuciła go z domu. Był zdruzgotany i zrujnowany. Chciał popełnić samobójstwo, znalazł się w szpitalu psychiatrycznym. Zniszczyła mu życie.

Co skrywa maska

Psychopatyczny kochanek jest dynamiczny, płomienny, sypie komplementami, przynosi kwiaty. Szydło z worka wychodzi dopiero wtedy, gdy ofiara jest już w sieci. Wykorzystuje ją, nie dając niczego w zamian. Czasami partnerka sama przejrzy na oczy, ale na ucieczkę jest już za późno. Bardzo rzadko zdarzają się szczęśliwe zakończenia.

– Pewna kobieta powiedziała mi kiedyś: „Panie doktorze, coś mnie tknęło w ostatniej chwili, bo chciałam mieć z nim dziecko. Dobrze, że się opamiętałam”.

– Trafiła na oszusta matrymonialnego?

– Gorzej, trafiła na psychopatę, który był jej mężem i żył na jej koszt. Trwonął pieniądze, na które ona ciężko pracowała. On nie skalał się pracą, bo po co, skoro wszystko miał. Urodził się przecież do wyższych celów, a mianowicie był myślicielem, więc wymyślił sobie: „Niech inni urabiają się po łokcie”. Zwykły pasożyt, osobowość narcystyczna. Jednak ona go kochała. Dlaczego? Jak każdy manipulant był wybitnym znawcą psychiki kobiet.

– Kiedy przejrzała na oczy?

– Pewnego razu wracała z zagranicy, z wyjazdu służbowego. Mąż miał po nią przyjechać samochodem na lotnisko w Berlinie. Była zmęczona, przepracowana, do tego źle się czuła. Stała z bagażami, a jego nie było. Pomyślała, że korki na drogach, że pogoda kiepska. Sięgnęła po telefon. Zadzwoiła. „Gdzie jesteś?”, spytała. „W domu”. „Jak to?” „Właśnie rozpalam w kominku”. Oniemiała. „Przecież miałeś przyjechać”. „No wiesz, ślisko na drogach”, tłumaczył obojętnie. „Jak mogłeś?! – krzyknęła. – Padam z nóg, a ty masz to gdzieś! Zawiodłam się na tobie”. „Moja droga, nie dramatyzuj, przecież nic się takiego nie stało”, skwitował. Wtedy zrozumiała, że w ogóle nic dla niego nie znaczy. Gdyby był zaangażowany uczuciowo, o czym ją przy każdej okazji żarliwie przekonywał, zaczęłby przeproszać, a tu zero emocji. Morał jest taki, że proza życia zawsze zdemaskuje psychopatę. Niestety, dla partnera najczęściej bywa już za późno: albo są dzieci, albo wspólny kredyt i różne inne zobowiązania.

Tak właśnie „kocha” psychopata. Jego miłość jest przedstawieniem. Tacy ludzie mają dużą łatwość w odgrywaniu roli. Udawanie kogoś innego, niż się jest, to spory wysiłek, ale oni się nie męczą. Kłamią jak z nut. W tym względzie nie mają żadnych zahamowań. Manipulacja, kręactwo oszustwo to ich żywioł. Oni się z tym rodzą, więc jak mogliby się męczyć, skoro działają zgodnie z własną naturą. Są to zdolności wrodzone, a nie wyuczone. Uważam, że należałoby objąć kobiety odpowiednim szkoleniem, jak nie ulegać psychopatom, jak ich rozpoznać w tłumie adoratorów.

Niektóre osoby mają wyjątkowy „talent” przyciągania takich ludzi. Pamiętam, jak któregoś razu pięć koleżanek wzięło sprawę w swoje ręce ▶

► i przywiozło do mnie fatalnie zacho-
chaną przyjaciółkę. „Niech pan coś
z nią zrobi, doktorze, bo kogokolwiek
by spotkała, to zawsze jest psycho-
pata”, oznajmiły.

– Gdzie popełniała błąd?

– To nie jest kwestia błędu czy
„przyciągania”, lecz oceny zacho-
wania ofiary przez łowcę. Oceny, na
ile może sobie pozwolić i co zyskać.
Najważniejsze, czy będzie uległa i bę-
dzie robiła, co on chce. Jeżeli od po-
czątku kobieta jest asertywna, prze-
bojowa, to na ofiarę zdecydowanie
się nie nadaje. Psychopaci wybierają
osoby uległe, bo takie łatwo omotać.

W Polsce przepisy dotyczące
manipulacji powoli się zmieniają,
choć wciąż nam daleko do USA.
W tamtejszym prawie jest wyraźnie
zapisane: *undue influence*, czyli „nie-
dozwolone wpływy”. Manipulacja to
właśnie niedozwolone wpływy. Wy-
roki zapadające w takich sprawach
są surowe, zawsze na korzyść ofiary
przestępstwa.

Na taki wyrok, tyle że w Polsce,
liczy Oskar Prądziński z Juraty. Jego
historia dowodzi, że podstępnej ma-
nipulacji może się dopuścić nawet
(teoretycznie) bliska nam osoba.

Bo to zła kobieta była

Znali się praktycznie od dziec-
ka, spotkali po latach, gdy oboje

dobiegali czterdziestki. Ona: metr
sześćdziesiąt wzrostu, miła twarz,
jasne włosy. Ma na imię Karolina,
od lat mieszka w USA. On: o gło-
wę od niej wyższy, łagodny rysy
i hurtowe ilości uroku osobistego.
Do niedawna dysponował sporym
majątkiem: salon Kawasaki w Gdyni
– sprzedaż i serwis motocykli,
Centrum Sportów Wodnych i gas-
tronomia w Rewie. – Zналиśmy się
od podstawówki, od lat 80. – za-
czytna opowieść Oskar Prądziński.

Psychopata stara się odciąć partnera od znajomych i przejąć kontrolę nad jego życiem.

– Jej mama uczyła mnie chemii.
W ósmej klasie Karolina była mo-
ją szkolną miłością, ale w liceum ją
olałem. Musiałem się wyszumieć,
zintegrować z kolegami, taki wiek.
Po latach ktoś mi powiedział, że wy-
jechała po studiach do Stanów. Nie
wiedziałem nic więcej, nawet tego,
czy ułożyła sobie tam życie.

Wiosną 2014 r. odezwała się do
mnie na Facebooku: co u mnie sły-
chać, czy mam dzieci itp. Odpowie-
działem, że jeszcze nie założyłem
rodziny, ale zaczynam o tym myśleć,
na co ona, że właśnie jest po rozwo-
dzie, ma dwoje dzieci i latem przyje-
dzie do Polski.

Pojechałem po nią na lotnisko.
Niewiele się zmieniła przez te wszyst-
kie lata. Jej dzieci były przyjaźnie
do mnie nastawione. Zamieszka-
ły u dziadków, a ona u mnie. Mia-
łem gest, czułem się jej partnerem,
„wszystko, co moje, jest twoje”, tak
zostałem wychowany. Opowiadała,
że pracuje w firmie koleżanki, jest
opiekunką starszej pani z Manster
w Indianie i zarabia 5 tys. dol. mie-
sięcznie. Wydawała się osobą nieza-
leżną finansowo. (...)

O tym, że wciąż była mężatką,
dowiedziałem się wiele miesięcy
później, a szkoda, bo nigdy nie zwią-
załbym się z kobietą, która ma part-
nera. Nieprawdą okazało się też i to,
że jej mąż był sadystą. (...) Nie po-
wiedziała mi również o tym, że 11 lat
wcześniej, już podczas pobytu w Sta-
nach, była karana za kradzież. (...)

Spędziliśmy lato, byłem zako-
chany i gotów pracować całe ży-
cie dla niej i dzieci. Pokochałem
je całym sercem – sześciolatniego
chłopca i dziesięcioletnią dziew-
czynkę. Zabierałem je na kempingi,
wycieczki, a one zwracały się do
moich rodziców „babciu, dziadku”.
Byliśmy rodziną.

Karolina postanowiła, że ślub weź-
miemy za rok, w Polsce. Wróciła do
siebie, a ja rozpocząłem procedury
likwidacji majątku w Polsce: sprze-
dałem mieszkanie, skutery wodne,
motocykle, samochód, zamykałem
firmy. (...)

Przyjechała na sylwestra. Nowy
rok przywitaliśmy w Zakopanem.
Na wspólne wakacje wybraliśmy
się do Kanady, a w grudniu 2015 r.
wzięliśmy ślub. Bardzo chciałem być
z nią, jednak nie mogłem jeszcze
wyjechać z kraju, nie zakończyłem
paru ważnych spraw. Ona chciała
kupić dom i już wertowała oferty.
Odwiedziła ją w Stanach moja ma-
ma. „Lepiej trafić nie mogłeś – po-
wiedziała po powrocie. – To wspa-
niała dziewczyna, pracowita. Jesteś
szczęściarzem”.

Po ślubie Karolina miała złożyć
papiery o moją emigrację, w ramach
łączenia rodzin, ale zdecydowała się
scedować procedury na prawnika.
„Drogi jest” narzekała, a ja co chwila
przelewałem grube tysiące na jego
honorarium. W rzeczywistości zapła-
ciła 500 dol., taki jest koszt urzędo-
wego wniosku. „Adwokat mówił, że
musimy mieć spore oszczędności,



Wyślij SMS o treści CYPIS
pod numer 7412 i pobierz tapetę
(koszt 4,92 zł z VAT)

Małego Cypisa znaleźliśmy tam, gdzie trafiają niechcia-
ne, zaniedbane, chore konie. U handlarza zawsze
znajdzie się dla takiego miejsce. Nieważny tu wiek,
zdrowie, charakter, ważne, że da się zrobić, odwożąc
zbędne zwierzę do uboju. Gdy z hukiem opada trap
i jak po sznurku wchodzi na rzeźniczy samochód
kolejne konie, nikt już o nich nie pamięta. Nie liczą się
dawne zasługi, ani to, że jeszcze chwilę temu były
nazywane przyjaciółmi. Dla swoich byłych właścicieli
są kłopotem, którego należało się pozbyć, a dla
handlarza – jeszcze żywym mięsem. Niczym więcej.
I tylko rozpaczliwe rżenie i uderzenia kopyt o blaszany
trap są ostatnim głosem niechcianych koni.

Cypis, młody jeszcze koń, a obraz nędzy i rozpacz.
Powyginalane nogi, zdeformowane kopyta, chrapy
ściśnięte bólem. Sukces człowieka.

Gdy podchodzimy, Cypisek nie odwraca w naszą stronę
głowy. Stara wcale się nie ruszać, bo każdy krok
okupiony jest cierpieniem. Wraz z rosnącymi, sprawiają-
cymi ból kopytami, uszła z niego radość życia, zniknął
dawny błysk w oku. Dziś została tylko niema prośba, by
umieranie nie bolało. Ale tu, gdzie trafił Cypisek, próśb
konie nikt nie słucha. Nie mają one prawa głosu. Dla
niechcianych i zbędnych Cypisków w ofercie jest już tylko
śmierć poprzedzona absolutnym, niczym niezamierzonym
bólem.

Cypis jest koniem, któremu piekło zgotował człowiek,
a teraz odebrał mu prawo do życia. A przecież ochwat, na
jaki cierpi, da się wyleczyć i Cypisek może być jeszcze
zdrowym, pełnym energii koniem z bliskim w oku.
Handlarz chce za Cypiska 1750 zł i zgadza się poczekać
na spłatę do 25 sierpnia. Potrzebne są też środki na
transport do naszego ośrodka.

Cypis będzie żył, jeśli ty mu pomożesz. Dziś dla Cypisa
ważna jest każda, również ta najmniejsza wpłata – bo
ratuje mu życie.

Jeśli możesz dołączyć do akcji niesienia pomocy,
dokonaj darowizny z tytułem CYPIS na konto PKO BP
15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488, www.centaurus.org.pl
Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj
Mądrze Regulamin: <http://centaurus.org.pl/r/km>

aby urząd imigracyjny nie obawiał się, że będziemy tutaj dziadować. Musimy być dobrze sytuowanym małżeństwem”, tłumaczyła, a ja dalej stałem pieniądze.

– Dlaczego w USA nie zmieniałaś nazwiska? – pytałem. – Przecież procedury związane z moim przyjazdem toczyłyby się o wiele szybciej.

– Kochanie, to drogo kosztuje, po co mamy generować wydatki – odpowiadała.

– Kolega namawia mnie, abym za inwestował w restaurację w Juracie, jest okazja – napomknąłem.

– Nie inwestuj w Polsce, znalazłam dla nas piękny dom w Manster, potrzebujemy tych pieniędzy – nalegała.

– Ile?

– 220 tys. dol. i dom jest nasz. Zobaczysz, będziemy tam szczęśliwi – zapewniała.

Komu miałem ufać, jak nie żonie? Wysłałem jej pół miliona, przeliczając na złotówki. Kiedy kupiła upragniony dom, przestała odbierać moje telefony, nie odpisywała na mejle, zablokowała mnie na Facebooku.

– Koniec między nami – oznajmiła w ostatniej rozmowie.

– Jak to? – myślałem, że sobie ze mnie żartuje.

– Żadnych pieniędzy nie dostaniesz i nic mi nie możesz zrobić. Nigdy nie przyjadę do Polski, a ty nie przyjedziesz do USA. Zostaw mnie w spokoju, najlepiej w ogóle zapomnij.

Nie wiem, co ona ze mną zrobiła, ale nawet wtedy miałem klapki na oczach. Pomyślałem, że „ma dość”, że zaraz jej przejdzie, że to nie dzieje się naprawdę. (...)

Prawda dotarła do mnie po jakimś czasie. Znokautowała gorzej niż walka z mistrzem świata w boksie, na ringu. Totalne załamanie, szpital, leki – rozsypany człowiek.

Lekarz w Kościerzynie skierował mnie na oddział psychiatryczny.

– Nie chcę – oznajmiłem.

– Będzie pan na sali z osobą w depresji, a nie psychicznie chorą – uspokajał lekarz. – To właściciel gospodarstwa rolnego na Kaszubach, życie dało mu popalić.

Posłuchałem lekarza. Szpital, w którym spędziłem kilka tygodni, postawił mnie na nogi, nauczył szacunku do ludzi, których los wyrzucił poza nawias. Ja też mogłem

się tam znaleźć, gdyby nie pomoc rodziców i kilku przyjaciół. W końcu otrząsnąłem się z letargu i napisałem list do Karoliny, wysłałem za potwierdzeniem. „Co się stało? Wytłumacz dlaczego. Nie potrafię tak żyć bez odpowiedzi”, prosiłem. Po dwóch tygodniach – zwrotka, nawet go nie otworzyła. Do USA polecieci moi rodzice. Przez telefon nie chcieli powiedzieć, jak się sprawy mają. „Porozmawiamy w domu”, zbywali mnie. Bali się, że jak mi powiedzą, to się powieszę.

– Przyjechałem, żeby zaoszczędzić ci problemów, bo to, co zrobiłaś, jest przestępstwem – powiedział Karoliny mój ojciec.

Rozmawiali przez próg, nie wpuściła rodziców do domu.

– Wynoście się stąd, bo wezwę policję i powiem, że mi grozicie – oznajmiła.

Kluczową sprawą w relacjach intymnych jest dla psychopaty poczucie władzy nad partnerem.

– Nie chcesz z nami rozmawiać, to porozmawiasz z prokuratorem – odpowiedział tata, ale ona już tego nie słuchała, tylko zatrasnęła im drzwi przed nosem.

Snułem się po świecie jak zjawą. Dopiero matka Karoliny pomogła mi zrozumieć, że jestem zwykłym frajerem. Pojechałem do niej do szkoły, gdzie wciąż uczy chemii.

– Nie mam kontaktu z pani córką, proszę jej przekazać, że... – zaczęłam, ale mi przerwała.

– Nic nie będę jej przekazywać. Sami sobie wyjaśnijcie wasze nieporozumienia.

– Jeżeli to tylko nieporozumienie, to proszę, aby tu przyjechała i powiedziała mi, dlaczego to robi. I co z pieniędzmi.

– Jak to „co z pieniędzmi”? – parsknęła. – Te pieniądze powinieneś zostawić dzieciom. Za dobre chwile w życiu się płaci!

(...) Okazało się, że moja żona uzyskała w USA rozwód bez mojego udziału w rozprawie. Powiedziała, że porzuciłem rodzinę i od dawna nie daję znaku życia, że zapadłem się pod ziemię. Sąd nie sprawdził nawet tego, czy kiedykolwiek byłem w Stanach. Otóż nie byłem. Orzeczono

rozwód z mojej winy i przyznano jej dom, za który zapłaciłem, a w którym już uwił sobie gniazdko umiśniony Meksykanin. Pewnie zasponsoruje jej remont, a o mnie myśli tak, jak ja myślałem kiedyś o jej bytym.

Dzisiaj jestem „facetem z doświadczeniem”. Widzę rzeczy, których wcześniej nie dostrzegałem. Całe jej postępowanie było od początku chłodną kalkulacją. (...) Oszukała mnie perfekcyjnie, a ja byłem naiwny, bo naprawdę ją kochałem.

Oskar Prądzinski złożył w prokuraturze zawiadomienie o przestępstwie. Początkowo odmówiono mu wszczęcia postępowania, ale zaskarżył decyzję prokuratora, i słusznie.

Od 2018 r. toczy się śledztwo.

– Prokuratura Rejonowa w Gdyni prowadzi postępowanie w kierunku przywłaszczenia mienia znacznej wartości i bigamii – poinformowała autorkę prokurator Grażyna Wawryniuk, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Gdańsku.

Oszustka, w drodze pomocy prawnej, zostanie przesłuchana w USA i niewykluczone, że sprawa karna w Polsce przekreśli jej marzenia o amerykańskim obywatelstwie. U nas takie śledztwa wciąż należą do rzadkości. W USA jest ich wiele.

– Tam manipulacja jest surowo ścigana prawem – podkreśla psychiatra. – W Stanach Zjednoczonych żyje wiele bogatych, samotnych kobiet, które są celem dla łowców majątków. Amerykanie nazywają to zjawisko oszukańczą miłością. Z naciskiem na „oszukańczą”, bo przecież to nie miłość, ale oszustwo. Psychopaci manipulację opanowali do perfekcji. Z pozoru są troskliwi, opowiadają „szczerze” o swoich rzekomo bolesnych doświadczeniach z przeszłości, aby partner odpowiedział tym samym. W ten sposób poznają jego sekrety, kompleksy, aby w niespodziewanym momencie okrutnie tę wiedzę wykorzystać. (...)

Fragmenty książki
Ewy Ornackiej
Zrozumieć zbrodnię,
Rebis, Poznań 2019





Plemiona

z doliny **Omo**





Zapora Gibe III na rzece Omo w Etiopii ma zapewnić tysiące megawatów i postęp w kraju. Zaburzy jednak dotychczasowy rytm rzeki – zakończy jej okresowe wylewanie, które użyźnia grunty, i zniszczy lasy. Ekolodzy ostrzegają, że może to się skończyć katastrofą dla rdzennych mieszkańców doliny Omo, zmuszonych do jej opuszczenia i porzucenia tradycyjnego życia.

1. Kobieta z plemienia Bena zjada miód zebrany z drzewa w południowym regionie Omo. Bena utrzymują się z hodowli pszczoł.
2. Chłopcy z plemienia Mursi.
3. Kobieta z plemienia Suri.
4. Mężczyzna z plemienia Hamar skacze przez byka – ceremonia rozpoczyna okres dorosłości, co umożliwia zawarcie małżeństwa.
5. Dla mężczyzn Suri walka na kije *donga* jest sposobem na zaimponowanie kobietom i znalezienie żony.
6. Część kobiet Mursi decyduje się na noszenie talerzyka wargowego. Mursi to jedno z niewielu plemion, które kontynuują tę tradycję.



✉ Jak praktyki, to najlepiej w Walencji

Jesteśmy uczennicami Zespołu Szkół im. Piotra Wysockiego w Warszawie. Dzięki naszej szkole od 26 maja do 22 czerwca 2019 r. miałyśmy niecodzienną okazję odbywać praktykę w Hiszpanii w ramach finansowanego przez Unię Europejską projektu „Praktyki w Hiszpanii – pierwszy krok do europejskiej kariery zawodowej”. Przed wyjazdem cała nasza ośmioosobowa grupa miała dodatkowe zajęcia z języka angielskiego i hiszpańskiego. Każdy pracował na wysokich obrotach, aby dobrze się przygotować do praktyki w innym kraju, z obcą kulturą i językiem.

W niedzielę 26 maja wylądowaliśmy w Walencji. Zostaliśmy podzieleni na dwuosobowe grupki. Każda dwójka mieszkała u hiszpańskiej rodziny, dzięki czemu nie tylko przełamaliśmy opór przed mówieniem w obcych językach, ale też poznaliśmy bliżej tamtejszą kulturę, potrawy, tradycje i obyczaje.

Poniedziałek rozpoczął się od zajęć z języka hiszpańskiego. Po nich z opiekunem i koordynatorkami zajęć poszliśmy do firm, w których mieliśmy odbywać praktyki. Ze względu na różne profile kształcenia realizo-



waliśmy staże w różnych miejscach, odpowiadających kierunkowi nauki.

Ja z koleżanką, jako że uczymy się na kierunku ekonomia, trafiłyśmy do firmy YourPlace, mieszczącej się w samym centrum Walencji, a zajmującej się wynajmem apartamentów. Najpierw pracowałyśmy w biurze, meldując gości oraz wystawiając faktury w języku hiszpańskim. Później skierowano nas do sklepu BikeMe, gdzie sporządzałyśmy umowy wypożyczenia rowerów i hulajnóg elektrycznych. Dzięki temu podszkoliłyśmy angielski i hiszpański, nauczyłyśmy się wielu nowych zwrotów, a także radzenia sobie z trudnymi klientami. Na początku w obsłudze pomagali nam pracownicy i szefostwo. Ale później zostawałyśmy w sklepie same, zawierając kontrakty,

obsługując kasę oraz instruując klientów, jak działa sprzęt. Cały okres praktyk minął bez większych problemów. Dzięki pomocnym i komunikatywnym współpracownikom szybko udało nam się poznać zasady pracy w BikeMe.

Oprócz pracy i nauki języka hiszpańskiego mieliśmy również kurs tańca flamenco oraz przygotowania tradycyjnej walencjskiej paelli. W weekendy zwiedzaliśmy Hiszpanię. Odwiedziliśmy wiele muzeów, słynne oceanarium (na zdjęciu) oraz Ogrody Turii, utworzone na 110 ha dawnego koryta rzeki. Chodziliśmy nad morze, spotykaliśmy się w parku, byliśmy również w kinie plenerowym i na spektaklu tanecznym.

Praktyki zakończyliśmy 21 czerwca. Następnego dnia wróciliśmy do Polski. Szybko zatęskniliśmy za chwilami spędzonymi z gościnnymi hiszpańskimi rodzinami i współpracownikami oraz widokami tego fascynującego miasta. Wszyscy jesteśmy bardzo zadowoleni, że dzięki szkole oraz projektowi Unii Europejskiej dostaliśmy możliwość takiego wyjazdu. Zdobyta wiedza i umiejętności ułatwią nam start zawodowy zarówno w kraju, jak i za granicą. Gorąco polecamy innym szkołom wzięcie udziału w tym projekcie.

Izabela Poruszek, Julia Lubańska

f CO ZROBIĆ, BY URATOWAĆ BAŁTYK?



Na początek zamknąć wszystkie plaże, aby turyści nie zostawiali ton śmieci. A mówiąc poważnie, wydobyć z dna pozostałości po II wojnie światowej. Wprowadzić zakaz połowów ryb do czasu odnowienia wszystkich gatunków, zwłaszcza dorsza. Oraz kontrolować, czy ktoś nie

wpuszcza do morza zanieczyszczeń, i każdy taki przypadek karać z całą bezwzględnością. *Paweł Maćkowski*

Zacząć od posłuchania fachowców niezależnych od polityki, opracować rozsądny plan i systematycznie go wdrażać. To już jednak pozostaje chyba w sferze fikcji – wprowadzanie w życie rozsądnych i długofalowych projektów nie jest polską specjalnością. *Mirek Nap*

Obawiam się, że niewiele da się zrobić. Zbyt wiele czynników stoi na przeszkodzie – zanieczyszczone rzeki wpadające do Bałtyku, zatopione pamiętki po wojnie, a także – jeśli mówimy o przełowieniu – ludzka pazerność. Można tylko próbować mniej szkodzić. *Artur Lewczuk*

A co zrobić, aby uchronić całą przyrodę polską przed systematyczną dewastacją? Problemy techniczno-organizacyjne są do rozwiązania – wystarczy zapytać specjali-

stów. Konieczna jest jednak dobra wola rządzących. Apele tu nic nie pomogą i trzeba zmienić władzę na taką, która będzie te problemy rozumiała i chciała im przeciwdziałać. W Polsce to raczej niemożliwe, a czy możliwe jest w większości państw nadbałtyckich, tego nie wiem.

Andrzej B. Izdebski

Zalać betonem i zrobić centralny port lotniczo-kolejowo-samochodowo-rowerowo-kosmiczny – pionierski w świecie! *Artur Pie*

NIEWIDZIALNA RĘKA JACKA KURONIA

Ze wzruszeniem przeczytałem tekst o telewizyjnym cyklu Macieja Zimińskiego „Niewidzialna ręka to właśnie wy” (PRZEGLĄD nr 29). Za prekursora ruchu Niewidzialnej ręki można jednak uznać Jacka Kuronia. Z jego inspiracji w 1956 r., na obozie harcerskim na wyspie Wolin, pomagaliśmy starszym i samotnym mieszkańcom właśnie pod hasłem niewidzialnej ręki. Tyle że trudno nam było być niewidzialnymi, ponieważ nasi podopieczni oprócz pomocy w drobnych pracach potrzebowali kontaktów, podzielenia się z nami swoimi dramatycznymi historiami.

Marian Dobrzyński



Ambasada widmo

Minęło już 20 lat budowania przez Polskę nowej ambasady w Berlinie, przy reprezentacyjnej alei Unter den Linden. Proces inwestycyjny polega na tym, że każdy kolejny minister spraw zagranicznych zapowiada, że budowa łada moment ruszy, choć do tej pory nie wbito nawet szpadla.

Nie inaczej postępował Radosław Sikorski – szef MSZ w latach 2007-2014. Co roku słyszeliśmy, że już w najbliższych miesiącach sprawa nabierze tempa. I nic się nie działo. Gdy z tego powodu zaczęli się nabijać z niego dziennikarze, wpadł na genialny pomysł – zwołał konferencję prasową, podczas której ogłosił, że każdy może zobaczyć nową ambasadę w Berlinie. Po czym zaprezentował dziennikarzom jej... makietę. Tak oto nadeszły czasy, że makietę zastąpiła realny budynek.

W końcu u schyłku swoich rządów Platforma ogłosiła przetarg na budowę ambasady.

Co z tego! Kiedy PiS doszło do władzy, przetarg nieważniło. Dowiedzieliśmy się, że zaprojektowany budynek jest zbyt duży na potrzeby ambasady (co było prawdą) i że jego budowa byłaby zbyt droga (też racja). „Stracono czas i pieniądze, a stracono je na projekt, który jest zbędny”, lamentował Witold Waszczykowski. PiS postanowiło załatwić sprawę po swojemu, a minister Waszczykowski obiecywał, że budynek ambasady stanie szybko. Do roku 2019.

Mamy właśnie drugą połowę roku 2019. I cóż się dzieje? Stoją te mury?

Nie!

Bo PiS doszło do wniosku, że zbuduje ambasadę w ramach partnerstwa publiczno-prywatnego. To nie był pomysł z kosmosu, coś takiego rozważano na początku perypetii związanych z tą inwestycją, gdy szefem MSZ był Dariusz Rosati. Planowano, że na działce ambasady firma związana z Deutsche Bank wybuduje dwa budyn-

ki – w jednym będzie polska placówka dyplomatyczna, a drugi przez 30 lat niemiecka firma będzie mogła wynajmować, komu chce. Po tym czasie budynek wróci do Polski. Ale te plany zostały storpedowane, więc od nich odstąpiono. Wykorzystali to Węgrzy – w roku 2000 na ich działce stanęły dwa budynki, ten dodatkowy został wynajęty przedstawicielstwu Unii Europejskiej. I za 10 lat to Węgrzy będą kasować od Unii czynsz. Albo wynajmą budynek komuś innemu.

PiS wróciło więc do dawnych planów, ale niesukrotnie. Jeszcze w styczniu 2017 r. przedstawiciele MSZ obiecywali, że w ciągu sześciu-siedmiu miesięcy znajdą partnera, który ambasadę wybuduje. Ale nie znaleźli ani w Europie, ani w USA. Postanowiono więc, że Polska wybuduje budynek za swoje. I w kwietniu 2018 r. po raz kolejny uzyskaliśmy pozwolenie na budowę. Przy czym nowy budynek praktycznie nie będzie się różnił od tego, który prezentował Sikorski. To będzie lekko zmodyfikowany projekt sprzed czterech lat.

I właśnie teraz, jak obiecywał przedstawiciel MSZ, ma się odbyć „pierwszy etap przetargu na wyłonienie generalnego wykonawcy”. I jeśli wszystko pójdzie sprawnie (ha, ha!), bez odwołań itd., pod koniec tego roku albo w pierwszym kwartale przyszłego budowa wreszcie ma ruszyć.

Ktoś wierzy, że pójdzie sprawnie? Że przetarg nie zostanie unieważniony? Albo nie stanie się coś innego?

Oto więc przekleństwo, które działa niezależnie od tego, jaka ekipa jest przy władzy. 20 lat mija, a przy Unter den Linden, w sąsiedztwie Bramy Brandenburskiej, straszna dziura. Bo nikt nie potrafi wybudować ambasady. Ani PO, ani tym bardziej PiS.

Nasze gratulacje.

Attaché

Si vis pacem, para bellum. Deklaracje o pokoju – owszem, ale na wszelki wypadek Kim Dzong Un nadzorował 31 lipca wyrzucenie rakiety balistycznej w nieznanym miejscu w Korei Północnej.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpadających wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- potocznie zwany przejściówką
- król Argos, ocalał z wyprawy siedmiu przeciw Tebom
- dawniej boczny pokój służący za sypialnię
- intymne tajemnice chowa
- kurtka na wzór eskimoskiego skafandra

- przyjemny zapach
- mebel pod komputer
- Atena, Anat lub Lakszmi
- połączona z Pesztem
- zachwyca kunsztem wykonania
- doprowadziła do zguby Samsona
- nie dogada się z altruistą
- oficer kozacki w carskiej Rosji

- dekoracja statku na uroczystość
- ozdobna pierwsza litera rozdziału
- Japp z kryminałów Agathy Christie
- gąbczasta lub pozaziemska
- nie tknie dewolaja ani mielonego
- metoda kopiowania tekstów i rysunków
- opływowy zmniejsza opór powietrza
- Czarny... to Afryka
- ...Afrykański, arabski podróżnik, imiennik papieża
- małutki Simba
- przywidzenie, widziadło
- falowy albo dywanowy

- Lis, Zając lub Wróbel
- firmament
- okres próby w zakonie
- pasza dla karosza
- przemawia ze swadą
- wyłudował w tytule powieści Jacka Higginsa
- trzecie po Tokio i Jokohamie miasto Japonii
- nastroszony czy kędzierzawy, i tak kłuje
- przeciwsłoneczna – tuleja na obiektyw
- w gestii MEN
- paniusia świętoszka
- zmienia pościel w apartamencie hotelowym
- ma lotki i sterówki
- gwiazdny w filmie fantasy i u Kondratiuka
- i Bolesta, i Milczek
- ministerstwo, dziedzina
- wąskie, podłużne wgłębienie
- zwierzę żyjące daleko od stada, odludek

- pomieszczenie z ubikacją, umywalnią
- koźlonogi z orszaku Dionizosa
- ścinek, obrzynek
- ani chybi nie chybi
- ...kłęski żywiołowej
- imię prezydenta Warszawy z lat 1934-1939
- Seneka Młodszy lub Marek Aureliusz
- teatralny podpowiadacz
- w niej kangurzątko
- rządy despoty
- najbardziej znany ten z Komodo
- odpowiedzialność za zły czyn
- może utknąć między piętrami
- ostatnia to testament
- ginie pod golarką
- stan obcy kłótnikowi
- mózół, ciężka praca
- ...do zachowania tajemnicy służbowej

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-920”. Do rozlosowania CD „One week in Rio” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO.KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 11 sierpnia 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-917” z 21 lipca: *Fale to woda z grzywą.*
Nagrody otrzymują: Joanna Jankowska-Sandberg z Koszalina, Mieczysław Małecki z Warszawy, Tadeusz Ścisłowicz z Wrocławia.

PENETRACJE

PRZEGLĄD
PRAWOSŁAWNY

EUGENIUSZ CZYKWIN,
REDAKTOR NACZELNY

W tworzenie „niezależnej Cerkwi” zaangażowani byli nie tylko prezydent Poroszenko i Wierchowna Rada Ukrainy, która w błyskawicznym tempie uchwalala ustawy umożliwiające legalizację przejmowanych przez Prawosławną Cerkiew Ukrainy, często przy użyciu siły, świątyń kanonicznej Cerkwi. Satysfakcji z jej powstania nie kryli wysokiej rangi politycy USA, a także polscy publicyści. Nie dostrzegali i nie dostrzegają aktów przemocy wobec wiernych, pragnących pozostać w swojej kanonicznej Cerkwi. Także w prawosławnym środowisku w Polsce znalazły się osoby żądające od naszego metropolity uznania PCU i jej zwierzchnika „metropolity” Epifania. Wystarczyło jednak, by Poroszenko przegrał wybory, i okazało się, że cały „o historycznym znaczeniu” projekt budowany był na intrygach i kłamstwie.

zwierciadło

**WOJCIECH
EICHELBERGER,**
PSYCHOLOG

Niestety, solidaryzm jako idea ustrojowa został bez pytania Polaków o zgodę wyparty przez neoliberalizm, będący w kontrze do solidarności. Indywidualna chciwość, rywalizacja, przebojowość i pogarda dla słabszych miały doprowadzić nas wszystkich do dobrobytu. Na szczęście coraz mniej ludzi daje się na to nabrać. Pewną nadzieję budzi fakt, że do

głosu dochodzi pokolenie, które próbuje odkopać wartości solidaryzmu. Mam na myśli milenialsów, którzy nie kupują samochodów nie tylko dlatego, że nie można poruszać się nimi po mieście, ale także dlatego, że zatruwają one środowisko. Nie kupują mieszkań, bo po co brać kredyt wiążący na całe życie z jednym miejscem i bankiem? Widać, że ten szalony, nastawiony na indywidualne bogacenie się i posiadanie system wartości zanika w tym pokoleniu.

gazeta
OLSZTYŃSKA

EMIL KAREWICZ,
AKTOR

W filmie Forda Jagiełło musiał być monumentalny i tak grałem. Króla Jagiełłę posadzono na pięknym koniu maści kawa z mlekiem, który był jednak dość narowisty. Kiedy Jagiełło od Krzyżaków przyjmował dwa nagie miecze, koń już czuł coś niezwykle i niespokojnie strzygł uszami. Jak uderzyłem owymi mieczami na krzyż, stał błysnęła w słońcu, rozległ się dźwięk metalu, koń stanął dęba, a ja mało co nie poleciałem na ziemię. I tak było podczas kolejnych dubli. W końcu pomógł pewien pomysł. W jednej z pobliskich szkół wypożyczono kozła do ćwiczeń gimnastycznych. I król, siedząc na nim, mógł spokojnie wykonać swoje historyczne zadanie, wypowiedzieć słynną sentencję „Mieczów ci u nas dostatek...” itd. Kamera to ujmowała od dołu, kadr był więc bez widoku konia.

Aby język giętki...

JAN KLATA O NOWYCH ELITACH

Nocne głosowanie nie sprawi, że Piotr Zaremba stanie się Pawłem Demirskim, Wildstein – Olgą Tokarczuk, a Pietrzak – Bobem Dylanem.

PROF. JACEK RACIBORSKI O ZACHOWANIU KLASY ŚREDNIEJ

W wyborach europejskich widzimy spory wpływ tej klasy od PiS.

KRZYSZTOF MIESZKOWSKI O PIOTRZE GLIŃSKIM

Okazał się ignorantem, przeraził mnie jego sposób myślenia o kulturze.

TOMASZ RACZEK O PRACY W „PLAYBOYU”

Najpierw pomyślałem, że to absurd, żeby gej redagował pismo z sesjami nagich kobiet dla heteroseksualnych mężczyzn.

DOROTA WELLMAN O CUDACH

Jednym z nich jest to, że ktoś wymyślił in vitro.

REMIGIUSZ MRÓZ O RYTUAŁACH

Zawsze o tej samej porze chodzę spać, wstaję, piszę czy biegam. Zaburzenie tego rytmu sprawia, że czuję się niekomfortowo.

OLGA TOKARCZUK O „KSIĘGACH JAKUBOWYCH”

Polska narodowa, oparta na jednej nacji, monokulturowa, jest po prostu wyssanym z palca mitem.

MAREK BOROWSKI O WŁASNYM ŚLUBIE

Był w 1970 r., 17 stycznia o godz. 17.17.

BEATA ŚCIBAKÓWNA O SOBIE

Z gotowaniem u mnie słabo. Cóрка mówi, że nie mam genu gotowania, i to prawda.

MARIANNA FALK O MĘŻU FELIKSIE

Felek, autor przekorny, twierdził, że jeśli mnie się scenariusz nie podoba, to znaczy, że film będzie dobry.

LIDIA NIEDŹWIEDZKA-OWSIĄK O PODZIALE OBOWIĄZKÓW

Jurek lubi sprzątać i prasować, bierze to na siebie. Świetnie go to odpręża. Ja zajmuję się zakupami i gotowaniem.



Ostatni szlif – królowa Malezji Tunku Hajah Aminah Maimunah Iskandariah binti al-Marhum al-Mutawakkil Alallah Sultan Iskandar al-Haj sprawdza strój króla Abdullaha Ri'ayatuddina al-Mustafy Billah Shah Ibni Almarhum Sultan Ahmad Shah al-Musta'in Billah podczas koronacji w Pałacu Narodowym w Kuala Lumpur.

W imię klubu

Szwed David Lind zamierza wytoczyć proces urzędowi skarbowemu w mieście Kumla, bo ten odrzucił jego wniosek o zmianę imienia na nazwę ukochanego angielskiego klubu piłkarskiego (w Szwecji urząd skarbowy prowadzi ewidencję ludności). W uzasadnieniu podano m.in., że słowo Tottenham nie ma nic wspólnego ze szwedzką kulturą i językiem, ale zdaniem 39-latką powody odmowy są inne. – Sądzę, że urzędnicy po prostu kibicują odwiecznemu rywalowi mojego klubu – skomentował mężczyzna, nawiązując do faktu, że w poprzednich latach kilku jego rodaków uzyskało pozwolenie na używanie imienia Arsenal. Lind pochwalił się przy okazji, że jego córka i zięć, zakochani we włoskim futbolu, właśnie dali synkowi na imię Milan. Jeśli urodzi im się dziewczynka, sugerujemy Lechię lub Jagiellonię.

Od powietrza, głodu, ognia i UFO

Agencja Świętego Wawrzyńca w Altamonte Springs na Florydzie wprowadziła do oferty częściowe lub kompleksowe ubezpieczenie od porwania przez przybyszów z innej planety. Polisa kosztuje 24,95 dol. (wersja elektroniczna – 19,95 dol.), obowiązuje dożywotnio i zapewnia wypłacenie 10 mln, nomen omen, zielonych, jeśli wbrew własnej woli jej posiadacz trafi na latający spodek. W skład pakietu wchodzi także opieka psychiatryczna, ochrona przed niedowiadkami i podwójna ochrona tożsamości. Właściciel firmy, która sprzedaje także ubezpieczenia reinkarnacyjne i od następstw uderzenia asteroidy, twierdzi, że z nowej propozycji skorzystało już ok. 6 tys. osób.

Partyjka z Najświętszą Panienką

Katedra Chrystusa i Najświętszej Maryi Panny w Rochester w nietypowy sposób walczy o odwiedziny młodszych wiernych. Wewnątrz świątyni zorganizowano pole golfo-



we, bezpłatnie dostępne przez cały sierpień. Liczy ono dziewięć dołków i ma charakter tematyczny: popularyzuje wielowiekową historię okolicznych mostów. Miejscowa pastorka, wielbna Rachel Phillips, wyraziła nadzieję, że osoby korzystające z atrakcji zainspirują się do refleksji nad „mostami, które powinny zostać zbudowane w ich życiu oraz we współczesnym świecie”. Czekamy na odpowiedź bazyliki w Licheniu. Może tor żużlowy, skłaniający do przemyśleń osoby na duchowym zakręcie?

Nie posadzisz – nie postrzelasz

W dystrykcie Firozpur w północnych Indiach wprowadzono przepisy, zgodnie z którymi osoby ubiegające się o pozwolenie na broń muszą zasadzić 10 drzew i dbać o nie. Marzący o własnej spluwie dołączają do wniosku zdjęcia potwierdzające, że wywiązali się z obowiązku, a po miesiącu dostarczają kolejne, będące dowodem, że sadzonki są zadbane. Samo zasadzenie drzew nie gwarantuje uzyskania pozwolenia, ale jest jednym z czynników branych pod uwagę przez urzędników. – Mieszkańcy Pendżabu szaleją za samochodami, bronią i telefonami komórkowymi. Niech szaleją także za sadzeniem drzew – skomentował komisarz dystryktu Chander Gaind.

Żółto-czarna dama z Instagrama

Najnowszą gwiazdą mediów społecznościowych została... pszczoła. Obserwujący na Instagramie profil bee_nfluencer, a jest ich już ponad 111 tys., mogą podziwiać m.in. jej fotki przed lustrem, w basenie czy na plaży. Profil został stworzony przez francuską organizację Bee Fund, a wszystkie przychody generowane za pomocą reklam są przezna-

MEMY BEZ ŚCIEMY





Mocniejsza
słaba płeć.
Oto jak sobie
radzą ze sztangą
Veronica Saladin
z Dominikany
i Juan Columbié
z Kuby podczas
Igrzysk Paname-
rykańskich 2019
w Limie.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodryt: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Natalia Czarnačka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



czane na prowadzone przez nią projekty ochrony owadów. Dobrą ambasadorką akcji mogłaby być również Maja, ale za późno: królowa może być tylko jedna!

Kierowca bez czepka urodzony

Radiowóz zaparkowany przed posterunkiem policji na przedmieściach Sydney został skasowany przez przejeżdżającą furgonetkę. Po zatrzymaniu 28-letniego kierowcy wyszło na jaw, że ma na sumieniu znacznie więcej niż spowodowanie zagrożenia bezpieczeństwa w ruchu drogowym. Auto przewoziło bowiem 273 kg metamfetaminy o czarnorynkowej wartości ponad 200 mln dol. australijskich. Facet ewidentnie ma pecha, więc pewnie okaże się jeszcze, że jeździł bez ważnego przeglądu technicznego.

To jest gad... A to jest napad!

Nieudolnością popisała się także kryminalistka w Greenville w Karolinie Południowej. Hilmary Moreno-Berrios zażądała wydania kluczyków od SUV-a, a gdy prowadząca pojazd odmówiła – rzuciła w nią żywym wężem. Radość z przejęcia kontroli nad wehikułem, z wężem na pokładzie, nie trwała długo: kobieta rozbiła łup na ogrodzeniu ustawionym w związku z corocznymi zawodami w skoku o tyczce. Gadowi nic się nie stało, a Moreno-Berrios trafiła do szpitala. Powinna zdecydować się na dobrego prawnika, ale obstawiamy, że ma węża w kieszeni.





Aneta Grzeszykowska **MAMA**

Najnowszy cykl fotografii Anety Grzeszykowskiej powstał dzięki jej córce. Po sopockiej wystawie z 2017 r., na potrzeby której artystka zamówiła hiperrealistyczny, silikonowy model swojej głowy i torsu, rzeźba – czy też rekwizyt – znalazła się w przestrzeni domowej. Pewnego dnia córka zaczęła rzeźbę czesać, a ten gest łączący zabawę i troskę zwrócił uwagę artystki i stał się punktem wyjścia do dalszych eksperymentów z obiektem-matką. Zaproponowany przez Grzeszykowską scenariusz uruchamia ciąg filozoficznych, kulturowych i wizualnych skojarzeń. Wzruszające i mroczne obrazy rozwijają i dekonstruują wątek relacji między matką i córką, dorosłym i dzieckiem.

Galeria Raster
Warszawa, ul. Wspólna 63
do 14 września



FOT. ANETA GRZESZYKOWSKA



STRAIGHT NO CHASER

LIVE NATION

OPEN STAGE

13 września | Klub Stodoła | Warszawa



KASIA KOWALSKA

10 listopada | Klub Stodoła | Warszawa



COMA

28 listopada | Klub Stodoła | Warszawa



MUNIEK STASZCZYK

30 listopada | Klub Stodoła | Warszawa



MAZOLEWSKI/PORTER

08 grudnia | Klub Stodoła | Warszawa



LADY PANK

14 grudnia | Klub Stodoła | Warszawa

Antologia duchów miasta

Reżyseria Denis Côté

**Dokąd
mogą nas
zaprowadzić
pytania?**



 **69th** Międzynarodowy
Festiwal Filmowy
w Berlinie
Konkurs Główny

 **SIFF** Międzynarodowy
Festiwal Filmowy
w Seattle
Konkurs Główny

**w kinach
od 16 sierpnia**

 **AURORA**